Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 51 (1342) ROK XXVI 17 GRUDNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Retkinia, 7 grudnia 1983; godz. 13.30

Czytaj strona 10 i 11

Foto: Andrzej Wach

Trzy zmiany...

JACEK BINKOWSKI

Osiedle mieszkaniowe Retkinia. Ponad sto tysięcy mieszkańców. Spore miasto i stosunkowo młode. Miasto, w którym wybudowano 6 szkół dla sześciu tysięcy uczniów. Fakt, kiedy planowano szkoły, dzieci było mniej, do nowych bloków wprowadzali się dwudziestokilkulatkowie, którzy szkoły pokończyli dawno.

Że będą się rodzić dzieci — nikt pewnie nie przewidział, myślano krótkofalowo, jak się dzisiaj modnie mówi.

W rezultacie już kilka lat temu należało wprowadzić w podstawowych szkołach trzyzmianowy system nauczania. Z konieczności.

Z konieczności więc dzieci wstają o szóstej, żeby zdążyć na tzw. zerówkę. Z konieczności dzieci wracają do domu o dziewiętnastej, bo parę minut po szóstej kończy się ostatnia lekcja, na trzeciej zmianie.

Z konieczności mają ograniczony kontakt z rodzicami i odwrotnie.

Z konieczności, wreszcie, muszą spędzać czas wolny w świetlicach.

Konflikt rodziców z władzami szkolnymi nie ma sensu, nie ma sensu wnoszenie kolejnych petycji. Z konieczności trzecia zmiana musi być akceptowana...

RODZICE:

Matki i ojcowie swoich pociech mówią bardzo różnie. Jedni rozumieją trudną sytuację, inni liczą, że jest to „okres przejściowy", jeszcze inni są bardzo wzburzeni i próbują walczyć. Z wiatrakami, jak mówią bardziej doświadczeni. Z zaciśniętymi zębami budzą dziecko o siódmej, żeby zdążyło na świetlicę, chociaż wiadomo, że zajęcia zacznie około czternastej. Z zaciśniętymi zębami przychodzą pod szkołę o szóstej, bo teraz, jesienią, szybko robi się ciemno i odprowadzają dzieci do domu. Żeby nakarmić, przygotować spanie i pocałować na dobranoc. Bo rano musi znów wstać o siódmej...

Tak więc z tą złością i żalem czekają na lepsze czasy. Albo szkół przybędzie, albo syn pójdzie do średniej czy też w ogóle podrośnie i problem się zmniejszy. Póki co psioczą. I tak:

— *Wygląda to mniej więcej w ten sposób: przychodzimy z mężem z pracy około szesnastej i w tym czasie nasze dziecko jest w szkole. Po szóstej idę pod szkołę, żeby je odebrać. Kiedy przychodzimy do domu jest prawie siódma, akurat kolacja i mały musi iść spać.*

Tak więc przedstawia się nasz kontakt z synem. Nawet nie ma kiedy pomóc w lekcjach. Fizycznie niemożliwe jest przecież robienie tego przed południem. Niestety oboje z mężem musimy pracować. Jedyny prawdziwy kontakt jest w sobotę i w niedzielę. Trochę mało, jak sądzę.

Rzeczywiście mało. Tak samo sądzi ojciec ośmioletniego syna. Nazywa to wprost barbarzyństwem. Bo jakże inaczej określić taki system trzyzmianowy w szkole podstawowej. Jak w takich warunkach dzieci mogą się prawidłowo rozwijać, osiągać dobre wyniki w nauce.

— *Ale, skoro nie myśli się o budowaniu szkół* — mówi zbulwersowany ojciec — *po co myśleć o konsekwencjach. Przecież wyjdą one dopiero za kilka lub kilkanaście lat. Dopiero...*

Inna matka nie zostawia bez winy samej szkoły i nauczycieli. Powiada, że w szkole też mogliby pomyśleć o innej organizacji pracy. Przy układaniu planu władze szkoły idą po najmniejszej linii oporu. Nauczyciele mają za dobrze, bo tylko kilkanaście godzin w tygodniu uczą. I że im wszystkim z tego powodu poprzewracało się po prostu w głowach...

Mówią:

— *Oddawanie dziecka pod opiekę świetlicy — to absurdalny pomysł. Ono może awaryjnie pozostać w świetlicy dzień, dwa — ale nie cały czas. W końcu rodzice są do opieki i wychowania, nie świetlica. Rozważamy z żoną możliwość, żeby zrezygnowała z pracy. Będzie nam trudniej, ale to konieczne.*

— *Naprawdę nie mogę zrozumieć, jak można w tak dużych aglomeracjach, osiedlach mieszkaniowych nie budować równolegle z blokami odpowiedniej ilości szkół. Ja rozumiem, że dzisiaj mieszkania to sprawa najważniejsza, ale nauka i przyszłość naszych dzieci wcale nie jest mniej ważna. To dwie równoległe sprawy i równolegle należy do tego podchodzić.*

— *Chodzimy na skargi do szkoły, do kuratorium. Wszyscy są zgodni, że to nie jest w porządku. Ale rozkładają ręce — nie można nic zaradzić. Tak musi być i koniec. Jak to nie można nic zaradzić, ja się pytam. Budować szkoły i koniec — powiadam. To też rozkładają ręce.*

— *Zaproponowano nam, zamiast wysyłania dzieci do szkoły na trzecią zmianę — dojazd do innych szkół, mniej przepełnionych. Nie bardzo wiem, jak sobie to władze szkoły i nauczyciele wyobrażają. Że niby siedmioletnie dziecko ma samo jeździć tramwajem, przechodzić przez ruchliwe ulice? Trzeba by było zwolnić się z pracy, odwozić i przywozić pierwszoklasistę. Tylko czy tam w kuratorium mają pieniądze na nasze utrzymanie, bo na taki luksus w dzisiejszych czasach nie można sobie pozwolić. I mówią — albo system trzyzmianowy, albo szkoła w śródmieściu, innej możliwości nie ma. Wybraliśmy więc szkołę przepełnioną, ale bliżej domu. Pan by postąpił inaczej?*

Mówią też inaczej:

— *Moja opinia jest krótka. Po co o tym wszystkim mówić i pisać, i tak wszyscy doskonale wiedzą, że oświata jest nie kochanym dzieckiem, że zawsze brakowało pieniędzy, że wszystko inne jest znacznie ważniejsze. Po cóż więc ronić łzy nad trzyzmianowym systemem w szkołach. Jeszcze długo tak będzie, miejmy tylko nadzieję, że kiedyś się zmieni. Tymczasem powinniśmy się cieszyć, że nasze dzieci nie chodzą do szkoły na noc...*

NAUCZYCIELE:

Irena Przybyłek — dyrektorka 137 Szkoły Podstawowej na fatalnej Retkini zaczyna od liczb:

—*Nasza szkoła posiada 15 izb lekcyjnych, w których uczy się ponad 1 100 dzieci. Przewidziana była na 480 uczniów. Nadwyżkę łatwo obliczyć. I z tych liczb właśnie wynika, że dzieci muszą się uczyć w systemie trzyzmianowym. Inaczej nie pomieścilibyśmy wszystkich w kla-*

7

W NUMERZE ŚWIĄTECZNYM: Jaka była Łódź w 1900 roku? • Opowiadania wigilijne, kryminalne i SF • Remanent wśród gwiazd piosenki • Wspomnienia najmłodszego niegdyś kapitana żeglugi wielkiej • Rozmowy: z Józefem Młynarczykiem i wigilijnym Karpiem • Hipotezy — czy istnieje wędrówka dusz?

Ordynacja

TOMASZ SAS

Ludzie akceptujący całą zastaną rzeczywistość, w każdym jej przejawie dającym się ogarnąć wyobraźnią, są — w naszym kraju przynajmniej — w zdecydowanej mniejszości. Pozostali, wedle mych obserwacji i doświadczenia, dadzą się posegregować nie tylko według krzywej natężenia owej nieakceptacji — od negacji totalnej do drobnych uwag przeciw naczelnikowi gminy, uwag czynionych nie publicznie, a co najwyżej w małżeńskim łożu przed zaśnięciem. Drugim dobrym sposobem wartościowania postaw obywatelskich jest — wynikający z nieakceptacji stosunek do przyszłości; a to oznacza, w pewnym uproszczeniu, czy taki nie godzący się na zastaną rzeczywistość obywatel ma coś do zaproponowania w zamian, czy nie...

Gdyby dla oceny liczebności obu grup zastosować kryteria subiektywne, to znaczy polegać wyłącznie na tym, co głoszą sami interesujący nas ludzie, okazałoby się, że pierwsza grupa jest nieporównanie liczniejsza. Niemal każdy bowiem, zapytany o własny program, gdy przeczy temu co jest lub innym programom — objawi jakiś genialny pomysł na zbawienie Polski, a w ostateczności — na załatwienie jakiegoś uwierającego drobiazgu. Mało jest autentycznych nihilistów, zainteresowanych tylko rozwaleniem teraźniejszego.

WIARA WYŁĄCZNIE W SŁOWA

i dobre intencje (oraz serduszka) jest wszakże narzędziem stosownym do technologii uprawianej przez spowiedników. W sferze działań politycznych taka wiara byłaby śmieszna. Na tej płaszczyźnie potrzebna jest weryfikacja. A czy się to komu podoba czy nie, instrumenty takiej weryfikacji istnieją, chociaż nie wszyscy uznają je za obiektywne. To zespół norm, nazywanych zbiorowo polską racją stanu — w takim brzmieniu zasad ustrojowych, w jakim formułuje je konstytucja, z tym systemem sojuszy i bezpieczeństwa zbiorowego, który mamy, z tą lokalizacją w Europie, jaka jest — nie gdzieś na wyspie z podzwrotnikowym klimatem, możliwie blisko „kochanych" USA (jedyne stosowne miejsce zajęte — przez Kubę; odpada także Madagaskar — za daleko i też zajęty).

Każda wersja naprawy rzeczywistości, która zaczyna się od wywrócenia tego porządku, zakreślonego ramami racji stanu, każdy taki program nadaje się tylko na śmietnik historii, a i to nie zawsze. Autorów zaś i nosicieli poglądów wyrosłych z kwestionowania tych racji zwykłem nazywać pacjentami. Niektórzy z nich to nieuleczalni pensjonariusze — są wśród nich maluczcy prostaczkowie są i utytułowani m.in. sześciokrotny doktor honoris causa i nobilista.

3

Przegląd prasy

Konsultacje są rzeczą trudną. Ludzie odnoszą bowiem wrażenie, że konsultujący markuje tylko dobrą wolę zasięgania opinii, a i tak zrobi po swojemu. Na przykład w WZPB 1 Maja w Łodzi ludzie mówią, że konsultacja to takie sobie gadanie, z którego nic nie wynika. My sobie pogadamy, a oni i tak zrobią po swojemu. Już nie pierwszy raz zdarzało mi się słyszeć takie opinie. Zasadzają się one na głębokim nieporozumieniu i niezrozumieniu. Otóż konsultanci uważają najczęściej, że jeśli ktoś ich pyta o zdanie, to musi bezwzględnie to zdanie przez nich wyrażone wziąć pod uwagę i zastosować się do niego.

Inni znów sądzą, że konsultacje muszą dać średni wynik różnych opinii, w których i ślad ich opinii musi się znaleźć. A przecież cel konsultacji jest inny. Zamiar decyzji musi być skonsultowany przede wszystkim dlatego, aby poznać trafność tej decyzji i jej społeczny rezonans. Wynik konsultacji może wykazać, że przygotowywana decyzja trafia w społeczne oczekiwania albo spotyka się z generalnym sprzeciwem. Może też wykazać, że przygotowywana decyzja jest potrzebna, ale niezbędne są w niej korekty. Takich rozwiązań może być wiele. Zastosowanie któregoś z nich może jednak obudzić wśród pewnego odłamu konsultantów wrażenie, że nikt się nie przejął ich opiniami, bowiem nie zostały one wzięte pod uwagę. Prawda może być natomiast taka, że byli oni w mniejszości, o czym nie wiedzą, a zwyciężyły opinie większości, które dany projekt decyzji poparły. Wynika stąd potrzeba publikowania wyników konsultacji, wtedy wrażenie bezskuteczności konsultowania różnych decyzji zniknie, lub się znacznie zmniejszy.

Teraz powinniśmy przekonsultować projekt podwyżki cen artykułów żywnościowych. Najpierw opublikowano założenia tych podwyżek, prezentując społeczeństwu warianty: I, IA, IB, II. Przed kilku dniami opublikowana została ankieta Zakładu Badania Cen. Ciekaw jestem, ile odpowiedzi napłynie do Warszawy na ulicę Świętokrzyską 12? Sądzę, że nim się tego dowiemy, warto zastanowić się nad samą ankietą. Nic nikomu nie chcę sugerować, po prostu wyrażam tylko swoje zdanie i opinie.

Pytanie pierwsze:

KTÓRY WARIANT?

Wybór nie jest prosty. Każdy chętnie wybrałby — skoro już musi — wariant najmniej obciążający jego kieszeń, a więc wariant pierwszy w jednej z jego wersji. Natomiast z punktu widzenia rynku i gospodarki należałoby wybrać wariant drugi. Różnice cen w poszczególnych wypadkach są nie takie znów duże, a skutki dla rynku i gospodarki znaczne. Dla kieszeni również, ale to powinno wymusić inne planowanie budżetu rodzinnego, jak też inny stosunek do pracy. Tak więc kierując się względami gospodarczymi i mając na uwadze całość przedsięwzięcia wybrałbym wariant II.

Autorzy ankiety dają mi jednak możliwość wprowadzenia drobnych poprawek w strukturze cen i w pytaniu drugim domagają się odpowiedzi:

CO MOŻE BYĆ TAŃSZE, A CO DROŻSZE?

Abym sobie zbytnio jednak nie pohulał muszę, proponując coś do potanienia, zaproponować jednocześnie coś do podrożenia. Rozumiem, że nie jest to zabawa, tylko autorzy ankiety domagają się ode mnie jakiejś koncepcji „rynku spożywczego".

Zacznijmy więc od chleba. Uważam, że chleb powinien być w miarę tani, ale przy tym zróżnicowany. Minister Zdzisław Krasiński obiecywał, że jak podniesie ceny, to zaraz na rynku pojawią się chrupiące bułeczki. Dziś wiemy, że nic takiego się nie stało. Nie ma więc żadnych gwarancji, że chleb droższy będzie lepszy. A problem — według mnie — leży właśnie w jakości chleba. Proponowany nam chleb w „Społem" bywa niesmaczny i szybko czerstwieje. Można więc zauważyć i takie sytuacje. Po jednej stronie ulicy w sklepie „Społem" chleb leży na półkach i czerstwieje, a po drugiej przed prywatną piekarnią stoi długa kolejka. Dobrze, niech będzie konkurencja, ale niech też ja wiem, że również w sklepie „Społem" dostanę do wyboru różny chleb, droższy i lepszy, tańszy i też dobry. Społeczeństwo jest zróżnicowane pod względem dochodów i to bardzo, więc i propozycje handlu muszą być adresowane do różnych odbiorców. Tylko trzeba wiedzieć, gdzie i kiedy ich szukać. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Również mleko powinno być tanie, mąka, kasza, ryż i makarony, a także masło. Tok mojego rozumowania idzie w kierunku stworzenia na rynku zestawu dostępnych artykułów spożywczych również dla ludzi najbiedniejszych. Tak więc w ankiecie po stronie, gdzie mnie pytają, co może być tańsze, zakreśliłbym kratkę przy chlebie, a jednocześnie uznałbym, że pieczywo pszenne może już być droższe. Mleko powinno być tańsze, ale sery mogą być nieco droższe. Cukier może być droższy, ale mąki, kasze, ryż i makarony powinny być tańsze. Masło droższe, ale inne tłuszcze tańsze, ale sery mogą być nie ale wyższej klasy droższe. Wędliny popularne tańsze, ale dobre, a wyższej klasy droższe.

Odpowiedź na kolejne pytanie jest nader prosta i myślę, że podziela ją większość ludzi. Podwyżki powinny być wprowadzane nie gwałtownie, ale powinny to być

ZMIANY NIEWIELKIE, ALE CZĘSTSZE

poparte okresowymi rekompensatami dla grup najniżej zarabiających. Sądzę też, że należy wprowadzić i szerzej stosować system cen sezonowych, co jest zupełnie naturalne. Skoro płynie rzeka mleka, to niech ono będzie nawet śmiesznie tanie, aby raczej ludzie to mleko wypili, a nie mleczarnie wylały je do rzek i kanałów. Jeśli obrodziły jabłka, to niech będą tanie, podobnie ogórki i tak dalej. Sądzę, że nie muszę nikogo przekonywać do takiej zasady. Natomiast sądzę, że trzeba handel przekonywać do stosowania systemu cen sezonowych również w stosunku do artykułów pochodzenia przemysłowego, a też przeznaczonych na określony sezon. Teraz to może brzmi śmiesznie, skoro w sklepach raczej pustki, ale przecież zmierzamy konsekwentnie do wyjścia z kryzysu i sytuacja ulegnie zmianie. Przyzwyczajenia — nie.

CZEGO MA DOTYCZYĆ KONSULTACJA?

— pytają mnie dalej autorzy ankiety. Czy tylko wysokości cen, czy też sposobu wyrównywania kosztów utrzymania, czy obu tych spraw łącznie. Zakreśliłam trzecią kratkę, czyli odpowiadam, że obu tych spraw łącznie. Ale tu jest potrzebny również komentarz, co zresztą wiąże się z następnym pytaniem. Czy prawidłowo rozdzielono pieniądze między ludzi mających dzieci a rencistów i emerytów. Uważam, że nieprawidłowo!

Reforma gospodarcza powinna prowadzić nie tylko do doskonalenia systemu cen, ale też systemu płac, a przez to do wzrostu rzeczywistej wydajności pracy. Jak do tej pory działa jeden system: system cen. W sprawie płac czyni się nieśmiałe próby i eksperymenty. Jako całość system płac wymaga radykalnej regulacji, zastosowania wreszcie zasady, że płaci się za pracę, a nie za miejsce pracy. Ludzie często narzekają, że inni odchodzą z fabryk do firm polonijnych i innych, gdzie więcej zarabiają. Tylko nie chcą widzieć i pamiętać, że tam trzeba pracować 7,5 godziny na 8 godzin, a w fabryce pracuje się dużo mniej. Ale to też inny temat.

Jeżeli konsekwentnie budujemy racjonalny system cen, który ma oddziaływać na gospodarkę, to musi to doprowadzić również do zapełniania się półek w sklepach, a zatem musi też doprowadzić do rosnącej produkcji i wzrostu wydajności pracy, a także poprawy jakości wyrobów. Powinno to być zatem wymuszanie ekonomiczne. Chcesz zarobić — pracuj i to dobrze, wydajnie. Obserwuję na przykład takie zjawisko: każda grupa zawodowa domaga się, aby ją chwalić, a nie — broń Boże — krytykować, gdyż oni pracują dobrze ofiarnie, z poświęceniem pokonują trudności. Jakaś część prawdy w tym jest. Ale — zapytajmy — jeśli wszyscy tak dobrze, ofiarnie i z poświęceniem pracują, to dlaczego ciągle tkwimy w kryzysie?

Już od dawna słyszy się opinie, że u nas premiuje się „dzieciorobów". Problem ten niepokoi publicystów. Tak się na ogół składa, że „dzieciorobу" to nie najmądrzejsi, najlepiej sytuowani, kulturalni ludzie. Wręcz przeciwnie. A państwo premiuje nieustannie ich „reprodukcyjną działalność". Problem wymaga zastanowienia i dyskusji, ale już teraz przy okazji ankiety w sprawie cen i zasiłków warto zasygnalizować, że powinniśmy przede wszystkim chronić ludzi starych. Oni już nie są zdolni — a to zmniejsza się jeszcze z każdym rokiem — do dorobienia sobie, często schorowani, zmęczeni, wymagają zatem szczególnej troski ze strony społeczeństwa. I dlatego proponowałbym wyższe dodatki i rekompensaty dla emerytów i rencistów, a niższe i zróżnicowane na zasiłki rodzinne.

Tylko że taki system przyniesie oczekiwane skutki pod jednym warunkiem, kiedy równocześnie zacznie funkcjonować też system płacy za pracę.

Pozostałe rubryki ankiety mają dać autorom nieco wiedzy o odpowiadającym i nie interesują już Czytelnika.

LUCJAN BOGUSZ

Trudna droga

1 Klęska w wojnie obronnej 1939 roku uświadomiła wielu Polakom, że przyszła Polska musi być inna. Jaka? — na to pytanie padały różne odpowiedzi, różne były koncepcje, zależnie od tego, w jakich powstawały kręgach, środowiskach ugrupowaniach politycznych. Było to niewątpliwe przesunięcie się nastrojów „na lewo". Jan Rzepecki we „Wspomnieniach i przyczynkach historycznych..." cytuje wypowiedź płk. Stefana Grota-Roweckiego z listopada 1939 roku:

— *„Przyszła Polska musi być czerwona chłopsko-robotnicza! Jeśliby tak miało być, jak było — to niech to szlag trafi!"*.

Janina Karasiówna pisząc w 1947 roku w prasie emigracyjnej o Stefanie Grocie-Roweckim cytuje podobną opinię, choć już nieco stonowaną:

— *„Polska musi stać się tak silna, by jej nie mogła grozić katastrofa podobna do września 1939. Siła Polski opierać się musi na jej atrakcyjności dla szerokich mas chłopskich i robotniczych"*

A przecież Stefan Grot-Rowecki nie był komunistą, ani też nie sympatyzował z tym ruchem. Po prostu logicznie myślał. Budując struktury podziemne, Związek Walki Zbrojnej i późniejszą AK, rząd emigracyjny zalecał, aby unikać wciągania do tych struktur byłych działaczy sanacji, ludzi politycznie skompromitowanych, aby nie powstawał pogląd, że *„pod płaszczykiem ogólnonarodowej akcji niepodległościowej kryje się stary system"*.

W miarę rozwoju wydarzeń wojennych dla wielu trzeźwo myślących polityków stawało się coraz bardziej jasne, że wyzwolenie Polski spod hitlerowskiej okupacji może przyjść tylko ze Wschodu. Stamtąd najkrótsza droga prowadziła do Polski. Nie wszyscy to jednak rozumieli i nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić. Ale historia potwierdziła takie założenia i oczekiwania

„Kierunek orientacji politycznej polskiej lewicy — pisze Marian Leczyk w książce „Historia żywa" — *nadawała Polska Partia Robotnicza. Ukształtowała ona konsekwentny pogląd na przyszłość Polski. Widziała ją jako państwo demokratyczne, o nowej strukturze terytorialnej i etnicznej"*.

Klęska w wojnie obronnej 1939 roku zmusiła do weryfikacji nie tylko poglądów na ustrój i kształt społeczny przyszłej Polski, ale i na jej sojusze. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że przyszła Polska, aby mogła być silna musi mieć trwałą granicę na zachodzie i pozostawać w sojuszu ze swoimi wschodnimi i południowymi sąsiadami: Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją. Wszakże przeszłość stosunków Polski ze swoimi sąsiadami nie czyniła tej oczywistości łatwej do spełnienia. Interesy klasowe, zadawnione urazy, tradycja jednostronnie rozumiana stały na przeszkodzie urzeczywistnianiu narodowych interesów. Nim jeszcze skończyła się wojna walka klasowa w Polsce weszła w nowy etap, nosząc niekiedy znamiona wojny domowej.

2 Powstanie Polski Ludowej przyniosło ze sobą spełnienie wiekowych oczekiwań. *„Wyzwolenie Polski przez Armię Radziecką i walczące wraz z nią Wojsko Polskie stworzyło obiektywne warunki do objęcia i obrony władzy państwowej przez klasę robotniczą i jej klasowych sojuszników* — czytamy w „Sprawozdaniu z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych dziejach Polski Ludowej. — *„Na drodze rewolucji społecznej dokonał się zasadniczy zwrot w dziejach Polski. W rezultacie głębokich reform społecznych likwidujących panowanie ekonomiczne i polityczne klas posiadających — obszarnictwa i burżuazji — zasadniczym przeobrażeniom uległa dotychczas struktura klasowo-warstwowa społeczeństwa"*.

Znacjonalizowano duży i średni przemysł oraz banki. Przeprowadzono reformę rolną, unicestwiono skutki niemieckiej kolonizacji, zaczęto zagospodarowywać Ziemie Zachodnie i Północne, upaństwowiono lasy i bogactwa naturalne. Rozpoczęła się odbudowa zniszczeń wojennych, wyzwalająca społeczną inicjatywę, zapał i aktywność Polaków. Nie mogły temu przeszkodzić ani opozycja polityczna, ani reakcyjne podziemie. Przebudowano aparat administracyjny, sądownictwo wojsko i aparat ochrony porządku i bezpieczeństwa nadając mu klasowy robotniczo-chłopski charakter. Pozyskano dla dzieła odbudowy i przebudowy Polski starą, demokratycznie nastawioną inteligencję. Stworzono warunki dla dalszych, socjalistycznych przeobrażeń społecznych.

Proces ten nie był wolny od błędów, nieporozumień i zahamowań. W swojej istocie odpowiadał on oczekiwaniom i dążeniom mas pracujących Polski, spełniał nadzieje patriotycznych, demokratycznych i lewicowych ugrupowań działających w dalszej i najbliższej przeszłości Polski.

3 Od 6 do 13 grudnia 1945 roku obradował I Zjazd Polskiej Partii Robotniczej. W uchwałach tego zjazdu znalazło się następujące stwierdzenie:

„Zjazd stwierdza, że jednolity front robotników i solidarne współdziałanie Polskiej Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną oraz sojusz robotniczo-chłopski są najlepszą rękojmią pełnego unicestwienia reakcji i jej ideologii, osiągnięcia zwycięstwa demokracji w wyborach, jak też zrealizowania uchwał zjazdu, prowadzących do ludowo-demokratycznego rozwoju Polski".

Polska Partia Socjalistyczna w okresie przedwojennym była partią wielonurtową. W partii tej wyraźnie występował nurt prawicowy i lewicowy. W czasie okupacji PPS-Wolność, Równość, Niepodległość reprezentowała nurt prawicowy i kontynuowała przedwojenną linię reformistyczną. Natomiast Polscy Socjaliści, a później Robotnicza Partia Polskich Socjalistów i PPS-Lewica reprezentowały lewicowy nurt. Spośród działaczy RPPS, jak też PPS-Lewicy rekrutowali się odnowiciele ruchu socjalistycznego po wyzwoleniu. Dołączali do nich — wbrew zakazowi kierownictwa — niektórzy działacze i członkowie WRN.

10 i 11 września 1944 roku odbyła się w Lublinie konferencja działaczy PPS, którą później uznano za XXV Kongres PPS. Za naczelne zadanie uznano *„odbudowę potężnej organizacji PPS, która, wznawiając po pięcioletnim okresie niewoli legalną działalność, zjednoczy w swoich szeregach tych wszystkich członków podziemnych socjalistycznych organizacji niepodległościowych na emigracji i w kraju, którzy w okresie wojennym dochowali wierności zasadom socjalizmu"*.

W tym mniej więcej czasie odrodzona PPS liczyła w części wyzwolonej Polski około 8 tys. członków, co nie było liczbą zbyt wysoką, a co wskazywało, że proces odbudowy PSS przebiega powoli i jest hamowany przez kierownictwo WRN. Miało to swój niewątpliwy wpływ na kształt tej partii. Jan Tomicki w monografii „Polska Partia Socjalistyczna 1892—1948" pisze, że w świetle dotychczasowych badań trudno *„precyzyjnie określić, w jakim stopniu reaktywowana partia była (w sensie swego składu osobowego) kontynuacją przedwojennej PPS i okupacyjnych organizacji socjalistycznych, a w jakim stopniu organizmem nowym"*. Powołując się na publikacje Antoniego Reissa i Bronisława Syzdka pisze Jan Tomicki że w kwietniu 1945 roku wśród 124 tysięcy członków PPS około 17 proc. pochodziło z okresu przedwojennego i okupacji, natomiast blisko 50 proc. znajdowało się przed 1945 roku *„w kręgu ideologicznego oddziaływania lewicy"*, reszta — byli to ludzie w PPS

Minął tydzień

CO MÓWIONO NA ZEBRANIACH

sprawozdawczo-wyborczych w fabrykach i przedsiębiorstwach, na zebraniach środowiskowych i konferencjach zakładowych — zastanawiano się na ostatnim posiedzeniu Egzekutywy KŁ PZPR. Stwierdzono zmianę tonu i problematyki dyskusji. Przeważa głębsza refleksja nad sprawami partii, kraju, miasta i własnego przedsiębiorstwa. Niepokoi brak problematyki młodego pokolenia — nieobecność organizacji młodzieżowych i ich spraw w partyjnej dyskusji. Kampania sprawozdawczo-wyborcza weszła w następny etap — rozpoczęły się już konferencje miejskie i dzielnicowe.

ZAOPATRZENIE NA ŚWIĘTA

nie będzie takie, jakiego byśmy oczekiwali. Handel zapowiada pełne pokrycie artykułów reglamentowanych, gorzej może być z artykułami niereglamentowanymi. Mało będzie na przykład drobiu, nie będzie bakalii, mało będzie win importowanych, koniaków i szampanów. Dotarła do kraju już herbata, ale luzem, trzeba więc ją pakować, co pochłania wiele czasu i herbata później niż się można spodziewać dotrze do sklepów. Handlowcy skarżą się, że otrzymują coraz więcej towarów luzem i muszą sami pakować. Producenci tłumaczą się brakiem opakowań, ale handel musi zdobyć te opakowania. Zatem one są, tylko trzeba poszukać. Producenci jednak nie obniżają ceny towarów dostarczanych do handlu luzem. Cierpi na tym... klient.

SPEKULACJA W „PEWEXIE"

Okres przedświąteczny sprzyja zwiększonym zakupom, a zatem i zwiększonej spekulacji. Centralna Komisja do Walki ze Spekulacją zainteresowała się sytuacją w „Pewexie". Okazało się, że i tam też spekuluje się, sprzedaje się towary „spod lady", zawyża się ceny, spekuluje się na kursach walut. „Pewex" — jak stwierdzono — nie potrafi elastycznie reagować na potrzeby rynku — to kto już potrafi? — nie potrafi w porę dostarczać surowców na potrzeby rzemieślników.

Stwierdzono również spekulację w komisach. Przyjmuje się tu towary nie objęte sprzedażą komisową, towary pochodzące z przemytu i inne.

ZDANIEM EDMUNDA TULKI

z „Dziennika Łódzkiego" wyrażonym w „Zapiskach współczesnych" niechęć do sektora prywatnego w środowisku robotniczym bierze się nie tylko z naruszenia zasad sprawiedliwości społecznej, ale też w tym *„kryje się jeszcze dodatkowo walka dwóch sektorów prywatnych, z tym, że jeden występuje pod szyldem uspołecznionym i chce wykończyć konkurenta"*. Chodzi tu o sporą grupę ludzi uprawiających „fuchy" czy to po pracy, czy też w „ramach pracy". Praktyki takie są nam wszystkim dobrze znane. Prawidłowy rozwój usług rzemieślniczych i innych stanowi zagrożenie dla amatorów „fuchy". Nie przeczy to wszakże naruszaniu poczucia sprawiedliwości społecznej, które wśród części ludzi pracy jest silnie rozwinięte.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA W „EXPRESSIE ILUSTROWANYM"

przestrzega przed zubożeniem i niechlujstwem językowym. Pisze między innymi tak: *„Chodzi tu o rzecz znacznie poważniejszą. Niechlujstwo językowe, kurczowe trzymanie się ciągle tych samych słów — szerzy się dzisiaj ponad miarę. Obawiam się, iż jeszcze trochę, a przekaźniki nauczą nas jakiegoś języka ungubungu i wszyscy dookoła Macieju, będziemy operowali, szalenie z siebie zadowoleni, słownikiem ograniczonym do 100 słów"*. Istotnie, zachwaszczanie naszego języka jest nieograniczone. Boję się jednak, że to nie „przekaźniki" są winne głównie, gdyż twórcami języka „ungu-bungu" są przede wszystkim przedsiębiorstwa przemysłowe oraz urzędy. Wina dziennikarzy polega na tym, że nie potrafią w relacjonowaniu wyzwolić się spod „językotwórczego" wpływu swoich informatorów, wiernie powtarzają to, co tamci im mówią w swoich żargonach, nie zastępują profesjonalnych żargonów językiem polskim.

A. B. SEKATOR

do zjednoczenia 4

zupełnie nowi. Tym niemniej istniała pilna potrzeba ustosunkowania się do przedwojennych i okupacyjnych tradycji PPS oraz wypracowania linii politycznej uwzględniającej nowe warunki działania. Dokonał tego XXVI Kongres PPS, który obradował od 29 czerwca do 1 lipca 1945 roku w Warszawie.

XXVI Kongres PPS nawiązał do uchwał XXIV Kongresu PPS, który obradował — jako ostatni przed wojną — w początkach 1937 roku, i który przyjął, że PPS stawia sobie za cel przebudowę społeczeństwa poprzez uspołecznienie środków produkcji. Rolę kierowniczą w tym przewrocie społecznym spełniać powinna klasa robotnicza w sojuszu z chłopstwem i innymi warstwami pośrednimi. W okresie przejściowym zakładano możliwość zastosowania środków dyktatury wobec sił kontrrewolucyjnych i faszystowskich. Program ten zapowiadał też wprowadzenie demokracji robotniczej w przyszłym państwie socjalistycznym. Warto jednak wspomnieć, że XXIV Kongres PPS odrzucił program bardziej lewicowy, zakładający dyktaturę proletariatu oraz współpracę i sojusz z innymi partiami socjalistycznymi (np. mniejszości narodowych oraz komunistami).

XXVI Kongres PPS uzupełnił ten program o zasadę internacjonalizmu proletariackiego, pozytywny stosunek do ZSRR i ruchu komunistycznego, przyjęcie zasady ścisłej współpracy z PPR, współpracę z innymi partiami stojącymi na gruncie programu budowy Polski Ludowej oraz zasadę aktywnego stosunku do przemian dokonujących się w kraju, jak na przykład reforma rolna, nacjonalizacja i tak dalej.

W historii ruchu robotniczego w Polsce — rozbitego i targanego wewnętrznymi sprzecznościami, atakowanego przez klasowego i ideowego przeciwnika — zbliżał się moment zjednoczenia. Ewolucja PPS w kierunku marksizmu coraz wyraźniej skłaniała ku sformułowaniu pytania, czy dla dalszego rozwoju Polski Ludowej, jej przebudowy w kierunku socjalistycznym nie będą stanowiły przeszkody dwie partie robotnicze, mające takie same cele i dążące do ich realizacji podobnymi drogami? Całkowitej jedności jeszcze nie było, były ostre dyskusje i spory co do spraw taktyki, ale w sprawach strategii jedność rysowała się coraz wyraźniej.

28 listopada 1946 roku PPS i PPR podpisały umowę o jedności działania i współpracy. 20 marca 1948 roku w „Głosie Ludu" ukazał się artykuł Władysława Gomułki pt. „Na nowym etapie", w którym autor stwierdził:

„W zawartej umowie międzypaństwowej sprawa jedności organicznej mogła być ujęta tylko perspektywicznie, bez precyzowania i bez określenia warunków i czasu jej realizacji. Kontrahentom umowy szło wówczas głównie o zacieśnienie jednolitego frontu klasy robotniczej, aby na tej drodze przez wspólną, codzienną praktykę budownictwa Polski Ludowej likwidować stopniowo w ruchu robotniczym ideologiczne różnice, będące przyczyną jego rozbicia. Idea jednej partii robotniczej była tak samo słuszna wówczas, jak jest słuszna dzisiaj. Lecz na to, aby ta idea dojrzała i przeniknęła głęboko do świadomości wszystkich członków obu partii, a zwłaszcza do świadomości członków PPS, potrzeba było określonego czasu".

Słuszność idei nie wykluczała sporów i dyskusji. Spierano się o rolę prywatnego handlu w Polsce, o koncepcje i drogi budowy socjalizmu, spierano się o rolę partii. Niektórzy członkowie PPS lansowali hasło „Złotego środka", co miało polegać na tym, że PPS lewym skrzydłem miała opierać się o PPR, a prawym o Mikołajczykowskie PSL.

17 marca 1948 roku sekretarz generalny CKW PPS, Józef Cyrankiewicz w przemówieniu na posiedzeniu Rady Stołecznej PPS, w Warszawie wyraźnie opowiedział się za zjednoczeniem z PPR, stwierdzając, że ofensywie światowej reakcji skutecznie może się przeciwstawić jedynie zjednoczony ruch robotniczy i stąd wynika konieczność *„jednoczenia się rewolucyjnych partii klasy robotniczej wszędzie tam, gdzie dojrzewają do tego warunki"*. Józef Cyrankiewicz pozytywnie ocenił 3-letnią współpracę z PPR, nakreślając dalsze kierunki współdziałania oraz pracy nad ideowym zbliżeniem obu partii.

20 marca 1948 roku Władysław Gomułka pisał we wspomnianym artykule:

„Dwie główne przyczyny leżą u podstaw tego ze wszech miar pozytywnego procesu likwidacji rozbicia ruchu robotniczego. Pierwsza — to wzrost świadomości klasowej mas robotniczych, które coraz wyraźniej widzą szkodliwość podziału ideologiczno-politycznego swoich szeregów, jak też uświadamiają sobie niedoskonałość jednolitego frontu jako oręża walki o socjalizm, a druga — to jawne wprzęgnięcie się prawicowych przywódców światowej socjaldemokracji w rydwan służby dla kapitału i imperializmu w celu ratowania zgniłego i rozsypującego się systemu gospodarki kapitalistycznej. Z tych przyczyn europejska klasa robotnicza, dążąc coraz konsekwentniej do nowych form ustrojowych, odchodzi od socjaldemokratyzmu".

Istotnie na początku 1948 roku dokonało się zjednoczenie ruchu robotniczego w Rumunii, Czechosłowacji i na Węgrzech. W Bułgarii zjednoczenie dokonało się dopiero w połowie 1949 roku. Nie bez znaczenia dla przebiegu tego procesu były zmiany, jakie dokonały się w międzynarodowym ruchu komunistycznym i robotniczym, a także postępujące zaostrzenie sprzeczności między krajami kapitalistycznymi a Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, rozwój „zimnej wojny", która już niebawem miała eksplodować „gorącą" wojną w Korei. Koalicja antyfaszystowska, której dziełem było zwycięstwo nad faszyzmem i stworzenie nowej sytuacji w Europie i świecie, przestała faktycznie istnieć. Świat był podzielony na dwa przeciwstawne obozy. Zniszczony wojną „blok socjalistyczny", w pełni jeszcze nie ukształtowany, aby móc się obronić przed imperialistycznym zagrożeniem musiał być zjednoczony i jednomyślny. Takie były uwarunkowania zewnętrzne, które bez wątpienia wpłynęły na przyśpieszenie procesów zjednoczenia się ruchu robotniczego również w Polsce. Nie zmienia to faktu, że potrzeba zjednoczenia wynikała przede wszystkim z przyczyn wewnętrznych, że dojrzały ku temu warunki wewnętrzne i one przede wszystkim decydowały o istocie tego procesu.

„W połowie 1948 r. — czytamy w cytowanym już „Sprawozdaniu z prac Komisji KC PZPR..." — *została gwałtownie i w sposób zaskakujący partię przeprowadzona daleko idąca zmiana w linii politycznej PPR. Istota tej zmiany — którą poprzedził kryzys w kierownictwie partii — był zwrot o charakterze dogmatyczno-sekciarskim. Wyrażał się on w odejściu od dotychczasowych koncepcji i form stopniowej socjalistycznej przebudowy struktur politycznych i społeczno-gospodarczych oraz w dużym, woluntarystycznie założonym przyśpieszeniu tempa tej przebudowy, przy znacznym udziale środków przymusu pozaekonomicznego. Głównie wokół wymienionych spraw w kierownictwie PPR powstały i rozwinęły się poważne rozbieżności".*

Historia nie znosi rozważań typu: „co by było gdyby...". W historii liczą się tylko fakty. 15 grudnia 1948 roku rozpoczął obrady Kongres Zjednoczeniowy. Powstała PZPR. Zjednoczenie polskiego ruchu robotniczego było rezultatem wewnętrznych procesów dokonujących się w tym ruchu i stało się faktem, dla dalszego budownictwa socjalistycznego niezbędnym. Czy do uniknięcia były błędy, jakie przy tym popełniono? Sądzę, że ważniejsze od odpowiedzi na to pytanie są wnioski, jakie z przeszłości wyciągniemy dla sprawniejszego i lepszego budowania przyszłości.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ordynacja

Dokończenie ze strony 1

Ale dajmy spokój tej zbiorowości pacjentów, skądinąd wcale licznej ostatnimi czasy. Alternatywy ustrojowe dla Polski, wynikające ze zwykłej głupoty lub będące ordynarnymi (mimo niekiedy kunsztownej formy) prowokacjami, nie zasługują na uwagę. Zresztą niektórymi zajmą się sądy PRL.

NIEZGODA NA RZECZYWISTOŚĆ

nie zawsze przecież kończy się nihilizmem, wezwaniem do destrukcji i agresji, nie zawsze kończy się zdrada interesów narodowych, nie zawsze prowadzi do oskarżenia o zbrodnię godzenia w ustrój państwa. Dziesiątkom szlachetnych utopistów ani w głowie podważać rację stanu. Oni, uwierani przez liczne niedostatki naszej egzystencji — od niedostatków demokracji (jak mi się zdaje) po niedostatki na rynku — trudzą się nad projektowaniem przyszłości: od nowej konstytucji, poprzez pomysł gwarantujący wyeliminowanie spóźnień na kolei, aż po wynalazek zapałek z łebkami na obu końcach drewienka...

Szlachetność utopistów znają redakcje pism, radia i telewizji, urzędnicy kancelarii Sejmu i Rady Państwa, pracownicy KC i ministerstw, referenci w biurach Episkopatu, popularni działacze polityczni i społeczni. Niektórzy docierają do papieża i ONZ... Na ogół traktuje się ich jak natrętów; znam ludzi, którzy już przywykli do szlachetnych utopistów, a ich projekty nawet bawią pokolenia cynicznych biurokratów — mnie nie. Staram się pochylać nad tymi pomysłami sine ira et studio — i bez ironii, staram się rzeczowo dyskutować.

Przynajmniej w przypadku Józefa G. z podbeskidzkiego miasteczka K., postaram się zasadzie owej nie sprzeniewierzyć. Józef G. (nie zastrzegał sobie anonimowości — wprost przeciwnie, ale mimo to nie ujawnimy bliższych o nim danych) przysłał do naszej redakcji projekt całkiem nowej ordynacji wyborczej, w której, pod hasłem „uczciwe wybory to sprawiedliwa władza", wykłada swój system wyłaniania mandatariuszy narodu. Zważywszy na pewne konkretne rozwiązania (np. wybory starostów i prezydenta Rzeczypospolitej), system ten jest częścią większej, przewidującej całkowitą przebudowę wewnętrznej organizacji państwa, całości. Żałuję, że nie jesteśmy w stanie zadośćuczynić prośbie Józefa G. i opublikować projektu w całości — ze względu na jego rozmiary nie jest to możliwe. Postaram się jednak większość krytycznych uwag odnieść do stosownych, obszernych cytatów z dokumentu Józefa G.

ZACZNIJMY OD MOTTA

ordynacji Józefa G. — „uczciwe wybory, to sprawiedliwa władza". Związek wynikania między pierwszym i drugim członem tego frezesu wcale nie jest taki oczywisty i zawsze prawdziwy. Uważne przestudiowanie powszechnej historii świata dostarczy aż nadto dowodów, że przed niesprawiedliwością władzy nie uchroni najuczciwszy nawet akt wyborczy, ani superprecyzyjna i jednocześnie „moralna" ordynacja. Ba, najokrutniejsze dyktatury dochodziły do władzy w sposób nie wyłącznie gwałtowny, ale zdarzało się, że i zupełnie legalny — z punktu widzenia konstytucji swych krajów... Dość wspomnieć przykład Adolfa Hitlera i ofensywy parlamentarnej jego partii NSDAP w latach 1931—32, ofensywy, która doprowadziła ją do najsilniejszej pozycji w Reichstagu (acz nie do bezwzględnej większości), co umożliwiło Hitlerowi wymuszenie kanclerskiej nominacji od zupełnie już wtedy niedołężnego fizycznie i umysłowo prezydenta Hindenburga, dodatkowo, jak się zdaje, przerażonego (za sprawą najbliższego otoczenia) wizją triumfującego komunizmu. Z drugiej zaś strony znane są przyzwoicie sprawiedliwe rządy, które doszły do władzy przy zastosowaniu przemocy, najczęściej bez jakichkolwiek wyborów.

Reguła Józefa G. nie jest więc zupełnie bezwyjątkowa. A i sama sprawiedliwość jako cecha władzy nie jest absolutem. Przede wszystkim podlega ocenie, poza tym na ogół ma swoje dominanty klasowe ekonomiczne, a nawet religijne. Zresztą zaprojektowana przez Józefa G. ordynacja — żadną miarą nie zapewniałaby ani uczciwych wyborów, ani władzy sprawiedliwej... Czego spróbuję dowieść.

ORDYNACJA TA PRZEWIDUJE SYSTEM DWUFAZOWY

— najpierw wybory kandydatów na radnych, posłów, starostów, prezydentów miast, wojewodów i prezydenta Polski. Wybory kandydatów — a nie żadne formowanie list i zgłaszanie kandydatur przez siły polityczne. Wybrać trzeba tylu kandydatów, by do każdego miejsca we władzach pretendowały dwie osoby (nie więcej). Dopiero w drugiej fazie przeprowadza się właściwe wybory — z każdych dwóch — jednego... System jest bardzo skomplikowany, dlatego w skrócie postaram się go opisać.

Istota systemu (i jego główne niebezpieczeństwo) zasadza się na pomyśle utworzenia tzw. r o d z i n w y b o r c z y c h. Cóż to jest takiego? Jest to instytucja polityczna zupełnie nieznana w obszarze kontynentalnej kultury politycznej — grupa dziewięciu lub maksimum jedenastu wyborców (ilość nieparzysta, aby łatwo powstała większość głosów), mieszkających w tym samym domu lub w najbliższym sąsiedztwie, utworzona dobrowolnie, lub przymusowo, jeśli do porozumienia nie dojdzie — przez organ administracji. Według projektu Józefa G. wyborcą jest każdy posiadacz obywatelstwa, który ukończył szesnaście(!) lat i w dniu wyborów przebywa w kraju. Zadaniem rodziny wyborczej jest wyłonienie przedstawiciela, który będzie ją reprezentował w dalszej procedurze. Kandydat na przedstawiciela zgłasza się dobrowolnie, może zresztą być ich więcej (hipotetycznie każdy członek rodziny — i co wtedy?; Józef G. takiej sytuacji nie przewiduje, ale łatwo zgadnąć, że rodzina zamieni się wtedy w ogarnięty niemożnością podjęcia decyzji magiel).

Już tu — na szczeblu podstawowym w wyborach — pojawiają się pierwsze

NIEBEZPIECZEŃSTWA MANIPULACJI

Przede wszystkim utopią jest założenie, że wszyscy będą jednakowo aktywni. (W wyborach muszą uczestniczyć wszyscy przymusowo i nikt nie może się wstrzymać — według projektu Józefa G.). A zatem powstaje pokusa dla politycznych karierowiczów w gminnej skali — po pierwsze: możliwość fałszerstw zupełnie niemożliwych do skontrolowania, po drugie: drobnych świństewek i przekupstw (rodzaj osławionej kiełbasy wyborczej), szantażyków i wszelkiej nieprawości. Wystarczy zresztą przyjrzeć się systemowi wyborczemu w Stanach Zjednoczonych, gdzie właśnie małe grupki wyborców obsadzają niemal wszelkie stanowiska w lokalnych władzach — od burmistrza, poprzez sędziego, prokuratora, policjanta do nodzorcy parkingów i rakarza. Rozmiary demoralizacji tego systemu budzą grozę nawet samych Amerykanów. Nikt nigdzie na świecie dotychczas nie odważył się zaproponować swym obywatelom podobnego modelu politycznej organizacji społeczeństwa przy wybieraniu mandatariuszy...

Ale brnijmy dalej przez zawiłości systemu Józefa G.

DELEGACI RODZIN WYBORCZYCH

na zgromadzeniach (każdych stu delegatów tworzy takie zgromadzenie) wybierają kandydatów na radnych do rad szczebla podstawowego i swych przedstawicieli do komisji wyborczej tegoż podstawowego szczebla. Ta komisja z kolei wybiera: przedstawicieli do wojewódzkiej komisji wyborczej, jednego przedstawiciela do ogólnopolskiej komisji wyborczej, kandydatów na starostę gminy lub miasta i kandydatów na radnych do rady wojewódzkiej. Jeżeli nie ma kandydatów zgłoszonych dobrowolnie, komisja wyborcza ma obowiązek wytypowania takich kandydatów (!?).

Dalej wojewódzka komisja wyborcza — wybiera ona dwóch kandydatów na stanowisko wojewody, po dwóch kandydatów na posłów do Sejmu (na każde 50 tys. mieszkańców). Zaś ogólnopolska komisja — składająca się z przedstawicieli wszystkich komisji szczebla podstawowego (czyli obecnie u nas byłoby to 3—4 tys. ludzi...) — wybiera dwóch kandydatów na prezydenta kraju.

Kandydatem na każde z wymienionych stanowisk może być obywatel, który ukończył 21 lat, ma pełnię praw publicznych, stale zamieszkuje w kraju przez ostatni rok. Nadto kandydat na radnego i posła nie może mieć więcej niż 65 lat, a na starostę, wojewodę i prezydenta kraju — nie więcej niż 62 lata. Kandydaci na stanowiska typowo wykonawcze — starosta, wojewoda i prezydent — muszą ponadto uzyskać podpisy obywateli: na starostę — 500, wojewodę — 2 tys., a prezydenta Polski — 5 tys. podpisów. (Dokładnie jak w USA).

POŁOWA MARATONU WYBORCZEGO WEDŁUG JÓZEFA G.

Teraz wybory właściwe. (Na szczęście co sześć lat, albowiem taką kadencję przewiduje Józef G. Ale by ulga nie była pełna — po trzech latach wszyscy wybrani przechodzą weryfikację — w drodze powszechnego, ogólnokrajowego referendum; ci, którzy uzyskają poniżej 50 proc. głosów, muszą ustąpić, a na ich miejsce wchodzą kolejni na listach kandydaci — czyli nawet ci, co przegrali z kretesem — albo organizuje się wybory uzupełniające...).

Same wybory według projektu Józefa G. są aktem — z powodu licznych wewnętrznych sprzeczności — niemożliwym do uczciwego przeprowadzenia. Oto np. wszyscy kandydaci mają równe prawa do reklamy w środkach masowego przekazu. Aby prawo to zrealizować, należałoby najpierw owe środki — wszystkie, które istnieją — całkowicie odpolitycznić i odideologizować. Bo gdyby np. do mojej redakcji przyszedł z zamiarem skorzystania z gazety jako przedwyborczej agitki kandydat, którego poglądy byłyby dla mnie czy moich politycznych dysponentów nie do przyjęcia, albo zgoła wstrętne, po prostu wyprosiłbym go za drzwi. Innym, bardziej może neutralnym, kazałbym pewnie płacić (i to bardzo dużo...). Natomiast ochoczo reklamowałbym kandydatów o poglądach i programie, z którymi chętnie identyfikowałbym się. W „Tygodniku Powszechnym", albo takim „Ładzie" zrobiliby identycznie — gotów jestem zaręczyć to Józefowi G. i podobnym do niego utopistom.

Same wybory mają być tajne i nieskrępowane, a nawet swobodne do tego stopnia, że zabronione byłoby odnotowywanie faktu uczestnictwa w wyborach. To założenie czyni zupełnie iluzorycznym następne postanowienie „ordynacji" — każdy wyborca może głosować tylko raz. Mimo wszelkich formalnych barier będzie można to zrobić wiele razy...

JÓZEF G. PROJEKTUJE WPROWADZENIE PRZYMUSU

uczestnictwa w wyborach, ale jeżeli samego faktu głosowania nie będzie się odnotowywać, to ów przymus może mieć charakter wyłącznie moralny, powiedzmy — obywatelski. Ale, gdy w wyborach weźmie udział mniej, niż 70 proc. uprawnionych do głosowania, to będą one nieważne — w ciągu dwóch tygodni należy je powtórzyć (już bez względu na ilość głosujących będą ważne). Dlaczego tak wysoki jest próg wyborczej frekwencji i dlaczego w ogóle go Józef G. zamierza ustanowić? Podejrzewam, że jest to dodatkowe zabezpieczenie uczciwości wyborczej — by uniknąć moralnie i politycznie dezawuującego zarzutu niereprezentatywności...

Niestety, z pewną przykrością, wywołaną szacunkiem dla ogromu pracy intelektualnej Józefa G., twierdzę, że nic nie uchroni systemu jego autorstwa od nieuczciwości i niesprawiedliwości. Albowiem system ten jest obciążony grzechem pierworodnym —

GRZECHEM POLITYCZNEJ MĄDROŚCI

Zresztą nie jeden Józef G. popełnia ten błąd w Polsce doby obecnej. Na wielką skalę popełnił go Edward Gierek, proklamując jedność moralno-polityczną narodu, popełniają liczni politycy i publicyści katoliccy, domagając się pluralizmu totalnego i absolutnego (w domyśle: równouprawnienia dla poglądów skierowanych przeciw państwu i ustrojowi).

A Józef G. projektuje ordynację wyborczą, która ignoruje współczesny i dający się przewidzieć na przyszłość układ sił politycznych w Polsce. Projektuje ordynację odpolitycznioną, populistyczną, a nadto szalenie skomplikowaną, otwierającą pole do rozmaitych nadużyć. Jeżeli tak ważny akt prawny, jak ordynacja wyborcza, nie będzie dostrzegać realnie istniejącego systemu politycznego — z jego partiami politycznymi i organizacjami o tymże charakterze, to owe siły polityczne będą działać podskórnie, nieformalnie, w sposób niemożliwy do skontrolowania przez opinię publiczną. Rzeczywistość polityczna bowiem także nie toleruje próżni. Dlatego właściwsze, skuteczniejsze i — nolens volens — bardziej moralne byłoby skonstruowanie systemu, który w sposób jawny uwzględniałby realny układ sił politycznych, stwarzając ramy do jego działania w ramach prawa, konstytucji, działania otwartego i możliwego do skontrolowania.

Mam nadzieję, że Józef G. nie obrazi się za te uwagi do jego projektu — uwagi, o które prosi w swym liście do redakcji. Nie jest to żadną miarą mentorska lekcja politycznego realizmu dla szlachetnego utopisty. Po prostu chciałbym się z Józefem G. porozumieć w jednej sprawie — że Polska nie jest bytem idealnym, w nieokreślonym czasie unoszącym się nad wodami, że istnieje realnie, między Bugiem a Odrą, w 1983 roku w podzielonym świecie, i że jest jedna — taka sama dla mnie i Józefa G. — dla wszystkich, którzy z nią związali swój los.

TOMASZ SAS

List pierwszy

Zastanawiałem się, czy warto podzielić się z panem uwagami po przeczytaniu artykułu, czy nie. Postanowiłem sprawdzić cytowany przez pana fragment Ewangelii dotyczący modlitwy. Znalazłem go, ale znalazłem przy okazji i inne. Również i taki: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Wy sami nie wchodzicie i nie pozwalacie wejść tym, którzy do niego idą". Myślę, że ten fragment odnosi się do pana i do pańskich wywodów, których zadaniem jest mącić ludziom w głowie. Rola Kościoła katolickiego w życiu narodu polskiego jest pozytywna. Radzę zajrzeć choćby do artykułów J. Majki w „Chrześcijaninie w świecie" nr 94, nr 103. Rola jezuitów mnie osobiście kojarzy się z postacią ks. Piotra Skargi. Trudno jego winić, chyba za rozbiory! O ile mi wiadomo, również w pracach Konstytucji 3 Maja brali udział księża. Nie znam się na protestantyzmie, ale pan chyba przesadza co nieco. W jezuickim piśmie „Przegląd Powszechny" 5/6, 1983, str. 226 znalazłem następujące zdanie: „Cześć protestantów na Mazurach do Matki Bożej jest wyrazem autentycznej wiary ludu Bożego Kościoła Marcina Lutra, który nie wykluczał czci do NMP i nie polecał wyrzucać Jej obrazów, figur i niektórych świąt maryjnych". Czyżby „źli" jezuici nie mieli racji, czy pan?

Pisze pan, że denerwuje pana „ostentacyjny udział w nabożeństwach". A przecież Kościół — „Ecclesia" tłumaczy pan kilka wierszy wyżej jako „Zgromadzenie". Więc wszystko w porządku, że Lud Boży należący do „Zgromadzenia" zbiera się razem i modli się. Zresztą zgodnie z innym fragmentem Ewangelii: „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich".

Trochę dziwi mnie, że dzieli pan świat na bogatych protestantów i biednych katolików. Z własnego niejako podwórka wiemy, że nasi bracia Słowianie, ateiści lub prawosławni, też są biedni. Nie należy wierzyć w słowa szatana, kiedy kusił Chrystusa: „Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego: „Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon". Na to odrzekł Jezus: „Idź precz, szatanie!". Szatan jest bowiem Księciem Kłamstwa. Społeczeństwa ateistyczne nie zagarnęły wszystkich bogactw świata. Rola cywilizacji łacińskiej w rozwoju nauki i techniki jest natomiast bezsporna („Szkice z historii socjologii polskiej", W-wa, 1983, str. 155—187). Nie ma powodów, by w imię dobrobytu odrzucać katolicyzm. Przecież ci, którzy zapowiadali kilkakrotnie w dziejach ludzkości na Ziemi dobrobyt, tylko zapowiadali. Nikt go nie zbudował i nie szybko chyba zbuduje. Przypisuje pan wszelkie zło, gospodarcze i moralne — doktrynie katolickiej. Dobry naród protestancki, powiedzmy Niemcy, zły katolicki — Polacy. Po doświadczeniach choćby II wojny światowej trudno stawiać taką tezę i dyskutować, który naród jest lepszy, czy ten, co klęka przed wizerunkiem Matki Boskiej, czy ten co — według pana — nie klęka. Zarzuca pan katolikom, że nie kochają władzy, ale czy miłowanie władców przez poddanych gwarantuje poddanym dobrobyt? Ponadto nieco inne znaczenie znalazłem cytowanego przez pana zdania: „Polska nierządem stoi". Doc. Z. Kowalewski w „Rzeczypospolitej niedocenionej" W-wa 1982, str. 9 pisze, że „współczesna interpretacja „nierządu" jako anarchii jest po prostu nieporozumieniem semantycznym oraz polityczno-kulturalnym". Oznacza, że Polska nie była podporządkowana władzy pana, ale prawu, wierze i obyczajom.

Nie przeczę, że mamy dużo wad narodowych. Wieszcz pisał: „Nasz naród jak lawa, z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, lecz wewnętrznego ognia nikt nie wyziębi", lub gdzie indziej: „Tylko pod Krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem". Cieszę się, że podoba się panu i marzy pan o cywilizacji miłości, którą proponuje światu nasz wielki rodak, Jan Paweł II. Ale to są ostatnie zdania artykułu. Wcześniejsze jednak nawołują do kochania władzy, jaka by ona nie była i solidnej rzeczy, nawet gdy byłaby ona marnowana i wykorzystywana niezgodnie z intencją pracowników. Wygląda mi to na cywilizację „socjalistyczną", a nie miłości.

JÓZEF GŁÓWKA

List drugi

Trudno odrzucić emocje czytając spory zestaw nieporozumień, więcej, bzdur pt. „Katolicyzm a rozwój Polski", pióra Pana E. Lewandowskiego. Spróbowałem, ale nie całkiem mi się to udało. Niechże więc Pan Lewandowski, czytając moich słów kilka, również spróbuje odrzucić emocje. Wiadomo, że pisanie bzdur trafiało się i trafia się jeszcze nieraz najtęższym piórom i umysłom. Nie znaczy to jednak, że należy to tolerować i temu przyklasnąć. Owszem, należy to wyjaśnić i odrzucić. Chyba, że to co Pan Lewandowski napisał nie należy uważać za bzdurę. No to wtedy jest to prowokacja! Ale odrzućmy emocje i zostańmy przy nieporozumieniach.

1. Pan Lewandowski usiłuje przekonać sam siebie i przy okazji Czytelników, że tak naprawdę, to wszystkie nieszczęścia obecnej Polski są skutkiem chrystianizacji tych wielkoduszych i szlachetnych Słowian. Chrystianizacji dokonanej siłą, z premedytacją i w interesie wąskiej grupy wstrętnych tyranów i wyzyskiwaczy. No, może w pewnych okresach, przyznaje p. Lewandowski, Kościół katolicki wniósł coś tam pozytywnego, ale było to strasznie dawno i już nieprawda, bo w artykule pozytywów nie wymienia. Dla podparcia tej tezy cytuje Autor gęsto autorytety od Galla Anonima po Theilharda de Chardina, że o Piśmie św. i Jezusie Chrystusie nie wspomnę. Jest to oczywiste nieporozumienie. Dobrze wie Pan Lewandowski, że gdyby nie chrystianizacja Polan, Mazowszan, Ślężan, Małopolan, zapoczątkowana przez Mieszka Piastowicza i Dąbrówkę, nie byłoby p. Lewandowskiego i mnie, tak jak nie ma Prusów, Jadźwingów, Wieletów, Sasów i wielu innych plemion słowiańskich i niesłowiańskich. A jeżeli już udałoby się nam zaistnieć, to nie po polsku wymienialibyśmy impertynencje. Jest oczywistością, że wszystko co posiadamy w dziedzinie kultury duchowej i materialnej jest skutkiem bezpośrednim lub pośrednim tej chrystianizacji. Ile mamy w sobie i wkoło siebie z chrześcijaństwa, a dokładniej z katolicyzmu, zobaczyć można dopiero, kiedy zaczyna się to usuwać. Nawet Order Odrodzenia Polski ma krzyż, jako symbol chwały. Odrzućmy to, odrzućmy katolicyzm, to odrzucimy i polskość i nawet samych siebie. Pan Lewandowski przypomina Czarnockiego. Pytam więc, jeśli dzięki chrześcijaństwu Słowianie stali się sobie obcy, „sobie samym cudzymi", to po jego odrzuceniu wrócą do siebie? Jak? Z przedchrześcijańskiej kultury słowiańskiej zostało tak niewiele, że aby budować nową, własną tożsamość, trzeba znów wszystko brać od innych, czyli znów być „sobie samym cudzymi". Cudzymi do kwadratu. Zgodzi się Pan, że to bzdura.

2. Zarzuca p. Lewandowski Kościołowi katolickiemu niewłaściwy stosunek do pracy ludzkiej i to następne nieporozumienie. Nauka społeczna Kościoła katolickiego od św. Pawła Apostoła z Drugiego Listu do Tessaloniczan do Jana Pawła II na lotnisku koło Katowic odkłamuje tę tezę. Po co zresztą tak szeroki zakres, ograniczmy się tylko do pism, nauk i działalności kardynała S. Wyszyńskiego. Ale pewnie nawet i tego p. Lewandowski nie przeglądał. Kościół katolicki naucza, że człowiek został stworzony przez Boga i dla Boga, stąd wszelka jego działalność musi być na Stwórcę ukierunkowana i to jest cała wielka ludzka praca. To w Kościele katolickim powstało i funkcjonuje do dziś hasło „ora et labora" i to katoliccy zakonnicy cystersi propagowali na polskich, słowiańskich ziemiach celową i efektywną pracę, łącznie z modlitwą, która tej pracy nadaje wreszcie właściwy ludzki sens. Taka praca służy człowiekowi i nie obraca się przeciwko niemu. Pan Lewandowski rozumie pracę wąsko, bardzo wąsko — jako tę część całej pracy ludzkiej, która ukierunkowana jest na produkcję towarów i usług. To jest nieporozumienie. Takie i tylko takie rozumienie pracy legło u podstaw praktycznego materializmu, pogoni za zyskiem, kultu pieniądza i niepohamowanej konsumpcji. Ubocznym skutkiem tego jest degradacja środowiska naturalnego i wyścig zbrojeń. TAK! Cały bowiem sens wyścigu zbrojeń zawiera się w subiektywnej konieczności obrony swojego stanu posiadania rzeczy, dóbr, przed tymi, którzy ten stan posiadania chcą uszczuplić. Zaś przy okazji stwarza możliwość poszerzenia tego stanu posiadania rzeczy.

Jezus Chrystus, którego Pan też cytuje, nie takie skarby każe nam gromadzić, i tak Kościół katolicki naucza. Nieszczęścia tego świata, Szanowny Panie, nie wynikają z nauki Kościoła katolickiego, a wprost przeciwnie.

Natomiast pojęcie ubóstwa ma w społecznej nauce Kościoła zupełnie inny sens. Przeciwstawianie ubóstwa pracy i identyfikowanie go z lenistwem i próżniactwem jest totalnym nieporozumieniem. Otóż ubóstwo z wyboru jest ściśle związane z ofiarą człowieka dla jego Stwórcy, a nie skutkiem lenistwa i próżniactwa. Wydaje się, że pojęcie ofiary, a ofiary w religijnym wymiarze w szczególności jest p. Lewandowskiemu nieznane. A szkoda, bo w historii Polski odgrywa ono wielkie i bardzo pozytywne znaczenie. Chociażby w sprawie wyjścia z obecnego kryzysu. Bez ofiar ze strony społeczeństwa i ubóstwa z wyboru nieprędko nam się to uda.

3. Fragment artykułu, który p. Lewandowski opracował na podstawie Peyrefitte'a to prawdziwy skarbczyk nieporozumień, a już wymienienie Polski w jednym szeregu z Chile i Argentyną nosi znamiona politycznej prowokacji (że też cenzor Panu to puścił!).

Peyrefitte jest w swej głośnej książce przede wszystkim politykiem i dobiera sobie dogodne fakty do uzasadnienia swojej tezy, a nie formułuje stwierdzeń na podstawie rzetelnej analizy wszystkich znanych faktów. Taka jest zresztą generalna różnica między politycznym a naukowym podejściem do sprawy. No bo jakże można analizować wpływ religii na rozwój społeczny państw europejskich (i nie tylko), nie uwzględniając prawosławia jako religii chrześcijańskiej i Rosji oraz Związku Radzieckiego i Niemiec, jako państw. To duży błąd i prawdy Peyrefitte'a można między bajki włożyć. Dalej wpływ Soboru Watykańskiego II na rozwój społeczny Francji przedstawił Pan Lewandowski tak precyzyjnie (za Peyrefittem), że powstała z tego znakomita anegdota. Przytoczę ten fragment w całości dla zadokumentowania zarówno trafności stwierdzeń Peyrefitte'a jak i metod „obróbki" jego dzieła przez p. Lewandowskiego.

„Dopiero Sobór Watykański II (1962—65) stworzył możliwość zmian w życiu religijnym i przez to nadrobienie opóźnień. Francja skorzystała z tej szansy i odrzuciła pancerz romański, a „dwie trzecie wiernych przestało chodzić do kościołów". Udało się przyśpieszyć rozwój, lecz trudno w krótkim czasie usunąć zło nagromadzone w ciągu czterech stuleci".

Trzeba mieć żelazną głowę lub całkowity brak szacunku do Czytelnika, by wypisywać takie kwiatki. I odrzuć tu, Czytelniku, emocje!

Korzystając z metody „Peyrefitte'a można udowodnić taką tezę: „Katolicyzm tak głęboko wyrył w sercach ludu poczucie sprawiedliwości społecznej i ufność w opiekę Bożą i władzy, że w warunkach krańcowych biorą one górę nad miłością bliźniego i umożliwiają sukcesy a nawet zwycięstwo rewolucji socjalistycznych". Przykładem w 1917 r. Rosja (prawosławie nie różni się w tym tak bardzo od katolicyzmu), katolicka Bawaria i katolickie Węgry, a w naszych czasach katolicka Kuba, katolickie Chile prezydenta S. Allende, katolicka Angola i katolicka Nikaragua. Natomiast w „socjologicznie protestanckich" Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Australii jest to po prostu niemożliwe. Zgrabne, prawda! Tyle, że też bzdurne. Jeśli zechce to Pan gdzie wykorzystać, może się Pan na mnie powołać.

Dla Peyrefitte'a atrakcyjność protestantyzmu ma chyba inne podłoże niż wymienione w artykule. Otóż jest jeszcze jedna różnica między katolicyzmem a protestantyzmem, mianowicie: głowa Kościoła katolickiego i zastępca Chrystusa na Ziemi czyli papież jest jeden i ma swoją stolicę w Watykanie, natomiast zwierzchnikiem Kościoła protestanckiego jest każdorazowy szef państwa, na którego terytorium Kościół ten działa. Dla polityka główną przyczyną atrakcyjności protestantyzmu jest jego podatność na manipulacje władzy państwowej. Tego Pan Lewandowski skromnie nie zauważył. „Gdyby" natomiast, co mogłoby być, gdyby w Polsce przyjął się luteranizm lub kalwinizm, lub inny protestantyzm. Otóż według mnie prawdopodobnie skolonizowalibyśmy Europę aż po Ural, osadzając tam czarnych niewolników z Afryki i pewnie zrzucilibyśmy bombę atomową na Addis Abebę. Jak fantazja, to fantazja!

4. Z tekstu artykułu wynika niedwuznacznie poparcie Autora dla tezy o fatalnym wpływie jezuityzmu (gdzie Pan wynalazł to słowo?) na mentalność Polaków. W niedalekiej przeszłości można było wyczytać w polskiej prasie o fatalnym wpływie na Polskę i Polaków szeregu innych -izmów i też jakoś to przeżyliśmy. Trzeba być jednak w ocenach trochę rzetelniejszym, gdy prosi się o poważne ich traktowanie. Prócz Szujskiego, Gomułki i Górskiego o jezuitach źle pisały jeszcze inne autorytety. Ale są i tacy, równie poczytni autorzy, którzy pisali o „jezuityzmie" i jezuitach trochę lepiej. A o jednym polskim jezuicie to nawet A. Mickiewicz napisał, że „w nim się odbija cały kraj, cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet i napisał to z aprobatą (jako znany erudyta wie Pan Lewandowski o kim to pisał i gdzie to jest napisane). Zresztą sam Autor artykułu z aprobatą głosi poglądy ks. Teilharda de Chardina, również jezuity, stwierdzenie, że „jest raczej przesadą, że to właśnie jezuici doprowadzili nasze państwo do upadku i oni ponoszą główną winę za wady polskiego charakteru narodowego" jest panie Lewandowski, obrzydliwie niesmaczne. Prawda o jezuitach nie jest taka prosta i czarna, jak to próbuje nam Pan przedstawić.

5. Nieporozumieniem jest stwierdzenie Pana Lewandowskiego, że „mamy dziś przecież zdecydowanie najbardziej religijne społeczeństwo w Europie, a jednocześnie chyba najwięcej też zdeprawowane". Statystyki urzędowe nie podają liczby skazanych wiernych do ogólnej liczby obywateli wierzących w PRL, ale szacunkowo nie jest ich większy procent niż w innych normalnych „tradycyjnie protestanckich" społeczeństwach o czym świadczyć może artykuł „Home, sweet home..." — wstydliwe kulisy społeczeństwa dobrobytu" na 12 stronie tego samego numeru „Odgłosów". Czyżby Pan Lewandowski tego nie czytał? Natomiast opinia Heinza Kühna o polskim Kościele katolickim jest, Panie Lewandowski, znakomita. Średniowiecze było najgorszym okresem w historii ludzkości, znamy kilka innych, trochę gorszych. Dla p. Kühna tylko czasami polski Kościół katolicki robi wrażenie średniowiecznego. Ponieważ Pan Lewandowski nie daje przykładu współczesnych polskich biczowników i współczesnej polskiej św. Inkwizycji, rozumiem, że tych średniowiecznych elementów religijnych w polskim Kościele również p. Kühn nie dostrzegł. A czy to źle, że „polski katolicyzm nie da się porównać z żadnym zachodnioeuropejskim"? Uważam, że dobrze. Minister J. Urban poucza nas nader często, że nie wszystko co zachodnioeuropejskie jest dobre i dla Polski korzystne. Czyżby Pan Lewandowski był przeciwnego zdania.

6. Największym natomiast nieporozumieniem w tym artykule jest recepta na „jakościowo wyższy poziom (zbliżony do krajów zachodnich) stanu gospodarki i konsumpcji" w Polsce, czyli Lewandowski Kościół Radykalny Zreformowany. Szanowny Pan Lewandowski w swych zapędach reformatorskich zredukował Kościół do „swojej izdebki" z zamkniętymi drzwiami i tak radykalnie, że nawet Boga w tym Kościele nie ma. A Bóg, proszę Pana, jest „który Jest" i nie zmienia się, jest „niereformowalny" i albo Go się przyjmuje takim jak Kościół katolicki naucza, albo się Go odrzuca. Tylko, że odrzuciwszy Boga z miłości bliźniego zostaje miłość zgrabnej blondynki (jak to opisuje p. Nienacki na ostatniej stronie tychże „Odgłosów"), dobrym uczynkiem jest „jak Kali ukraść krowę", a moralność to jest to co trzeba egzekwować od drugich, a nie od siebie samego.

Jeżeli „musimy się na coś zdecydować", jak to nawołuje p. Lewandowski, to dajmy sobie spokój z wypisywaniem takich artykułów, a weźmy do ręki Ewangelię, potem katechizm religii katolickiej (mogę pożyczyć, jeśli Pan ich nie czytał), a potem uklęknijmy i zróbmy dokładny i szczegółowy rachunek sumienia. Dalej już uczyńmy to, co sumienie nam wskaże i tak jak katechizm zaleca. Wtedy, wydaje mi się, nie trzeba będzie reformować polskiej religijności, ani przechodzić na protestantyzm, a miłość bliźniego zrekompensuje Panu Lewandowskiemu utracone honorarium.

Z wyrazami szacunku

GRZEGORZ KOWALSKI

PS. Niech mi Szanowny Pan Lewandowski wybaczy i „te bzdury" i „Lewandowski Kościół". Nie mogłem odrzucić wszystkich emocji, brak mi humanistycznego wykształcenia. Teologicznego zresztą również.

G. K.

Odpowiedź

Jeszcze raz o katolicyzmie

W odpowiedzi na mój artykuł „Katolicyzm a rozwój Polski" zamieszczony w 44 numerze „Odgłosów", sporo Czytelników wyraziło — ustnie, telefonicznie i listownie — swoje opinie i poglądy. Bardzo dziękuję za wszystkie uwagi, a tym którzy wypowiedzieli się ostro i nawet obraźliwie, z całego serca przebaczam. Rozumiem bowiem, że dotknąłem spraw subtelnych i obchodzących większość naszego narodu.

Jak zwykle w podobnych przypadkach, nie obyło się bez licznych nieporozumień. Niektórzy przeciwnicy, jak i zresztą zwolennicy, zaprezentowanych przeze mnie poglądów dopatrzyli się w tekście różnych podtekstów lub opacznie odczytali pewne tezy i hipotezy. W związku z tym, zachęcony przez redakcję, postanowiłem krótko odpowiedzieć na postawione mi zarzuty.

1. Nie pisałem o roli Kościoła katolickiego w historii Polski, lecz o jego wpływie na rozwój kraju. Zgadzam się, że Polska i Polacy dużo zawdzięczają chrześcijaństwu, że w pewnych okresach naszych dziejów (szczególnie podczas rozdrobnienia dzielnicowego i rozbiorów) Kościół był siłą integrującą i narodotwórczą. Są to przecież rzeczy oczywiste, których nikt uczciwy i obiektywny zakwestionować nie może. Ale równocześnie stwierdzam, że istnieje wyraźny i chyba nieprzypadkowy związek między poziomem rozwoju gospodarczego i etosem życiowym a rodzajem wyznania chrześcijańskiego. Społeczeństwa katolickie mianowicie, w porównaniu z protestanckimi, znacznie gorzej sobie radzą pod względem cywilizacyjnym, politycznym i moralnym. Wystarczy spojrzeć na mapę i zapoznać się z danymi statystycznymi, aby się o tym przekonać.

W Europie państwa katolickie zajmują południową i środkową część, natomiast kraje protestanckie znajdują się na północy i zachodzie. Z kolei w Ameryce protestanci zdecydowanie dominują na północy, katolicy zaś tworzą państwa w południowej i środkowej części kontynentu. Na czele tabeli obrazującej dochód narodowy na 1 mieszkańca mamy Szwajcarię, Szwecję, Stany Zjednoczone, Kanadę, Norwegię, Republikę Federalną Niemiec i Danię. Społeczeństwa protestanckie są też bardziej stabilne politycznie, lepiej zorganizowane i mniej scentralizowane. Jeśli wykluczyć USA — jako nietypowy przypadek i wyjątek potwierdzający regułę — to w krajach protestanckich panuje również większy ład moralny. Nie chodzi przy tym o wskaźniki przestępstw, lecz o powszechny klimat obyczajowy. Narody protestanckie charakteryzuje silnie rozwinięty duch obywatelski.

Tezę o znaczącym wpływie protestantyzmu na rozwój gospodarki i ustroju kapitalistycznego wysunął w latach 1904—1905 wybitny socjolog niemiecki Max Weber. Stanowisko jego potraktowano jako opozycyjne wobec marksizmu, gdyż miało z niego wynikać, że świadomość (religia) determinuje byt społeczny. Lecz w istocie Weber nie negował znaczenia czynników społeczno-ekonomicznych dla powstania kapitalistycznej cywilizacji przemysłowej, utrzymywał tylko, iż protestantyzm, a zwłaszcza purytanizm, stanowił jedną z bardzo ważnych sił sprawczych.

Dziś jest już rzeczą niewątpliwą, że mentalność protestancka znakomicie sprzyjała powstawaniu społeczeństwa przemysłowego, ale należy pamiętać, iż źródłem tej mentalności były nowa sytuacja społeczna i nowa kondycja ludzka, które ukształtowały się podczas żywiołowego rozkładu struktur średniowieczno-feudalnych. Duch pracowitości, zapobiegliwości i pomnażania majątku wziął się przede wszystkim stąd, że w pewnym momencie ludzie zdobyli wolność, lecz utracili poczucie bezpieczeństwa, ponieważ prawa rynku i gospodarki towarowo-pieniężnej rozbiły dawne korporacyjne więzi społeczne. Jednostki i rodziny stanęły nagle same wobec Losu — wolne, lecz niepewne przyszłości. W celu zabezpieczenia się przed różnymi klęskami trzeba było gromadzić jak najwięcej dóbr, ale katolicyzm potępiał taką zapobiegliwość, więc został zreformowany zgodnie z interesami mieszczaństwa.

2. Nie napisałem, że za wszystkie nasze kłopoty ponosi winę Kościół katolicki, gdyż byłaby to ewidentna bzdura. Jestem natomiast zdania, że panujący w Polsce tradycyjny model religijności poważnie przeszkadza w rozwoju społecznym kraju. Model ten kształtuje bowiem określone formy myślenia i działania, które nie odpowiadają wyższemu poziomowi cywilizacyjnemu. Dostrzegam, rzecz jasna, także inne ważne bariery na drodze rozwoju Polski, ale tę uważam za niezwykle istotną. Wystarczy skonstatować, że nie ma na świecie żadnego państwa wysoko rozwiniętego z religijnością i mentalnością podobną do naszej. Widocznie jest tak, że albo ma się tradycyjną religijność, albo wysoki poziom cywilizacji. Tertium non datur. Kościołowi zaw-

dzięczamy to, że bliższe nam są: średniowiecze niż odrodzenie, barok niż oświecenie, romantyzm niż pozytywizm.

To prawda, że w Kościele katolickim powstało hasło „ora et labora", jednakże owo „ora" było przed „labora". I odpowiednio pierwsi byli „oratores" i nawet „bellatores", a ostatni „aratores" czy „laboratores". Zupełnie inaczej niż funkcjonowały te sprawy w kulturze protestanckiej, gdzie raczej obowiązywała zasada: „orat qui laborat" (modli się ten, kto pracuje).

Szanuję bardzo i doceniam stanowisko Jana Pawła II w kwestiach pracy i klasy robotniczej. Należy jednak żałować, że tak późno Kościół zdobył się na encyklikę „Laborem exercens", że przedtem z uporem godnym wyższych celów konsekwentnie zwalczał ruch robotniczy. Zwalczał zresztą także ruch ludowy, o czym można się przekonać np. na podstawie wspomnień Wincentego Witosa.

Obrona tradycji i hamowanie postępu było notabene czymś normalnym w działalności Kościoła. Jak słusznie podkreślają William Thomas i Florian Znaniecki, Kościół zawsze tak długo walczył o utrzymanie starego systemu i przeciwstawiał się wszelkim innowacjom, jak tylko było to możliwe. I nie trzeba się temu dziwić, gdyż taka jest jego rola — konserwatywna właśnie. Na temat naszego Kościoła Melchior Wańkowicz pisał następująco: „Kontrreformacja w Polsce zbyt łatwe miała zwycięstwo, dzięki czemu katolicyzm przybrał formę obyczajowego folkloru, spłyciał, stał się domeną wstecznictwa w większej mierze niż na Zachodzie, gdzie musiał wysilić wszystkie swoje walory duchowe".

Warto w tym miejscu postawić pytanie, jaką rolę odegrał Kościół w rozwoju Polski Ludowej? Zdaniem znanego pisarza i publicysty Aleksandra Bocheńskiego była to rola dość negatywna. W głośnej przed dziesięcioma laty książce „Rzecz o psychice narodu polskiego" czytamy, że po śmierci kardynała Adama Sapiehy zwyciężył w Kościele kierunek zakładający tymczasowy charakter socjalizmu i w tym duchu kształtowano psychikę wiernych. Kościół skupił przeciwników nowego ustroju, stał się organizacją polityczną i siłą opozycyjną. „Żadna wielka akcja mająca na celu wzmocnienie gospodarki nie mogła liczyć — pisze Bocheński — na poparcie episkopatu i licznej doborowej armii duchowieństwa. Straty w zakresie zdolności mobilizacji sił, jakie tu kraj poniósł, obciążają Kościół co najmniej w tym stopniu, w jakim polityków obciążają ich błędy."

3. Nie postulowałem zniesienia religii katolickiej i obalenia Kościoła. Tylko szaleniec mógłby coś takiego głosić. Stwierdziłem jedynie, że Polska powinna zdobyć się w końcu na reformację religijno-moralną; jeśli rzeczywiście pragnie doścignąć w rozwoju ekonomicznym i konsumpcyjnym kraje zachodnie. Powtarzam: jeśli faktycznie na tym nam zależy!?

Niektórzy moi polemiści sugerują, że wcale nie powinniśmy przywiązywać dużej wagi do materialnych zagadnień doczesnych, lecz dbać o własne dusze i zabiegać o zbawienie wieczne. Ale skoro tak, to nie narzekajmy na kryzys i powolny rozwój. Trzeba się na coś zdecydować. Osobiście nie dbam zbytnio o dobra materialne i mógłbym nawet przyjąć ideał chrześcijański w tym zakresie, ale ilu rodaków na to by się zgodziło? Mam wrażenie, iż raczej niewielu, tym bardziej, że ostatnio obserwujemy wyraźny wzrost pazerności i upowszechnianie się postaw drobnomieszczańskich. Mnożą się więc przeciwnicy ideału Chrystusowego.

Postawa dewaloryzacji doczesności, tak mocno ugruntowana w katolicyzmie, miała też sporo przeciwników wśród filozofów. Stanisław Brzozowski, w głośnej „Legendzie Młodej Polski", pisał: „Fałszem katolicyzmu jest, że życie oddarte od wytwórczości, nie troszczące się o nią, ma decydować o istnieniu człowieka we wszechświecie, utrzymywać go w nim. Organizacja życia na takich zasadach, jak gdyby ono było nie procesem tworzenia rzeczy nowych, lecz wysługiwania się na rzeczy istniejące — jest kręgosłupem tego gmachu fałszu, który jest gmachem wiary dla większości naszego narodu."

4. Nie proponowałem zastąpienia katolicyzmu protestantyzmem i nie twierdziłem, że religia protestancka jest lepsza od katolickiej. Uważam tylko tyle, że protestantyzm dobrze sprzyja rozwojowi społeczno-gospodarczemu, a katolicyzm raczej hamuje rozwój. Ocenę, która z tych religii jest lepsza czy gorsza, pozostawiam ludziom wierzącym.

Nie jestem przy tym pewien, czy duch protestantyzmu w ogóle odpowiada psychice naszego narodu. Warto zwrócić uwagę na ciekawe zjawisko, że reformacja zwyciężyła wyłącznie w krajach germańskich, a nie przyjęła się u ludów romańskich i słowiańskich. Nawet na terenie Wielkiej Brytanii ludność pochodząca od Celtów (Irlandczycy, Szkoci i Walijczycy) pozostała przy wierze katolickiej, zaś germańscy Anglicy są protestanccy. Hegel sądził, że Słowianie nie mogli opowiedzieć się za reformacją, ponieważ dominowało u nich rolnictwo, z którego wynika istnienie stosunku sługi i pana. Narody romańskie z kolei nie mogły, jego zdaniem, przyjąć reformacji z powodu swego heterogenicznego charakteru i pewnego ubóstwa życia wewnętrznego. „Kulturalni Francuzi — pisał — mają przeto niechęć do protestantyzmu, gdyż wydaje im się on czymś pedantycznym, czymś smutnym, moralnie małostkowym. U protestantów bowiem duch i myśl muszą same zajmować się religią, podczas gdy przy mszy świętej i innych obrzędach katolickich nie potrzeba o niej myśleć. Wystarczy uczestniczyć w imponującym, zmysłowym widowisku, przy którym można bez zastanowienia mamrotać modły, by spełnić to, co należy." Myślę, że te słowa wielkiego filozofa odnoszą się także w jakimś stopniu do naszego narodu i może wszystkich Słowian.

Żeby uniknąć nieporozumień, jeszcze raz powtórzę swój pogląd. Uważam otóż, że poważną przeszkodą na drodze rozwoju Polski jest tradycyjna, nie z tej epoki, forma katolicyzmu, którą ostatnio w dodatku się umacnia. Jeśli więc naprawdę chcemy się rozwijać gospodarczo, to musimy zmienić tę formę na adekwatną do drugiej połowy XX wieku i wykształconego społeczeństwa. Wystarczy choćby wziąć przykład z arcykatolickiej Austrii lub Francji.

5. Nie potępiałem wszystkich absolutnie jezuitów. Zakon ten zrobił dużo dobrego i dużo złego. Zorganizowany w 1534 r. przez byłego żołnierza i fanatycznie wierzącego antyintelektualistę, wypracował wzory policyjne i stosował złowrogie hasło „cel uświęca środki", ale równocześnie wydał wielu wybitnych i światłych ludzi, jak np. wspomnianego przeze mnie księdza Teilharda de Chardin czy słynnego naszego kaznodzieję i pisarza — Piotra Skargę. W obronie jezuitów nie trzeba przywoływać autorytetu Adama Mickiewicza, jak to uczynił jeden z moich korespondentów, ponieważ znakomity nasz wieszcz był, niestety, człowiekiem konserwatywnym: pochwalał liberum veto, potępiał dzieło Sejmu Czteroletniego i Konstytucję 3 Maja, gloryfikował średniowiecze i Polskę szlachecką.

Pisałem o jezuitach dlatego, że niektórzy upatrywali przyczyn upadku naszego państwa w ich wychowaniu. Mnie samemu hipoteza ta wydaje się zbyt jednostronna, chociaż nie pozbawiona podstaw. Oddziaływanie jezuitów sprzyjało upadkowi Polski, stanowiło dodatkowy element rozkładu państwa.

Grzegorzowi Kowalskiemu nie podoba się słowo „jezuityzm". Wyjaśniam zatem, że nie jest to mój neologizm. W Słowniku Wyrazów Obcych (PWN 1971) pod hasłem „jezuityzm" czytamy: „zasady, teorie, sposób postępowania właściwe jezuitom; przen. fałsz, obłuda, przewrotność."

EDMUND LEWANDOWSKI

„Jak się bawić, to się bawić"

(Wyjaśnienie współoskarżonego)

Przyrzekam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, choć obawiam się, że prawda ta nie dla wszystkich i nie ze wszystkim będzie przyjemna.

„Polityka" zabawiła się dość brzydko w numerze 47 z datą 19 listopada br. publikując na pełnej kolumnie zbiór dokumentów i listów opatrzony pogodnym tytułem jak wyżej, wśród których znalazł się także sygnowany przeze mnie tekścik. Gdybym był tylko zgadywał, że roboczy ten dokumencik doczeka się zaszczytnego druku, mimo spóźnionej pory — ocena miała być przedstawiona następnego ranka po wieczornej prezentacji programu — stylizowałbym go uparcie słowo po słowie; niestety człowiek strzela, a „Polityka" kule nosi, spodziewaliśmy się awantury, jednak nie aż tak wielkiej. A tu chlup — cała zupa wylała się na obrus.

Co gorsza łódzki czytelnik ma prawo być całkowicie skołowany lekturą. Czyta i nic nie rozumie, czyta i dowiaduje się tyle mniej więcej, że gdzieś tu, pod jego bokiem, rozpętana została afera na ogólnokrajową skalę, w którą — przynajmniej pośrednio — zamieszani zostali poważni ludzie na poważnych stanowiskach. Ktoś kogoś, jakiegoś zespołu, do Łodzi nie wpuścił, ktoś kogoś spostponował, ktoś się na czymś nie zna, a że nie wiadomo dobrze, kto i na czym — najprościej będzie, gdy z całym kramem udamy się do sądu. I niechże sąd rozstrzyga, czy wciąż idzie o program variette „Jak się bawić, to się bawić — ale tylko razem z nami" przygotowany przez — już rozwiązany zresztą — Zespół Usług Artystyczno-Propagandowych „Grunwald", od którego rozpoczęła się cała wrzawa, czy też o wzmiankowany przez p. Ryszarda Tarasewicza w ostatnim z publikowanych w „Polityce" listów zgoła inny program „Paragraf i Ty" będący — jak zgaduję — artystyczną projekcją mojej niewesołej przyszłości.

Tego ostatniego programu nie widziałem wszelako i nie oceniałem, co więcej po przykrych doświadczeniach oglądać i oceniać nie chcę; mogę go natomiast odsiedzieć, ale jedynie w ramach wyroku. Jedno więc z dwojga: albo p. Tarasewicz w korespondencyjnym impecie coś pokręcił, albo „Polityka" chytrze manipuluje tekstami, w razie czego przypozwiemy tedy stołecznych kolegów do procesu, boć i galery mogą okazać się znośne, gdy danym nam będzie wiosłować w doborowym towarzystwie.

2.

Dosyć już jednak wisielczych żartów, wypadałoby raczej to i owo czytelnikom objaśnić, wprowadzić ich niejako w sprawę, która źle się zaczęła i — być może — jeszcze gorzej się skończy.

Powołując Komisję Artystyczną dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ, Ryszard Czubaczyński nie sposobił nas ani do bitwy, ani do bitki. Sam będąc twórcą znał, jak sądzę, uczulenie innych twórców na urzędnicze decyzje, wolał tedy, iżby decyzje te — gdyby miały okazać się przykre — zapadały przy współudziale ludzi sztuki, czy choćby tylko wieloletnich recenzentów jak podpisany niżej.

Komisja nie miała niczego narzucać, ani niczego nakazywać, miała jedynie odsiewać programy mniej wartościowe artystycznie, a to w myśl rozumowania, że w dobie kryzysu sumka wydzielana na kulturę w budżetach rodzinnych jest zazwyczaj raczej nikła, przeto ktoś, kto wykosztuje się na widowisko mierne, na to ciekawsze może już nie mieć grosza.

Pech chciał, że program zaproponowany przez Zespół Usług Artystyczno-Propagandowych „Grunwald" był jednym z pierwszych, jaki podlegał ocenie.

Pech chciał również, że tego wieczoru miałem akurat trochę czasu, gdy inni członkowie komisji — zapewne roztropniejsi — czasu tego nijak znaleźć nie mogli.

3.

Cóż o programie „Jak się bawić, to się bawić" mogę powiedzieć dzisiaj, z odległej już perspektywy?

Ano, to mniej więcej, co pół roku temu podpisałem, choć nie przygotowując tej wspólnej, komisyjnej oceny do druku, używaliśmy — rzecz zrozumiała — myślowych skrótów i sygnalnych haseł, wierząc jakże naiwnie, że porozumiemy się jak ludzie z branży z innymi ludźmi z branży. Na próbie czy za kulisami teatru nie wygłasza się przecież referatów, ani nie używa wykwintnego języka teatrologów, najczęściej wystarczają dwa czy trzy słowa zrozumiałe dla każdego aktora.

Jeżeli tedy wytrawny muzyk Andrzej Rokicki mówi, że część solistów miała najwyraźniej zbyt mało prób z zespołem akompaniującym, to nie ma co powiewać dyplomami, bo nikt tych dyplomów nie kwestionuje. Idzie o próby i tylko o próby, nie zaś o dyplomy, a tym bardziej nie o ideologię.

Podobnie p. Tarasewicz strasznie się sierdzi na określenie „dowcipy seksualno-ginekologiczne", ale przecież wie dobrze, o jakie dowcipy tu chodzi. W gazecie byłbym pewno użył stosownego słowa na cztery litery, jednak w dokumencie urzędowym — jak mogłem?! Wolałem coś z łaciny, bo to ładniej, no i dzieci nie zrozumieją...

Innym nurtem ochoczo eksploatowanym w konferansjerce były dowcipy o Gierku, choć nie tylko o Gierku zresztą. To już z kolei sprawa taktu i poczucia aktualności, cóż to bowiem za dowód odwagi prześmiewać się w połowie 1983 roku z byłego I sekretarza? I żeby chociaż były to dowcipy odkrywcze, prawdziwie śmieszne, ale nie, były ciężkie i toporne niby kamienne maczugi wyłupywane ongiś przez naszych praprzodków.

Można by tu dorzucić pewne racje ogólne, ale te w cytowanym na łamach „Polityki" liście przekonywająco i jasno wyłożył wiceprezydent Miasta Łodzi dr Jan Nosko, nie będę więc ich powtarzał, iżby nie wyłamywać drzwi i tak już szeroko otwartych.

4.

I jeszcze jedno, kilka zdań ostatnich.

Doprawdy nikomu nie życzyliśmy źle, prócz poczucia zawstydzenia było w nas poczucie odpowiedzialności. Odpowiedzialności, rzekłbym, podwójnej: za to, co łódzka publiczność obejrzy i za to, co Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald" łódzkiej publiczności pokaże.

NOBLESSE OBLIGE — szlachectwo zobowiązuje. Zobowiązuje statut, zobowiązuje przyjęta platforma ideowa, zobowiązuje wreszcie fakt, że wśród założycieli „Grunwaldu" byli artyści i twórcy kultury o uznanych — choć niekiedy może również kontrowersyjnych — nazwiskach. Innymi słowy po programie firmowanym przez „Grunwald" publiczność miała prawo spodziewać się więcej, a nie mniej niż po programie firmowanym przez pierwszą z brzegu estradę.

Na to wszystko p. Ryszard Tarasewicz odpowiada w sążnistych listach, że artyści mają dyplomy, program został ocenzurowany, cel był szlachetny — bo z przeznaczeniem części dochodu na Szpital Pomnik Matki-Polki — zaś on sam należy do twórców zaangażowanych, przeciwnych wszelkim formom stosowanego swego czasu bojkotu.

Cóż, skoro tak, to jesteśmy — i byliśmy zawsze — po jednej i tej samej stronie barykady. Przykro i niemądrze trochę licytować się na minione zasługi, ale należę do tej grupy dziennikarzy, która podczas sławetnych „dni bez prasy" zdołała mimo wszystko wydać w Łodzi „Głos Robotniczy", a potem wydawała go w pierwszych, jakże trudnych dniach stanu wojennego. Też przeżyłem co swoje, nie czuję się jednak z tej okazji dożywotnio zwolniony od wszelkiej krytyki, raczej przeciwnie.

Dyplomów — powtarzam to już po raz drugi — nikt nie kwestionował, dziecko wie, że dyplomowani artyści mogą wygłaszać bądź wyśpiewywać na estradzie koszmarne bądź przynajmniej dawno już nieaktualne teksty, które nie sami przecież pisali. Urząd Kontroli Prasy i Widowisk nie zajmuje się artystyczną stroną programów. Piękny cel niczego nie usprawiedliwia, ba, zobowiązuje raczej do zdobywania środków w równie piękny i szlachetny sposób.

Zespół Usług Artystyczno-Propagandowych „Grunwald" zdołał zgromadzić na scenie spora grupkę rzeczywiście niezłych wykonawców — w tym łodzian, solistów Teatru Muzycznego, zastępujących zresztą wcześniej zapowiadanych artystów warszawskich — zrobił jednak zasmucająco mało, aby mogli zaprezentować się ze swojej najlepszej strony.

Gdyby król Jagiełło — tak pewno recenzowałbym to widowisko — równie pośpiesznie przygotowywał swoje wojska do bitwy pod Grunwaldem, zostałaby ona niechybnie przegrana. Nie wystarczy bowiem mieć dobrą armię, ale trzeba jeszcze umieć ustawić ją w ordynku, o co — w przeciwieństwie do roztropnego króla — realizatorzy programu „Jak się bawić, to się bawić" najwyraźniej nie chcieli czy nie potrafili zadbać.

Dziś dodam coś więcej. Gdyby p. Ryszard Tarasewicz, kierownik artystyczny programu, miast pisywać listy do ludzi zapracowanych, zajętych, mających doprawdy poważniejsze zmartwienia na głowie, zaangażował reżysera, wspólnie z nim wyrzucił połowę mówionych tekstów, drugą połowę zastąpił świeższymi, „podkręcił" tempo, zarządził kilka przynajmniej całościowych prób muzycznych, słowem popracował nad programem czas jakiś — nie trzeba byłoby teraz dochodzić, co kto komu powiedział przez telefon, a co podczas rozmowy w gabinecie.

I wszyscy byliby zadowoleni: publiczność, Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, nieszczęsna komisja — dziś posądzona o brak kwalifikacji, złą wolę i wszelkie możliwe bezeceństwa — również budowniczowie Szpitala-Pomnika, na których konto wpłynęłyby pewno jakieś finansowe środki.

A tak spotkamy się najpewniej w sądzie bez żadnego wyraźniejszego pożytku dla kogokolwiek... Ech, życie, życie...

JERZY PANASEWICZ

List do Piotra Sikorskiego

Drogi Piotrusiu, Przyjacielu (bo wolno mi chyba Cię tak nazwać?) od lat dwudziestu!

Dziękuję za odpowiedź na „Drzewa", a Panu Redaktorowi za wydrukowanie, gdyż jest to pierwszy publiczny dowód na to, że ktoś mnie czyta. Znakomicie mnie to podbudowuje! Ale ad rem (chyba dobrze napisałem?): po pierwsze nie wbijam klina między inteligencję pracującą, robotników i chłopstwo, nie szukam masonów, ani żydów. O odcinaniu się od swych gniazd — że tak poetycko powiem — przybyszów ze wsi, osad i małych miasteczek, o „wstydzeniu się" rodziców napisano już tomy i powstało niejedno dzieło sztuki. Problem istnieje i nie ja go wymyśliłem. Wiem natomiast, że jesteś chlubnym wyjątkiem, że Twoje zaangażowanie w sprawy „gniazda" i ziemi podlaskiej daleko przekracza normy — i to właśnie usprawiedliwia Twoje wzburzenie, lecz problemu nie załatwia. Tak samo nie zmienię zdania o zafascynowaniu asfaltem i betonem, chociażby objawy miały być pozorne i obliczone na efekt „my z miasta!".

Po drugie — Amik nie siusiał pod krzaczki, gdyż nigdy nie był wypuszczany samodzielnie. A trafia się i tak, że lokator z X piętra wypuszcza piesia samopas na klatkę schodową, aby sobie poradził sam. Piesiu często już np. w połowie drogi nie wytrzymuje, czego trwałe dowody na podestach.

Po trzecie — pisząc o dzieciakach grających w piłkę tuż pod oknami — miałem na myśli mój najdłuższy blok w Łodzi. Prawda jest taka, że w prostej linii od okien, około 80 m, jest wystarczająco duża łąka, na której pociechy mogą robić, co im się podoba. Nigdy nie nawoływałem, aby wyganiać dzieci na asfaltowane lub betonowane place.

Po czwarte — wsi oczywiście nie znam, bo z niej nie pochodzę. Babunie pomarły na tyle wcześnie, że niczego się od nich na ten temat nie dowiedziałem. Natomiast *mieszkałem* na wsi (Biała, pod Zgierzem) przez kilka sezonów letnich w okresie wojennym, gdzie za nieodciągane mleko i razowy chleb (jedyny dla miastowych" ratunek przed np. anemią w tym czasie) — bardzo prozaicznie pasałem krowy, pilnie przy tym obserwując środowisko. Może to nie te czasy, ale w tym sensie wieś znam, nie tylko z okien autobusu.

W końcu — zawsze byłem przekonany, że w łacinie (szkolnej) jesteś lepszy, tu więc przynajmniej miałem rację!

Ale, ale! Sprawa najważniejsza: używasz określeń „odpowiedzialność za słowo", „nonszalancja", „dyskryminacja"... Cóż mogę na to odpowiedzieć? Moje doświadczenie skromniutkie. Od chwili, gdy — jak pisze I Rotacyjny — Redaktor okazał miękkie serce i wydrukował mój pierwszy felieton minęło dopiero kilka miesięcy. Zawsze mi się jednak wydawało, że mam prawo do własnych osądów, bez pretensji do „kształtowania" opinii i poglądów. Nie przyznaję się również do nonszalancji wobec czytelników, szczególnie dlatego, że nie uważałem ich i nie uważam za bezmyślnych i dających się byle jakim sposobem „kształtować". Czego najlepszym dowodem jesteś Ty!

Jeśli piszę — to dlatego, by publicznie podzielić się swymi uwagami, co wcale nie oznacza, że zawsze muszą być one trafne i że każdy ma się z nimi zgadzać. Tego nie oczekiwałem i nie oczekuję. Może tylko wydaje się, że do niektórych spraw podchodzę w mało majestatyczny sposób. No cóż — nie chcemy się chyba skazywać na czytanie samych prac doktorskich?

Serdecznie Cię pozdrawiam

W. AFELT

Nocą w karetce pogotowia

EDWARD BRYL

Grupa pracowników łódzkiego Pogotowia Ratunkowego wystosowała do telewizji pełen oburzenia list z powodu bezpodstawnych, ich zdaniem, coraz częstszych ataków środków masowego przekazu, zwłaszcza prasy, szkalujących służbę zdrowia. Zapewne bezpośrednią przyczyną były październikowe komunikaty PAP, które zbulwersowały opinię publiczną w całym kraju.

„Kilka dni temu prokurator rejonowy dla dzielnicy Warszawa Śródmieście aresztował podejrzanych o dokonanie napadu rabunkowego — lekarkę pogotowia ratunkowego i dwóch kierowców sanitarki".

30.X. dziennikarza PAP poinformowano, że podobnego napadu dokonała inna załoga pogotowia ratunkowego...

W liście wyrażono również protest przeciwko artykułom autora niniejszego reportażu, dotyczącym problemów służby zdrowia. Domagano się także, aby w związku z narastającą agresją społeczeństwa wobec lekarzy i innych pracowników pomocy doraźnej, w każdej karetce, obok zespołu, jeździła osoba godna ze wszech miar zaufania — funkcjonariusz MO. Nie sposób było przejść obok tak postawionej kwestii obojętnie. Postanowiłem sprawdzić kto kogo bije i czy w ogóle bije.

Zespół wypadkowy W-4, w składzie: doktor Józef Gierłowski, sanitariusz Marek Santa, kierowca Marek Maciejewski i ja — na sygnale próbował wyjechać za bramę stacji Pogotowia Ratunkowego przy ulicy Sienkiewicza. Na próżno! Autobusy MPK, które mają przystanek tuż przy budynku pogotowia tarasowały drogę i żaden ani myślał ustąpić miejsca karetce, choć włączony sygnał słyszalny był w promieniu kilkunastu ulic, a niebieskie światło migotało prosząco. Podobnie zachowywali się inni kierowcy. Przepuszczanie wozów sanitarnych należy do dawno już zapomnianych tradycji. Łódź ma kierowców o zdecydowanie najniższej dyscyplinie i kulturze jazdy, bez cienia wyobraźni. Potrafi taki ścigać się z „R-ką", blokować skrzyżowanie. Nie chce wiedzieć, że komuś potrzebny jest ratunek, natychmiast. Za wszelką cenę stara się być na jezdni najważniejszy. I chyba też tak myślą odpowiedzialni za rozmieszczenie przystanków komunikacji miejskiej, którzy skutecznie zablokowali wyjazd ze stacji pogotowia. Warto byłoby, aby ktoś z dyrekcji MPK połatygował się zbadać sprawę. Przystanek trzeba przesunąć i to niezwłocznie.

Tym razem pogotowie wzywano blisko — pod Central — dziesięcioletni chłopiec potrącony przez samochód. Chociaż na miejsce wypadku przybyliśmy dwie minuty po zgłoszeniu, już nie było nikogo. Rodzice zabrali dziecko prywatnym wozem...

Wypadek przy zbiegu ulic Zgierskiej i Podrzecznej. Zgłasza MO. Marek K., lat 25, potrącony przez fiata taxi.

— *Ganiał nas* — mówi poszkodowany. — *Koledzy zdążyli uciec. Mnie trafił dwa razy.*

Właściciel taksówki fiata nr ŁDC 80-50 próbuje wyjaśniać.

— Kto wie, kogo przyjdzie nam wieźć. Na każdego pasażera patrzę, jak na potencjalnego mordercę. Trzech ich było. Na gazie. Nie chciałem zabrać. W maskę mi walili, to i pogoniłem...

— Nie zatrzymał się na postoju — relacjonują świadkowie, **ale musiał zahamować parę metrów dalej, na skrzyżowaniu. Wtedy ci z postoju podbiegli. Stukali w maskę rękoma, żeby otworzył. Taksówkarz zawrócił i zaczął ganiać samochodem swoich niedoszłych pasażerów. Jednego z nich uderzył dwa razy...**

Wieziemy do Szpitala im. Sonnenberga. Uraz nogi, brzucha. Podejrzenie uszkodzenia śledziony.

Psychoza? Bandytyzm. Odebranie koncesji taksówkarzowi w tym wypadku to za mało, powinien być pozbawiony prawa jazdy i to na zawsze. Pomimo, iż było kilka napadów na taksówkarzy, nic nie upoważnia panów za kółkiem do umyślnego rozjeżdżania pieszych. Ale okazuje się, że więcej osób myśli podobnymi kategoriami. Jeden z lekarzy pogotowia, gdy rozmawiałem o wymienionym już na wstępie zbiorowym liście, powiedział — my też mamy swoją broń. Jeżeli społeczeństwo w stosunku do nas będzie w dalszym ciągu tak agresywne, lekarze zaczną się mścić... Byłem zaszokowany. Czyżby oznaczało to, że zamiast pomagać zaczną szkodzić? Mimo wszystko nadal nie wierzę, że mówił całkiem serio. Nie dajmy się zwariować! Ale przecież prawie na moich oczach odegrała się już jedna nieprawdopodobna scena. Zupełnie jak z gangsterskiego filmu. Człowiek za kierownicą, taksówkarz, świadomie użył samochodu do okaleczenia pieszego. Uderzał aż dwa razy... Cóż się stanie, jeżeli każdy w pewnym momencie zacznie wykorzystywać swoją przewagę, nazwijmy ją zawodową. Sprzedawca schowa chleb, bo akurat nie dostał się do dentysty. Nauczycielka postawi dwójkę, ponieważ nie udało jej się kupić mięsa... Co się dzieje z naszym społeczeństwem? Należy ocknąć się natychmiast.

Tymczasem jakoś nie zauważyłem wzmożonej agresji w stosunku do pracowników pogotowia. Na miejscu wypadku przy Zgierskiej stał spory tłumek gapiów. Wszyscy oburzali się na taksówkarza. Ani jedno słowo nie padło przeciw ludziom w bieli. Owszem, pytali, czy chory nie jest zbyt mocno poturbowany, jak z jego nogą. Zwyczajna ludzka troska.

Doktor Józef Gierłowski:

— *Na ludzi pogotowia narzekano zawsze. Nie raz słyszałem: „Wy, sukinsyny, co tak późno? Przyjeżdżać natychmiast, kiedy wzywamy. Wszyscy na was płacą, darmozjady!". Zdarzało się, że jakiś pijaczyna zamachnął się. Czasem nawet przyłożył. Albo kumple od kielicha lub rodzinka obiecywali, że gnaty nam połamią... Bywa, że wpada się w wir alkoholowej awantury, kiedy jeszcze jakieś przedmioty latają w powietrzu, można oberwać. Prawda. Ale ostatnio nic się nie zmieniło. Wypadków agresji nie jest mniej, ani więcej. Dyżuruję od lat [illegible] mam skalę porównawczą...*

Sanitariusz, student czwartego roku medycyny stwierdził, że obecnie ludzie baczniej nas obserwują — to wszystko. — *Nic nowego się nie dzieje. Jesteśmy traktowani jak zwykle, raz lepiej, raz gorzej.*

Skąd zatem taka panika?

Pielęgniarka z izby przyjęć chirurgii ogólnej w Szpitalu im. Biegańskiego, kiedy odbierała od nas pięćdziesięcioczteroletniego mężczyznę z potwornie zmasakrowaną twarzą, zabranego po godzinie dziewiętnastej z ul. Rokicińskiej, 18.XI., powtarzała jak zegarynka:

— *Musimy rozebrać go komisyjnie. Spisać co ma w kieszeni. Nie chcę, aby za marne grosze włóczono mnie po sądach.*

Chory był pod wpływem alkoholu. Nie wiedział nawet, co się stało. Mówił, że wracał do domu. Teraz nic nie widział na oczy. Patrzyłem, jak z trudem porusza opuchniętymi wargami. Myślałem z przerażeniem, że siostrzyczka zamiast mu pomóc, zajmie się sporządzaniem spisu jego kieszonkowego majątku. Na szczęście nie doszło do tego. Jeszcze w drzwiach goniło nas jej gderanie.

— *Ani myślę odpowiadać za tych parę groszy pijaczyny.*

— *Faktycznie, osiemdziesiąt procent wezwań to zbędne wyjazdy do ludzi pod wpływem alkoholu* — mówił doktor Gierłowski — *pomijam oczywiście przypadki podobne do historii naszego ostatniego pacjenta. Ale mogę śmiało powiedzieć, że pijani to plaga pogotowia. Jeździmy do pieszych, kierowców, pobitych, ogołoconych ze wszystkiego, nagich etc... Bywam na stypach, weselach w miejscach publicznych, zakładach pracy. Pijanych jest coraz więcej. Nowa ustawa przeciwalkoholowa nic nie zmieniła.*

Następne wezwanie — pobity na ulicy Świerczewskiego. Wszystko się powtarza. Mężczyzna pod dobrą datą. Kto go pobił, nie pamięta. Odwiedził swoją byłą żonę i dziecko. Po stromych schodach starej kamienicy wspinamy się na trzecie piętro. Półmrok, smród moczu, kiszonej kapusty. Wchodzimy do mieszkania. Pokój z kuchnią. Dwóch mężczyzn i pani domu przy stole, wszyscy na rauszu. Opary dymu. W kącie z maleńkiego łóżeczka wychyla się dwuletnia dziewczynka. Na rozgrzebanym wyrku naga para na nasz widok okrywa się brudną kapą. Za szafą w kuchni na łóżku pojękuje babcia. Rozmawiają z nami spokojnie. O pobiciu, oczywiście, nie wiedzą nic. Nawet myśleli, że my po starowinkę. Rano był lekarz z rejonu. Dał skierowanie do szpitala. Córka osobiście zgłaszała przewóz w pogotowiu, blisko przecież. Przyjęto, owszem, ale nikt nie przyjechał, choć upłynęło kilka godzin. Przewozy, wiadomo, pięta achillesowa pomocy doraźnej — jeżdżą jak chcą. Tylko sanitariusz i kierowca. Zawsze potrafią wytłumaczyć opóźnienie. Nieważne, że często chory czeka na umówiony zabieg... Nasz doktor zbadał jeszcze babcię. Nic groźnego! Polecił czekać dalej.

Foto: M. Zajdler

Już przy wyjściu córka prosiła, abyśmy przypomnieli w stacji o ich sprawie. NIKT NA NAS NIE KRZYCZAŁ, NIE AWANTUROWAŁ SIĘ, choć powód by się znalazł, a i środowisko do zaczepek skłonne, alkoholowe, margines społeczny.

Lekarze oburzają się — do kogo my jeździmy, co za element? Ledwo można znaleźć drzwi po omacku. Brudne klatki schodowe, mieszkania też. Speluny! W ogóle, jak jesteśmy traktowani! Sami jednak nie zawsze grzeszą uprzejmością wobec pacjentów, choć nie zawsze trafiają tak źle. Wiele godzin spędziłem w karetkach pogotowia, i to nie tylko w łódzkich.

Na ogół w mieszkaniu wisi czysty ręcznik, specjalnie przygotowany dla pana doktora, chory leży w świeżo zmienionej pościeli. Ludzie się jednak przygotowują do wizyty, nawet w najskromniejszych warunkach. Na gazie bulgoce woda na herbatę. Może się zespół napije — zimno przecież na dworze... A tu doktor wpada jak po ogień. I nawet, kiedy stan chorego nie nagli, rąk nie umyje. Siada na pościeli w przybrudzonym służbowym kożuchu, co to z ramion na ramiona przechodzi, bada chorego z papierosem w ustach, sypiąc wszędzie popiołem. Wypisuje receptę i dalej.

Pewnie, że nie wszyscy tak postępują, i bywa, że zamiast herbatki już w drzwiach częstują solidną wiązanką. Samo życie... Ale tak działo się zawsze. Więc po co nagle ten rwetes. I po kiego licha milicjant w karetce, skoro i tak jest na miejscu wypadku. Niech nie sądzą lekarze z pogotowia, że tylko ich praca jest niebezpieczna, są i inne zawody, chociażby właśnie milicjanta, o którego tak się dopominają... Bez przesady! Lepiej pomyśleć o chorym, bo przecież jego dobro winno być tu celem nadrzędnym.

Zespoły reanimacyjne i kardiologiczne na przykład, które przeznaczone są do ratowania życia ludzkiego, pełnią funkcję zespołów przewozowych — chorego na nosze i jazda do szpitala. Są zespołami specjalistycznymi tylko z nazwy. Nic dziwnego, obsługują je zupełnie przypadkowi lekarze; medycyny przemysłowej, chorób zakaźnych, okuliści, etc. Czyżby brakowało odpowiednich fachowców, kardiologów, anestezjologów w mieście, gdzie funkcjonują dwie akademie medyczne, a lekarzy jest dwukrotnie więcej niż wynosi średnia krajowa? Skoro już zdecydowano się na uruchomienie tych zespołów, rolą kierownictwa Pogotowia, Wydziału Zdrowia jest zapewnienie niezbędnej kadry. Widać wyraźnie, iż w pomocy doraźnej z kwalifikacjami jest coś nie tak.

Owszem, działa tu niewielka grupa lekarzy związana od lat ze stacją, lekarzy pogotowia z prawdziwego zdarzenia. Resztę stanowią ci, co zatrudniali się przejściowo i długo miejsca nie zagrzeją, są także życiowi nieudacznicy, co to już w przychodni ani w szpitalu nie są w stanie podołać, którzy w ogóle nie kryją, że pracują tu przede wszystkim dla pieniędzy. I dobrze. Dyżur w pogotowiu jest dwa razy wyżej płatny niż w szpitalu. Właśnie dzięki temu są chętni do jazdy w karetkach. Nie znaczy wcale, że dyżur dla pieniędzy jest pełniony źle. Wielu lekarzy z dużym poświęceniem, zaangażowaniem pracuje we dnie i w nocy.

A warunki pracy w stacji są fatalne. Wieloosobowe dyżurki, wspólne dla kobiet i mężczyzn, ciasno, duszno. Na dobrą sprawę nie ma gdzie się umyć ani ogolić. Dobrze, że choć bufet jest względnie zaopatrzony, i zawsze gorący posiłek zjeść można.

Brakuje elementarnych leków reanimacyjnych. Kroplówki polskiej produkcji nie nadają się w ogóle do użytku, zwłaszcza w pomocy doraźnej. Zła konstrukcja, złe materiały! Wyposażenie „Nysek" w sprzęt, przystosowanie do pracy w pogotowiu pozostawia wiele do życzenia. To właśnie miał na myśli zastępca dyrektora Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego, mgr inżynier Andrzej Głowacki, wypowiadając się w artykule „Transport dla zdrowia", zamieszczonym w „Odgłosach" z 20 sierpnia 1983 r., a nie stan techniczny karetek, jak mylnie (i złośliwie) zinterpretował to dyr. Gaviler z Wydziału Zdrowia. Faktycznie, sprawność techniczna wozów WKTS należy ocenić bardzo wysoko, co jest niewątpliwie osobistą zasługą dyr. Głowackiego.

Sprawa kadry, szczególnie sanitariuszy, była zawsze bolączką pogotowia. Narzekano od lat, że są to przeważnie niebieskie ptaki, co pracują tylko do wypłaty, obiboki, element podejrzany. Nie wiadomo, kiedy taki ściągnie płaszcz z wieszaka, czy pieniądze. Wszystkiego można się było po nich spodziewać. I tu raptem, po wypadkach w pogotowiu warszawskim, cała służba zdrowia jest nagle idealna, moralnie czysta, jakby to biały fartuch był niepodważalną wizytówką niewinności. Podniósł się krzyk — szkaluje nas motłoch. Zapomniano, że nieuczciwi zdarzają się wśród wszystkich grup zawodowych. Osobiście nie widzę powodu, dla którego należałoby ukrywać fakt, że nadużycia dokonał sanitariusz czy lekarz. Prawdopodobnie ten przysłowiowy kitel ludzi w bieli zbyt długo był azylem dla sporej grupy nieuczciwych, stąd mamy tyle wykroczeń przeciwko etyce lekarskiej, prawu. Negatywnych zjawisk jest coraz więcej. Zdarza się łapówkarstwo, leczenie za pieniądze. Bywają ordynatorzy, którzy na swoim oddziale trzymają prywatnych pacjentów. Bywają lekarze, którzy coraz częściej uzależniają pomoc od korzyści materialnych. Po prostu niektórzy wykorzystują możliwości zawodowe maksymalnie, i nie zawsze uczciwie. Ujawnianie takich zjawisk nie ma służyć walce z ludźmi w bieli. Tak chyba społeczeństwo odczytało wymowę komunikatu o wydarzeniach w warszawskim pogotowiu i nikt nie myśli dzisiaj obrzucać kamieniami karetek tylko dlatego, że któryś zespół popełnił przestępstwo. W odczuciu opinii bardziej poderwały zaufanie do służby zdrowia tragedie w Słubicach czy Górnej Grupie, niż rozbój dokonany przez zbzikowany zespół pogotowia.

Nie takie ceny straszne

TERESA JERZYKOWSKA

Stoimy obecnie przed koniecznością podwyżki i — jak można przypuszczać — gdy zapamiętamy już nowe ceny, przystosujemy domowe budżety do zmienionej struktury wydatków, przyjdzie pora na omówienie założeń kolejnego wzrostu cen.

Wraz z nowymi, wyższymi cenami pod konsultację społeczną poddano propozycje rekompensat dla ludzi, znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji materialnej. Czy faktycznie proponowane kwoty pokryją wzrost wydatków — nad tym zastanawiali się ekonomiści i specjaliści od polityki socjalnej.

W jakiej sytuacji finansowej, z jakimi perspektywami zarobkowymi wejdą w nowy, droższy rok robotnicy, w jakim nastroju oczekują konieczności zwiększenia wydatków na podstawowe artykuły spożywcze — odpowiedzi na te pytania szukałam w ZPO „Wólczanka" w Łodzi.

Mówi dyrektor **RYSZARD POLAŃSKI:**

— Trudno oczekiwać, aby ktokolwiek, nawet rozumiejąc ekonomiczną konieczność podniesienia cen, cieszył się z tego. Nie wydaje mi się jednak, aby był to temat w szczególny sposób bulwersujący robotników. W naszym zakładzie ludzie oczywiście rozmawiają o nowych cenach, oceniają poszczególne warianty, ale są to rozmowy, powiedziałbym, prywatne, nieoficjalne. Na zebraniach załogi, czy to organizowanych przez kierownictwo, związki zawodowe czy też organizację partyjną temat ten nie budził szczególnych emocji, a nawet nie był poruszany. Dlatego też sądzę, że nasza załoga oczekuje nowych cen bez większego zdenerwowania i lęku...

W zakładzie wprowadzono niedawno nowy system płac, o działaniu zdecydowanie motywacyjnym. Jego najistotniejszy punkt — to znaczne zwiększenie pozycji stawki akordowej wobec innych składników uposażenia. Jest to więc system, który pozwolił rzetelnym, wydajnym pracownikom na znaczne zwiększenie dochodów. Możliwość tę wykorzystali ludzie w różnym stopniu — o czym świadczą „kominy płacowe", ale skorzystali na niej także ci, którzy z różnych przyczyn, nie zawsze od siebie zależnych, pracują mniej wydajnie. Praktycznie nie ma w zakładzie robotnika, który po wprowadzeniu nowego systemu zarabiałby mniej, jednak we wzroście wynagrodzeń występują duże różnice, od 2 do 7 tys. zł.

Jednocześnie ze wzrostem wynagrodzeń obserwuje się duży — 50-procentowy — wzrost wydajności mierzony w sztukach wyrobów na jednego zatrudnionego w porównaniu do 1982 roku. Ilościowe efekty pracy przypadające „na głowę" pracownika Wólczanki nie ustępują tym, które osiągano w najlepszych latach, pod koniec dekady lat 70. Przy znacznie zmniejszonym zatrudnieniu nie oznacza to jednak równie dużej produkcji.

Dodatkowym elementem, skłaniającym do podnoszenia indywidualnej wydajności jest zgodny z nowym, przyjętym wiosną regulaminem, system wypłacania premii. Otóż do 10 proc. premii mają prawo jedynie te osoby, które w akordzie zarobiły nie mniej niż 6,5 tys. zł miesięcznie.

W pierwszym okresie po ustaleniu tych zasad 25 proc. robotnic premii nie otrzymywało. Obecnie ich liczba nie sięga 20 proc. i systematycznie maleje. Przy tym trzeba zrobić zastrzeżenie, że większość z nich są to młode, niedawno pracujące kobiety, którym, z jednej strony może brakować jeszcze umiejętności zawodowych, umożliwiających uzyskiwanie wysokiej wydajności, z drugiej — ich sytuacja życiowa (brak dzieci na utrzymaniu, wspólne z rodzicami gospodarstwo domowe) nie skłania do starania się o zwiększenie zarobków drogą zwiększonego wysiłku.

Kolejnym elementem, doraźnie podnoszącym płace robotników, są efekty wynikające z umowy z ministrem, w ramach której zakład zobowiązany jest wykonać dodatkową produkcję — 700 tys. sztuk koszul z przeznaczeniem na rynek wewnętrzny. Przeciętny zarobek szwaczki w łódzkim zakładzie Wólczanki nie ustępuje obecnie zarobkom uzyskiwanym w firmach polonijnych, przekraczając 15 tys. zł. A więc, zgodnie z sugestią dyrektora, wydaje się, że w takich warunkach mogą najbliższej podwyżki oczekiwać bez większego niepokoju. Jak natomiast będzie w najbliższych miesiącach?

— W I kwartale mogą wystąpić pewne trudności — mówi Ryszard Polański. — **Odpadnie bowiem ta część dochodów, którą uzyskują ludzie realizując umowę o dodatkowej produkcji, skończy się wysoko płatna praca w wolne soboty, przeciętnie zarobek wzrastał z tego tytułu o 1500—2000 zł. Mamy jednak w zanadrzu pewne posunięcia, które wpłyną na zmniejszenie odczucia skutków tych ubytków. W lutym np. będziemy wypłacać „trzynastkę", na przełomie I i II kwartału zamierzamy włączyć rekompensaty do stawek akordowych, co oprócz podniesienia zarobków będzie miało także dalsze działanie bodźcowe. Ponadto — na rok przyszły zapowiadana jest pewna korekta niektórych przepisów, dotyczących reformy gospodarczej. Te nowe zasady nie są jeszcze znane. Być może i w tej dziedzinie kryją się możliwości zwiększenia zarobków pracowników.**

Mówiąc ogólnie o proponowanych zmianach cen, uważam, że po pierwsze — bardzo dobrze się stało, iż projekt został ogłoszony z dużym wyprzedzeniem i poddany pod konsultacje, po drugie — jego zaletą jest bardzo niewielkie niemal symboliczne, podniesienie cen na najbardziej podstawowe artykuły np. mleko, po trzecie wreszcie — skoro już ceny muszą rosnąć, lepiej gdy wzrosną teraz, że nie odkłada się podwyżki na bardziej odległy termin, gdy znowu musiałaby wynosić 100 lub więcej procent.

Ponadto uważam, że nowe ceny mogą, mimo rekompensat, dotkliwie obciążyć budżet emerytów, spowodować także trudności u pracowników, zatrudnionych w budżetowych sferach gospodarki. Dla pracowników zakładów produkcyjnych nie są one tak groźne, ponieważ tu zawsze istnieje możliwość podniesienia zarobków.

Trzy zmiany...

Dokończenie ze strony 1

Co jeszcze wynika z tych liczb i systemu trzyzmianowego — wyjaśnia zastępca dyrektora tejże samej szkoły — Michalina Wilk:

— *Na trzecią zmianę dzieci przychodzą zmęczone, nie potrafią się skoncentrować na lekcjach. W szkole nigdy nie ma ciszy i spokoju, ponieważ jest nieustanna rotacja. Przy dużej ilości uczniów obciążone są pomoce naukowe, nawet meble szybciej się niszczą...*

Michalina Wilkowa wylicza minusy trzeciej zmiany. A więc: rozbijanie życia rodzinnego, niehigieniczny tryb pracy uczniów, trudności organizacyjne w życiu szkoły, nieefektywna praca nauczycieli...

Z plusów nie znalazł się żaden.

— *Proszę pana, sama prowadzę lekcję na trzeciej zmianie, i widzę wyraźny zanik aktywności uczniów. Oni po prostu są senni i przemęczeni. A zimą będą się uczyć cały czas przy świetle elektrycznym, będą po ciemku wracać do domu.*

Inna sprawa, to przerwy pięciominutowe, które wprowadziliśmy z konieczności, żeby nie przedłużać maksymalnie zajęć. W ciągu pięciu minut to oni zdążą przejść z klasy do klasy. Nie ma czasu na wypoczynek, na zjedzenie drugiego śniadania. Zresztą, co tutaj dużo mówić. O godzinie 19.30, czyli mniej więcej wtedy, kiedy przychodzą ze szkoły, dzieci w tym wieku powinny iść spać.

Dyrektor Irena Przybyłek też jest generalnie takiemu systemowi przeciwna. Uważa, że szkoła powinna być jednozmianowa, najwyżej dwu. Bo, skoro dziecko przychodzi na lekcję o godzinie piętnastej — to jest już zmęczone całym dniem. I inaczej przyswaja wiedzę, inaczej myśli. Ponadto, jak twierdzi dyrektorka, w drugiej i trzeciej klasie uczniom powinni pomagać rodzice, ingerować znacznie w to co robią, pomagać w odrabianiu lekcji. W takim systemie to niemożliwe.

— *A, jeżeli chodzi o nauczycieli, którzy rozpoczynają pracę po południu — to też nie jest bez negatywnego wpływu na wydajność pracy. W każdym bądź razie dwie dodatkowe szkoły rozwiązałyby problem. Teraz, rzecz jasna, bo dzieci przybywa.*

DYGRESJA REPORTERA:

W szkole 137 zajęcia rozpoczynają się o 7.10, a kończą tuż po osiemnastej. Niektóre klasy liczą 40 uczniów, jest dziesięć klas trzecich. Dwie klasy chodzą na zajęcia tylko po południu oraz

UZUPEŁNIENIE NAUCZYCIELKI:

— *Jak to w moim przypadku wygląda, pan pyta. Mam swoje życie rodzinne, dwoje dzieci. Czasami przychodzę do domu o ósmej wieczorem. Wiadomo jest, że w trakcie ostatnich lekcji myślę głównie o swoim domu, o tym, że trzeba zrobić kolację, pomóc w odrabianiu lekcji własnym dzieciom, w ogóle dopilnować ich, mieć z nimi jakiś kontakt. Moja efektywność, z obiektywnych w końcu przyczyn, jest niestety gorsza...*

Halina Bińczyk — zastępca dyrektora Szkoły Podstawowej nr 19 nazywa system trzyzmianowy wprost zbrodnią popełnianą na dzieciach. I tak każe napisać. Przede wszystkim wpływa on negatywnie na zdrowie uczniów. Z konieczności są skazani na pracę przy sztucznym świetle przez kilka godzin dziennie.

— *Gdyby to był jeden dzień w tygodniu, to nie byłoby żadnego problemu, ale oni skazani są na to światło żarówki codziennie, przez cały rok na okrągło. Jest kilka takich klas, gdzie dzieci chodzą na lekcje tylko po południu.*

Inną dramatyczną sprawą jest fakt przebywania dzieci w szkole przez ponad dwanaście godzin. Bo to jest tak, rodzic przyprowadza dziecko do szkoły przed wpół do ósmej, później dziecko czeka na pierwszą lekcję do czternastej, żeby skończyć zajęcia około osiemnastej. Rozważaliśmy możliwość, żeby dzieci chodziły do szkoły w wolne soboty i miały inny dzień wolny. Ale to stwarza jeszcze gorszą sytuację, bo co rodzice zrobią z dzieckiem, na przykład, w czwartek, kiedy będzie miało dzień wolny? Oczywiście przyprowadzą je do świetlicy. W rezultacie będzie ono przebywało w szkole sześć dni, zamiast pięciu.

— *Kiedy przychodzi sierpień i początek września* — dodaje dyrektorka dziewiętnastki — Elwira Fisiak — *mamy masowe wycieczki rodziców do szkoły. Każdy prosi o przesunięcie jego dziecka na ranną zmianę, każdy ma swoje słuszne argumenty. W szczególnych przypadkach, kiedy rodzice przedstawią zaświadczenie lekarskie, uwzględniamy prośby. Ale z wiadomych względów jest to tylko sporadyczne. Proponowałam komuś z władz szkolnych, żeby przyszedł w sierpniu do szkoły i tylko posłuchał co mówią rodzice.*

W szkole numer dziewiętnaście wykorzystano już wszystkie możliwe pomieszczenia dla potrzeb dydaktycznych. Ze względu na brak pomieszczeń nie ma możliwości prowadzenia normalnych zajęć pozalekcyjnych. Zrezygnowano również z pokoju nauczycielskiego. Nauczyciele mają, na szczęście, w klasach zaplecza i tam się rozbierają i spędzają czas na przerwach. W rezultacie nie ma możliwości spotkania się pedagogów w jednym miejscu. Więcej, niektórzy nauczyciele w ogóle się nie znają. Nie ma też warunków do odbywania rad pedagogicznych, bo niby gdzie i kiedy?

W tym roku szkoła w pełnym tego słowa znaczeniu „pękła w szwach", nie było fizycznej możliwości pomieścić wszystkich w budynku. Dyrekcja na własną rękę postanowiła poszukać zastępczego lokalu. W porozumieniu z Radą Mieszkańców osiedla adaptowano dla potrzeb szkoły dawne pomieszczenia osiedlowego klubu i kawiarni. Zawsze to dwieście miejsc więcej. Cóż z tego, skoro ścianka dzieląca klasy jest tak cienka, że kiedy nauczycielka mówi nawet cicho — to słychać ją w sąsiedniej klasie. Poza tym dzieci uczęszczające do filii nie mają zapewnianej bezpośredniej opieki lekarskiej. Gdyby, odpukać, coś się stało w klasie — będzie wielki problem i katastrofa. Tak samo z obiadami. Dzieci jadają w barze, ale zawsze trzeba chodzić na dół po schodach, nie przystosowanych zresztą dla siedmioletnich maluchów.

Także, krótko mówiąc, taka filia absolutnie nie rozwiązuje sprawy i jest traktowana jako przejściowe zło konieczne. Dopóki nie powstanie jakaś nowa szkoła.

Dyrektor Elwira Fisiak:

— *W przyszłym roku odejdą nam cztery klasy ósme czyli 133 uczniów. Przybędzie natomiast 12 klas pierwszych czyli 348 uczniów. Tej ilości nie będziemy, niestety, mieli możliwości pomieścić. Wisi nad nami widmo apokalipsy. Niewykluczone, że będzie musiała zacząć funkcjonować wieczorówka...*

Maksymalnie jesteśmy w stanie „objąć" 45 oddziałów, wtedy szkołą mogłaby funkcjonować w miarę normalnie. Dzisiaj jest klas 75, w przyszłym roku, o ile nie zostanie oddana do użytku przynajmniej jedna szkoła w naszym rejonie — musiałoby być takich klas około dziewięćdziesięciu. To zło konieczne wcale się nie kończy, jest wprost przeciwnie.

DYGRESJA REPORTERA:

Szkoła Podstawowa nr 19 na Retkini pomyślana była dla 120 uczniów, w rezultacie w 36 izbach lekcyjnych i zaadaptowanych na terenie szkoły innych pomieszczeniach uczy się 220. Jest dwanaście klas pierwszych, średnio jedna klasa liczy 34 osoby, przy normie 27.

... ORAZ UZUPEŁNIENIE NAUCZYCIELKI:

— *Wiadomo, że w szkołach uczy dużo osób nie posiadających odpowiednich kwalifikacji. Uczą prawnicy, germaniści, nawet osoby po liceum ogólnokształcącym, natomiast mało osób po nauczaniu początkowym. Trzeba się więc dokształcać na kursach. Tymczasem zajęcia na kursach rozpoczynają się zwykle o 15.00, kiedy większość nauczycieli u nas zaczyna dopiero lekcje. Władze szkoły apelowały do kierownictwa Ośrodka, żeby zajęcia na kursach odbywały się również przed południem. Nie wyrażono zgody. Nauczyciele są więc pozbawieni możliwości dokształcania zawodowego...*

WŁADZE:

Ryszard Pożóg — zastępca Inspektora Oświaty i Wychowania UD — Łódź—Polesie:

— *Na Retkini jest łącznie 6 szkół podstawowych z 5520 miejscami normatywnymi. W rezultacie w roku szkolnym 1982/83 chodziło do nich 8 648 dzieci, w tym roku liczba jeszcze się zwiększyła. Krótko mówiąc, około 4.000 jest ponad limit. Problem z roku na rok jest coraz trudniejszy. W planie jest budowa szkoły z 34 izbami, ma być oddana do użytku w 1985 roku. Rozbudowujemy też „piętnastkę".*

I koniec. Na jak długo może to rozwiązać problem, jeżeli w ogóle nowa szkoła zostanie wybudowana nie wiadomo? Sądzę, że nie zaspokoi to nawet potrzeb bieżących, a już absolutnie nie zlikwiduje problemu trzeciej zmiany. Kiedy powstawało osiedle oprócz szkół istniejących dzisiaj planowano jeszcze cztery. Wtedy rozwiązałoby to problem całkowicie. Niestety, inwestycje te były skrupulatnie skreślane z planów. Ta sprawa się skomplikowała — jak twierdzi inspektor Pożóg. Szkoły należało budować wcześniej, kiedy były planowane. Dzisiaj i za kilka lat, przy uwzględnieniu cyklu budowy, może powstać taka sytuacja, że kiedyś te szkoły będą stały puste. Bo dzisiaj są niezbędne. Tak twierdzą władze. Twierdzą też, że są kłopoty z wykonawcami. Wykonawcy z kolei twierdzą, że im się szkół nie opłaca budować i wolą stawiać bloki....

Inspektor Ryszard Pożóg:

— *Na początku roku szkolnego wystąpiliśmy z propozycją, żeby część dzieci przenieść do innych szkół w śródmieściu, gdyż jest dużo wolnych miejsc. Niestety, spotkaliśmy się z ostrym sprzeciwem rodziców. Teraz skarg nie ma. Rodzice, w gruncie rzeczy wolą trzecią zmianę...*

Skądinąd wiadomo, jak relacjonują dobrze poinformowani pedagodzy, że z projektu przeniesienia dzieci do innych szkół poza Retkinię wycofały się same władze. Dzieci należałoby, bowiem, do tych szkół dowozić i odwozić. A na to z kolei nie ma pieniędzy i tylu autobusów.

I dalej inspektor Pożóg — jako przedstawiciel władz oświatowych:

— *Kiedy decydowano się na wprowadzenie trzeciej zmiany w szkołach, nie prowadziliśmy żadnej konsultacji o szkodliwości tego systemu, ponieważ i tak nie byłoby innego wyjścia. Niemniej jednak, jako pedagodzy zdajemy sobie sprawę ze szkodliwości tego systemu. W szkołach podstawowych, co prawda na razie w małym stopniu, wyniki ulegają pogorszeniu...*

Edmund Wawrzyński — wicekurator:

— *Trudno za taki stan rzeczy winić kogoś personalnie. Kiedy budowę dodatkowych szkół należało przeforsowywać, wtedy kuratorium nie miało na to specjalnego wpływu. Budowano głównie bloki mieszkalne, zapominając o innych potrzebach mieszkańców, również o szkołach. Teraz nie możemy masowo stawiać szkół na Retkini ponieważ, po pierwsze nie ma miejsca, a po drugie nie wiadomo czy na przykład w 1986 roku będą one potrzebne.*

W każdym bądź razie, jeżeli w terminie zostanie wybudowana dodatkowa szkoła, ukończona zostanie rozbudowa istniejącej oraz powstanie przedszkole, gdzie na początku utworzymy szkołę — w przyszłym roku szkolnym nie powinno być takiej sytuacji, że dzieci będą dowożone w inny rejon miasta. Ten system trzyzmianowy natomiast pozostanie.

* * *

Tak mówią władze i argumentują słusznie, chciałoby się powiedzieć, że nie mają wpływu. W związku z obiektywnymi trudnościami. Obiektywne trudności — określenie, które robi dzisiaj oszałamiającą karierę. Określenie — wentyl, określenie — bariera, określenie — bezpiecznik. Tymczasem sytuacja jaka panuje w łódzkim osiedlu mieszkaniowym Retkinia nie jest niestety odosobniona. Takie same problemy są w każdym nowo powstałym osiedlu. Albowiem w każdym przypadku zapomniano o tzw. myśleniu perspektywicznym. Zapomniano o tym, że do nowych domów w nowych osiedlach wprowadzają się przede wszystkim młode, rozwojowe rodziny. Że te rodziny będą miały dzieci, które muszą chodzić do szkoły. Że dzieci powinny się uczyć w normalnych warunkach, że ktoś kiedyś określił normy, ilu uczniów powinno chodzić do danej szkoły i klasy.

Zapomniano wreszcie, że z błędów przeszłości wyciąga się wnioski...

JACEK BINKOWSKI

Dziesięć przykazań dla lokatora wieżowca (i nie tylko)

No i stało się! Wybuchł pożar w łódzkim „Manhattanie"! Prawdziwa gratka dla dziennikarzy, piękny temat do sensacyjnych opowieści domowych. Nareszcie coś innego! Raptem szesnaste piętro, czyli nie najwyższe, ale jednak. Te wspaniałe drabiny przyjechały — a sięgnąć nie mogły. A ileż wersji krąży: „— Panie, to był wybuch gazu, murowane, mam kumpla w straży...". Ponoć strażacy, jak kozice po schodach skakali, bo przerażone sąsiady windy zablokowały! Ktoś tam podanie o zamianę mieszkania na niżej położone złożył, a wycieczki jeszcze w parę tygodni po zdarzeniu pokazują sobie okopconą elewację budynku...

Ogień często, niestety, grasuje w mieszkaniach. Sto pięćdziesiąt kilka przypadków w tym roku w budynkach mieszkalnych na terenie maleńkiego województwa. A każdy — efektem ludzkiej, pardon, głupoty, lekkomyślności, braku wyobraźni. Od zaśnięcia z papierosem w ustach począwszy, a na przypalonym mięsie kończąc. Truizmy? Może i tak, ale często jeszcze płacimy zbyt wysoką cenę codziennej nerwowości, bieganiny, gdy zaaferowani problemami szarego dnia pędzimy w poszukiwaniu pełnych półek. Pozostawiając włączone żelazko choćby. No, ale po tym łyku profilaktyki i szablonowych przestróg przejdźmy do problemów mieszkańców tak zwanych budynków wysokich, zwłaszcza tych od jedenastego wzwyż. Można tam żyć bezpiecznie, czy siedzieć cały czas na walizkach, z gaśnicą w garści?

— Bez przesady, można przysłowiowo spać spokojnie — szef Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnych w Łodzi — płk poż. Stanisław Woźniak uspokajającym gestem ucina mój przerażający widmem czerwonego kura wstęp.

— Wiem, wiem 998 czuwa!..

— Oczywiście, po to jesteśmy. Nieszczęście wydarzyć się może tak samo na parterze, jak i dwudziestym piętrze, ale pożar zawsze ma przyczynę. A brak wyobraźni, ludzka niefrasobliwość — zdecydowanie, niestety, przodują w naszych statystykach.

— Panie pułkowniku, zanim opublikujemy Dziesięć Przykazań Przykładnego Lokatora, ukręćmy łeb hydrze: w jaki sposób bloki mieszkalne, również te najwyższe, gwarantują choć minimum bezpieczeństwa przeciwpożarowego?

— Proszę bardzo, wymieńmy jak na egzaminie: każdy budynek wyższy niż czterokondygnacyjny posiadać musi przede wszystkim suchy pion...

— Suchy?

— Tak się to fachowo określa. A mówiąc prozaicznie jest to biegnąca wzdłuż wszystkich pięter rura wodociągowa, do której na parterze można podłączyć gaśniczy agregat, a na każdej kondygnacji — węże do specjalnych zaworów.

— Budowlany patent ostatnich lat to klatki schodowe bez okien...

— Niestety, strażacy nie projektują bzdur, co najwyżej walczą z ich efektami. A takie klatki powinny mieć klapy oddymiające na dachu...

— Znów wejdę w słowo: zwykle pozamykane na kłódki...

— Przepraszam, ale adresatem są administracje domów. Chciałbym jeszcze dodać, że w budynkach, gdzie jest więcej niż jedna klatka schodowa — ostatnie piętra są łączone, by w razie pożaru bezpiecznie można się było ewakuować.

— Rozumiem, jedni się spokojnie ewakuują, inni spokojnie gaszą. Pod warunkiem, że dojadą...

— Poruszył pan drażliwą sprawę — dojazd. Drabinę to ja mogę mieć i dwa razy dłuższą, ale muszę dojechać do budynku. Zna pan te nasze bloki otoczone wianuszkiem parkujących samochodów? A przynajmniej z jednej strony, najlepiej tej dłuższej, musimy mieć wolną drogę.

— Czy dla tych najwyższych domów — vide łódzki „Manhattan", innych, dodatkowych wymogów bezpieczeństwa nie ma?

— Są, ale nie daje mi pan dojść do słowa...

— Spuszczam azbestową zasłonę milczenia...

— Oprócz wspomnianych, budynki wyższe, które w Łodzi ostatnimi laty sobie zafundowaliśmy, mają dodatkowe zabezpieczenia. Tak więc oprócz suchego pionu, wieżowce posiadają wewnętrzne hydranty na klatkach schodowych, minimum co trzy kondygnacje, a klatki łączone są między sobą kondygnacjami technicznymi, ewakuacyjnymi, które powinny być zawsze otwarte, dostępne, z napisem „Droga ewakuacyjna". Cóż jeszcze? Oczywiście aktualne są oddymieniowe klapy, obowiązkowe przejścia klatkami na ostatniej kondygnacji, a te wewnętrzne hydranty powinny być na stałe wyposażone w odcinki węży...

— Piękna opowieść, ale życie uczy, że: piętra techniczne są zastawione, klapy na dachu zamknięte na stałe, a węży nie ma, bo ktoś je ukradł.

— Znamy to niestety, dobrze, z obdukcji. Ale przecież wiele zależy od samych mieszkańców, oni powinni tych spraw dopilnować, wyegzekwować od administracji usunięcie wszelkich uchybień pożarowych.

— A co z gazem?

— Jakim gazem?

— No, instalacjami gazowymi w blokach...

— Wyjaśnijmy to raz na zawsze: w budynkach wyższych niż jedenastopiętrowej nie wolno instalować sieci gazowej. I również w Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej jej nie ma.

— Nie ma też garaży, jak w wielu innych dzielnicach, a samochodziarze trzymają swe wehikuły tuż pod oknami...

— Te pretensje to pod moim adresem?

— Nie, nie, tak na marginesie. Ale wasze wspaniałe drabiny nie na wiele się przy tym ostatnim pożarze zdały.

— Dysponujemy nowoczesnymi drabinami mechanicznymi „Mogirusa" sięgającymi 30 metrów. Staramy się o przyznanie Łodzi wyższej, choćby 44-metrowej, jaką posiadają koledzy w Warszawie, ale jak już powiedziałem: sama drabina sprawy nie załatwia. I tak się ludzi tą metodą nie ewakuuje.

— No tak, ale interweniując w „Manhattanie" strażacy biegać musieli po schodach...

— Był rzeczywiście moment, że windy były zablokowane przez ciekawskich i paru panikarzy, którzy bojąc się rozprzestrzenienia ognia, zaczęli już do nich ładować meble.

— A nie mógł się przenieść do innych mieszkań?

— Nie, jest to praktycznie niemożliwe, nawet w przypadkach bardzo groźnych wypala się jedno mieszkanie. Nie mieliśmy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ani jednego pożaru, przy którym ogień by się rozprzestrzenił choćby do mieszkania obok.

— Ale dotrzeć tam może choćby gryzący dym, a chwilę później zaczyna się już panika...

— ...gdy w praktyce wystarczyłoby tylko otworzyć okno. Tak też bywa. Rzeczywiście dwutlenek węgla jest groźny, zwłaszcza dla małych dzieci. W przypadku noworodka kilka chwil w zadymionym pomieszczeniu może mieć tragiczne skutki. Podobnie dla człowieka będącego pod wpływem alkoholu.

— Rozumiem. Trzeźwy dorosły oddychający łódzkim powietrzem przez wiele lat, nie na takie rzeczy jest odporny. Uchyla lufcik i spokojnie czeka na przybycie straży. Ale przypomnijmy w skrócie, jak doszło do pożaru na 16 piętrze ŚDM...

— Cóż, lokator używał do malowania drewnianych elementów wyposażenia mieszkania łatwopalnych substancji, mieszkanie nie było wietrzone, a farby i lakiery stały w przedpokoju. Gdy w pobliżu zjawił się ktoś z mieszkańców z papierosem nastąpił wybuch oparów, co niektórym sugerowało, że to gaz. Ogień zaczął się błyskawicznie przenosić na lakierowane przedmioty. Mimo zablokowanych dróg dojazdowych i przymusowego biegania po schodach, nie było kłopotu z szybkim ugaszeniem pożaru. Z zewnątrz wyglądało to faktycznie znacznie groźniej, tym bardziej, że z mieszkania wydobywały się kłęby czarnego, gryzącego dymu.

— No ładnie, ale teraz pytanie, z innej beczki: na którym piętrze pan mieszka, panie komendancie?

— Ja? Na trzecim...

— A chciałby pan mieszkać na osiemnastym czy dwudziestym drugim?

— Gdybym miał taką propozycję, a mieszkanie byłoby ładne, to dlaczego nie...

— Bez żadnych obiekcji, pożarowych przede wszystkim?

— Bez, pod warunkiem, że miałbym kulturalnych, rozsądnych sąsiadów, przestrzegających podstawowych zasad wspólnego bezpieczeństwa...

Na zakończenie rozmów, które upłynęły w szczerej, serdecznej atmosferze, strony opublikowały wspólny komunikat, czyli Dziesięć Przykazań Przykładnego Lokatora:

1. Znaj sąsiada z telefonem i numer do straży.
2. Nie przerabiaj „dróg ewakuacyjnych" na komórki.
3. Nie kradnij węży.
4. Nie zatykaj hydrantów i „suchych pionów".
5. Nie „licuj" korków.
6. Przewietrzaj mieszkanie i klatkę schodową nie tylko wtedy, gdy jest już zadymiona.
7. Urwij kłódkę przy klapie w dachu, bo może być nieszczęście.
8. Nie trzymaj samochodu pod oknem. I tak mogą go ukraść!
9. Nie pal w czasie snu, a najlepiej — w ogóle...
10. Pij z umiarem uważając na łatwopalny „chuch".

...a będziesz mieszkał bezpiecznie nawet na dwudziestym czwartym piętrze.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Dorota Chróścielewska

★ ☆ ★

U Pana Boga za piecem
ciepło słodko i nudnie
Powywieszano zakazy:
Nie wychylać się Nie pluć
Nie palić
Mężczyznom
nie spoglądać w oczy
Nie pić wódki gdy smutki

U Pana Boga za piecem
motylom opadają skrzydła
Ptakom śpiew zasechł w krtani
i różom nie chce się różowieć
A mnie niczego nie brak
bo mam ciało ze srebra
od Pana Boga

Lasy nie są za wysokie
Ni jeziora za głębokie
Słońce wchodzi w swój zenit w południe
Niebo stroi się w błyskotki wieczorem
A we wtorek zawsze bywa wtorek
u Pana Boga za piecem

Są przepastne szafy a w nich suknie
moje szumią i świecą kokardy
Wargom czasem śnią się pocałunki
Pocałunkom czasem śnią się wargi

U Pana Boga za piecem
obliczono nas powywieszano wymierzono zakazy
Jeszcze czasami śmiejemy się o poranku
aby płaczem się dławić wieczorem
Bo jest śmierć Ona jedna nie w porę
przychodzi do Boga za piec

★ ☆ ★

Z ciemności krzyczę do Ciebie
ja w moim złotym pokoju
Pod moją złotą lampą
W brzasku co aż szkli oczy

I z głębokości krzyczę
ja wyniesiona wysoko
w szwedzkiej windzie nad miastem
W szklanej trumnie wśród dymów

Z rozpaczy krzyczę z rozpaczy
ja przy czerwonym winie
ja z jego ręką we włosach
Znająca pocałunki
o jakich inne nie śniły

Królowa w królestwie pająków
i bóg w królestwie mrówek
a w oku Twojego wszechświata
nie pyłek nawet
— cień cienia

W ciemności
W rozpaczy
W żalu

★ ☆ ★

Znów noc otwiera się nade mną
Niebo wysokie jest jak kościół
Wierzba chce objąć ramionami
kochanków zgasłej już młodości

Płynie szaloną drwiącą rzeką
czas Jego fale rwą na oślep
Jak majakowi szepnąć — przebacz
i jak obłokom — nie odchodźcie

Jestem To moja jest sukienka
To moje usta Moje włosy.
To wstążka książka to obrączka
Kieliszek Zegar Papierosy

Łąka wysoka łąka świeża
jest po to aby mi śpiewała
Nie wierzę, że przede mną była
Nie wierzę, aby po mnie trwała

I oto ranne wstają zorze
Odbija wieczną światłość toń
A kościół pusty i daremny
jak moja opuszczona dłoń

O wierzbo
Łąko
O zegarze

★ ☆ ★

Stoję czekam w wykuszu
Wieczór drogę wymościł
Moje oczy zielone
zapaliłam w ciemności

Moje usta czerwone
zaświeciłam w ogrodzie
Abyś o mnie nie zwątpił
Byś nie zbłądził po drodze

A tu pusto i pusto
A tu ciemno i ciemno
Jakżeś dawno już nieba
nie przychylał nade mną

Idą wiersze na przemiał
Biegną drogi na przestrzał
A ja trwam Ja się stroję
w srebrny welon powietrza

Stoję czekam w wykuszu
Wieczór drogę wymościł
Już niedługo zaświecę
moich loków ci świece

I rozproszą się wszelkie ciemności

ANNA KIESEWETTER

Niepokoje sztuki współczesnej

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, w licznych publikacjach dotyczących sztuki współczesnej, zaczynają się pojawiać fatalistyczne głosy zwiastujące jej upadek, oderwanie od społeczeństwa, zwiększający się elitaryzm, zalew szmirą, której nie jest w stanie przeciwstawić się grupa twórców odizolowanych intelektualnie od przeciętnego odbiorcy. Ów fatalizm wzrasta nieproporcjonalnie do odbicia w rzeczywistości, zapowiadając wręcz apokaliptyczne wizje końca poezji, muzyki, malarstwa, rzeźby, teatru czy innych form działalności artystycznej. Obronną ręką z tej dyskusji wychodzi jeszcze film, choć i on atakowany jest zewsząd przez swój... eklektyzm. Nad obowiązkiem indywidualizmu w sztuce zawisło nie tylko widmo apokaliptycznego schyłku naszej cywilizacji, ale też niemożność dalszej „oryginalności". Zda się, że wszystko zostało już powiedziane i nie da się wyrazić nic ponad to, co zostawiła nam w spadku przeszłość. Stoimy zatem, jeśli wierzyć prorokom, przed perspektywą końca świata, nawet jeśli zdołamy oddalić widmo atomowej zagłady. Dla współczesnej krytyki bowiem ta zagłada już tkwi w nas samych. Spróbujmy jednak na zjawisko to spojrzeć bez emocji.

Do niedawna jeszcze istniał sztywny podział na naturę i kulturę. Przeciwstawiano je sobie nawzajem, wyłączając niejako człowieka z całego świata otaczającej go przyrody, jako istotę nie tylko najwyższą w hierarchii ewolucji, ale też odbiegającą jakościowo od pozostałych gatunków. Badania nad równowagą ekologiczną w przyrodzie stworzyły nową dziedzinę nauki, młodą jeszcze, ale rozwijającą się w ostatnich latach w nieprzewidzianym tempie. I badania te zrewolucjonizowały nie tylko nasze spojrzenie na otaczającą nas przyrodę, ale i na nas samych. Okazało się bowiem, że w swym zadufaniu zapomnieliśmy lub nie chcieliśmy uznać faktu, iż stanowimy nieodłączny element natury, nie wyłączając z niej zjawisk kulturowych. I nagle stwierdzono, że nie ma podziału na naturę i kulturę, a człowiek z całą swoją spuścizną cywilizacyjną podlega wszelkim prawom przyrody, jest jej nieodłącznym elementem składowym i że XIX-wieczne podniesienie człowieka do roli demiurga, kreatora otaczającego nas świata, pod koniec wieku XX mogło nas doprowadzić do nieobliczalnej w skutkach katastrofy. Spokornieliśmy. Nagle spadliśmy z piedestału wzniesionego przez nas samych ku własnej czci. Na szczęście nie za późno, choć dosłownie w ostatnim momencie.

I oto włączając człowieka na powrót w jego pierwotne środowisko, traktując go jak nieodłączny element całego świata fizycznego, dostrzegliśmy zjawiska, o których dotąd nie mieliśmy nawet pojęcia, choć przeczuwaliśmy już od dawna, że istnieją.

Okazało się bowiem, że człowiek, jak wszystkie inne elementy natury, podlega tym samym prawom cyklów. Jak po jesieni zawsze następuje zima, tak i człowiek w swych poczynaniach uzależniony jest od licznych, powtarzających się cyklicznie zewnętrznych i wewnętrznych czynników warunkujących jego egzystencję.

Stwierdzenie to odnosi się również do kultury, która od tego momentu przestała być oddzielona od natury, a została włączona w jej nurt, traktowana na równych prawach z innymi zjawiskami przyrody. I tutaj zaczyna się śledzenie procesów zachodzących w kulturze już pod innym kątem, z innego punktu widzenia niż dotychczas.

Pierwszym i najważniejszym odkryciem okazało się stwierdzenie stałej i niezmiennej cykliczności procesów kulturowych. Zrazu trudno było je określić. Składało się na to wiele przyczyn. Zjawiska bliskie naszej teraźniejszości przytłaczały ilością elementów składowych, utrudniając objęcie myślą całości. Zjawiska stopniowo odbiegające w czasie zacierały swe kontury przez niedostateczną wiedzę o ich autentycznym przebiegu. Im odleglejszy okres, tym mniej istniało możliwości przekazu. Trudności te zacierały prawdziwy obraz zjawiska, szczególnie, że przytłoczeni tradycyjnym sposobem patrzenia na kulturę, raz po raz natrafialiśmy na tabu, które trzeba było albo podważać albo omijać. W końcu jednak powstał swoistego rodzaju wykres, ukazujący dzieje myśli ludzkiej, układające się w stały i niezmienny cykl, którego granice zakreśla zawsze okres stulecia. Dlaczego tak się dzieje, czy wpływają na to biorytmy, czy warunkują to określone ilości pokoleń potrzebnych do osiągnięcia następnego stopnia rozwoju, tego jeszcze nie wiadomo. Niemniej badania trwają.

W ciągu stulecia istnieją poszczególne fazy: okres prekursorski, rozwinięcie, dominacja i schyłek. Oczywiście, już wcześniej każdą epokę „zapowiadają" pod koniec poprzedzającej ery zjawiska, które zwiastują mające się dokonać w przyszłości zmiany. Dotychczas jednak stwierdzano je jedynie post factum. Teraz weszły już w zakres futurologii, nauki o przewidywaniu.

Okres prekursorski charakteryzuje ostra walka z poprzednią epoką, jej zaprzeczenie, odmówienie jej racji bytu; walka często przeradzająca się w konflikty daleko wykraczające poza zakres kultury. Potem następuje czasowe uspokojenie. Ustępująca epoka została pokonana, tworzy się nowe. W tym okresie ponad tłum wybijają się poszczególne jednostki o silnej indywidualności, których działalność staje się wkrótce obowiązującym wzorcem dla innych, o mniejszej sile przebicia. Tak zaczyna się okres dominacji, fala zalewa całe społeczności, które się z nią identyfikują kulturowo. Ale po pewnym czasie następuje przedziwne zjawisko. Ta sama kultura, jeszcze dominująca, zaczyna przejawiać tendencje do skostnienia, stopniowo oddala się od społeczeństwa i izoluje, karmiąc się niejako sama sobą. Tak zaczyna się okres schyłkowy, w którym już ukazują się poszczególne zwiastuny następnego stulecia. I tak da capo al fine.

Wydawać by się mogło, że uznanie równo stu lat dla tego cyklu zjawisk jest sztucznym dostosowaniem do czasu kalendarzowego. Nieprawda. Podział na epoki jest ściśle związany z cyklicznością i czasem trwania poszczególnych faz rozwoju człowieka. Nie nagięto wygodnego w obliczeniach kalendarza astronomicznego do człowieka. On sam się do niego dostosował.

Najłatwiej jest nam obserwować to zjawisko na podstawie XVI, XVII i XVIII wieku. Już z wiekiem XIX zaczynają się problemy, a zupełnie nie wiadomo, co zrobić z wiekiem XX. Ale są to problemy pozorne, wynikające ze zbytniego zbliżenia w czasie do tych epok. Takie zbliżenie pozwala nam dostrzegać spiętrzające się szczegóły, natomiast utrudnia spojrzenie na całość. Z kolei od Średniowiecza wstecz obejmujemy coraz większe okresy na raz i w końcu wszystko zmienia się w niewiadomą, zwaną epoką archaiczną. Tylko bardzo dokładne badania specjalistyczne z dziedziny archeologii, antropologii, etnologii i etnografii mogą ukazać prawdziwe oblicze oddalonych od nas czasów.

A zatem człowiek zmienia się raz na sto lat. Pod koniec każdego stulecia uroczyście zapowiada koniec świata i... istnieje dalej. Ale już inny i koniec świata następuje naprawdę. Ale tylko subiektywnego świata jednej fazy kultury.

Obecnie zbliżamy się do następnego końca stulecia. Czas biegnie szybko. Zaledwie 17 lat dzieli nas od XXI wieku. Oczywiście jeżeli przeżyjemy. Wraz z wzrastającą techniką wzrasta poczucie ostatecznego zagrożenia. Ale załóżmy, że przeżyjemy. Że ominie nas prawdziwy kataklizm.

Czy oznacza to, że wraz z nami zginie cała kultura, że przyszłe pokolenia zmienią świat w potworne piekło automatów, które nie są już zdolne do samodzielnego myślenia? Że upadnie cała poezja, muzyka, teatr, że wraz z końcem XX wieku zginie śmiercią tragiczną sztuka? Przecież twierdzimy, że zginęły niejedne cywilizacje, nie pozostawiając po sobie znaku.

Otóż nie. To, co gnębi najbardziej, to strach przed nieznanym. Nie my pierwsi go przeżywamy i oby nie ostatni. Żadna kultura nie zaginęła. Nie ma zaginionych kultur. Istnieją. Nawet teraz. W każdym z nas. Albowiem odkrycia z dziedziny psychologii i antropologii sztuki wykazały, że każda cywilizacja przechodziła w następną fazę rozwoju, stwarzając nowe wartości, znów nowe, znów nowe, aż do obecnych czasów. Drobiazgowe badania specjalistyczne nagle ukazują nam drobne okruchy dawnych, nieznanych nam cywilizacji, tkwiących w każdym, przeciętnym człowieku, żyjącym obecnie. Każdy z nas nosi w sobie całą historię kultury ludzkości w miniaturze. Ale to dziedzictwo przytłacza nas tylko wtedy, gdy jak węże gubimy starą skórę, a nie urosła nam jeszcze nowa. I tak już wkrótce minie okres katastrofizmu, przeczucia apokaliptycznych wizji i po prostu w zgodzie z naturą rozpoczniemy następny okres rozwoju. Jeżeli przeżyjemy.

Jeżeli... ■

Rys. Janusz Szymański-Glane

Impresje na temat czyli „Philobiblon polski"

ANDRZEJ KEMPA

Pojawiła się niedawno na półkach księgarskich i natychmiast znikła pełna wdzięku książka Cecylii i Janusza Duninów pod tajemniczym tytułem „Philobiblon polski". Tytuł nawiązuje do łacińskiego traktatu Ryszarda de Bury (1287—1345) „O miłości do ksiąg to jest Philobiblon", spolszczonego przez Jana Kasprowicza i wydanego nakładem lwowskiego Ossolineum w 1921 r.

Jednym z wielu paradoksów polskiego kryzysu ekonomicznego ostatnich lat, potęgowanego nad miarę dość powszechnym narzekaniem na ciężkie czasy, jest wciąż wzrastające zapotrzebowanie na książkę. Stała się ona przedmiotem marzeń i spekulacji, bywa oczekiwana z tąż samą niecierpliwością zarówno przez potrzebujących, jak i przez amatorów łatwego zysku. Na aukcjach antykwarycznych cena sprzedażna dawnej książki jest wielokrotnością ceny wywoławczej. Nic dziwnego zatem, że zatraca się często społeczna funkcja książki, jeśli biblioteka nie zawsze jest w stanie zaspokoić potrzeb czytelników, ulegając zdystansowaniu przez indywidualnego nabywcę. Ostatnio niemałą sensację wzbudziła ustawiona przed księgarnią ogromna kolejka oczekujących przez kilka dni na dostawę „Pediatrycznej diagnostyki różnicowej". Okazało się wkrótce, że cały niemal transport owej nowości wydawniczej trafił do bibliotek, by tam pełnić służbę społecznej komunikacji, zaś cierpliwi „stacze" odeszli rozgoryczeni, utyskując na niewspółmiernie do potrzeb niski nakład poszukiwanego podręcznika.

Zmiana stosunków społeczno-politycznych stworzyła dogodne warunki rozwoju kultury, której jednym z nośników jest książka. Pozytywnym przejawem postępu społecznego jest powszechny szacunek dla książki i dostrzegalne jej uczestnictwo w codziennym ludzkim życiu. W procesie upowszechniania książki niemałą rolę odgrywają żarliwi miłośnicy ksiąg — bibliofile. Napisał o nich przed laty Wojciech Żukrowski, trafnie oddając istotę osobowości bibliofila: „Bibliofile, miłośnicy mądrości i piękna scedowanego w księgi, ocalają przeszłość, wiążą zrywane szwy kultury narodowej, a może i ludzkości, są spadkobiercami z wyboru skarbów myśli i sztuki drukarskiej". W pojęciu szerszym przyjaźń do ksiąg ma charakter bardziej utylitarny, konsumpcyjny, podczas gdy bibliofile odróżniają się od innych posiadaczy ksiąg pogłębioną namiętnością do piękna zawartego w treści i formie dawnej księgi, sztychu czy oprawy, w typograficznym kształcie dokumentu naszych czasów, przybierającego formę tradycyjnego kodeksu pod czujnym okiem troskliwego artysty-plastyka, drukarza, introligatora.

Wszystkim tym entuzjastom książki poświęcili autorzy swe dzieło — wynik nie tylko obserwacji zjawiska, ale i aktywnego uczestnictwa w tworzeniu współczesnego ruchu miłośnictwa ksiąg. „Philobiblon polski" stanowi próbę, dodajmy udaną próbę, przedstawienia uwarunkowań i możliwości rozwoju bibliofilstwa w naszym kraju.

Książka daleka jest od akademickiego mentorstwa, przeciwnie, stanowi przykład właściwej propagandy idei miłośnictwa ksiąg. Adresatami są przede wszystkim młodzi adepci bibliofilstwa. W części zatytułowanej „O zbieractwie czyli kolekcjonerstwie" tworzy coś na kształt drogowskazu w podróżach po wyimaginowanym a jakże realnym królestwie Szpargalii. Czytelnik wprowadzony w arkana indywidualnych poszukiwań kierowany jest do zorganizowanej społeczności żarliwych entuzjastów, która realizuje swą statutową działalność w różnych stowarzyszeniach miłośników książki. Upór i szlachetna pasja elitarnej w stosunku do szerokich kręgów publiczności literackiej grupy ludzi, szczycących się mianem bibliofilów osiąga znaczne sukcesy w zakresie utrwalania idei piękna w materialnym kształcie niskonakładowych edycji bibliofilskich.

Znajdą w tej książce wiele do przemyślenia także profesjonaliści: bibliotekarze, wydawcy oraz animatorzy życia kulturalnego. Autorzy z pewną dozą sarkazmu sugerują tzw. czynnikom oficjalnym potrzebę nowego spojrzenia na treść niektórych aktualnych przepisów prawnych utrudniających właściwy obieg książki. W sposób metodologicznie uzasadniony wyłania się tu problem braku specjalnego periodyku poświęconego idei propagandy książki, który mógłby skutecznie rywalizować z wieloma czasopismami, które próżno usiłują zjednać sobie czytelników.

Mnóstwo w książce anegdot, facecji i dykteryjek tworzących swoisty folklor bibliofilski. Być może czytelników z innych miast razić będzie nadmiar łódzkich realiów środowiskowych, zwłaszcza gdy aluzje personalne zatracą swą przejrzystość, ale dla łodzian książka zawiera trwałą dokumentację przeobrażeń życia kulturalnego ostatnich lat.

Cecylia i Janusz Duninowie: Philobiblon polski. Wrocław: Ossolineum 1983. — 293 (2) s. — Książki o książce — zł 140.—

Z półki recenzenta

„DWÓR" SINGERA

Isaac Bashewis Singer, od czasu gdy otrzymał Nagrodę Nobla (1978) ma u nas dobrą passę. Nie ma się zresztą czemu dziwić, skoro akcja jego książek rozgrywa się przeważnie na terenie byłej Kongresówki, a więc na ziemiach polskich, no i sam autor urodził się w Rembertowie.

Właśnie otrzymaliśmy jego „Dwór", rzecz o czasach tuż po powstaniu styczniowym. Jest to rzecz o małomiasteczkowym Żydzie, który nagle się bogaci. Jednocześnie jest to opis świata widziany oczami przedstawiciela mniejszości narodowej; stąd jego autentyczność i wierność.

Przekład Ireny Wyrzykowskiej.

Isaac Bashewis Singer: Dwór. PIW 1983. Str. 464. Cena 170 zł.

MÓWI CHANDLER

Tę książkę poprzedziła sława: oto bowiem autor powieści kryminalnych przedstawia się czytelnikowi w sposób niezwykły i nietypowy, bo poprzez listy i notatki, w których dokonuje samooceny, a także wydaje dość zaskakujące sądy o swojej twórczości, o powieści kryminalnej jako gatunku literackim, o filmie, telewizji itp. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, iż jest to książka łatwa i skandalizująca. Chandler był człowiekiem wielkiego talentu, lecz trzeba było jego śmierci, by uznano go za jednego z mistrzów XX-wiecznej amerykańskiej literatury. Tak więc „Mówi Chandler" jest wizerunkiem zarówno człowieka, jak i pisarza wraz z jego wątpliwościami, osobistymi dramatami, z całą jego skomplikowaną naturą świadomego twórcy. Przekład: Ewa Budrewicz.

Raymond Chandler: Mówi Chandler. Czyt. 1983. Str. 344. Cena 110 zł.

TANGO RAZ JESZCZE

Wydawnictwo Literackie kontynuując serię prozy iberoamerykańskiej wypuściło na rynek kolejny tom. „Tango raz jeszcze" Julio Cortázara. Autora nie trzeba ani przedstawiać, ani reklamować. Jego „Gra w klasy" zrobiła przed laty furorę w Polsce stawiając jej autora w rzędzie najwybitniejszych pisarzy współczesnych.

Dewizą Cortázara jest nadal maksyma „Nigdy realne — lecz zawsze prawdziwe". W jego opowieściach odnajdujemy nieustające mieszanie się dwóch światów: rzeczywistego z nierzeczywistym. Jednakże wnioski nasuwające się po lekturze są zupełnie ziemskie. Przekład: Zofia Chądzyńska.

Julio Cortázar: Tango raz jeszcze. Wyd. Lit. 1983. Str. 114. Cena 55 zł.

DLA MŁODZIEŻY I NIE TYLKO

Honorata Chróścielewska pisze dla młodzieży. Jej „Córka tego, co tramwaje jego" zdobyła sobie niemałą popularność. Potem ukazała się „Królowa Majorki", a teraz na ladach księgarskich pojawiła się kolejna pozycja pt. „Mama, ja i łazigóry", która jak i poprzednie, nie będzie zalegać w księgarniach. Tematem książki są przygody kilkunastoletnich dziewczynek, choć nie one były inspiracją twórczą. Autorka opisując niefrasobliwe wakacyjne przypadki, ukazała naszą obyczajność z jej śmiesznostkami i wadami. A że wzięła do tego krzywe zwierciadło? Przecież nic tak nie przemawia do człowieka, jak satyra.

Honorata Chróścielewska: Mama, ja i łazigóry. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 206. Cena 80 zł.

KRYTYKA

Krytyk literacki i historyk literatury Stefan Melkowski zebrał swój pięcioletni dorobek w postaci szkiców wspominkowych i wydał je pod wspólnym tytułem „Różne strony". Z reguły odczuwam nie uzasadnioną niczym niechęć do wertowania podobnych dzieł, lecz w przypadku Melkowskiego moje uprzedzenia szybko mijają. Jest to książka nie tylko dotykająca spraw współczesnej nam kultury i związanych z tym procesów poznawczych, ale jest tu dużo szersze tło mające odniesienie do kultury europejskiej.

I na zakończenie jeszcze jedno: zaletą książki jest jej przejrzystość stylistyczna i językowa, co jest rzadkością w naszej publicystyce.

Stefan Melkowski: Różne strony. Wyd. Łódzkie 1983 r. Str. 432. Cena 100 zł.

WIZERUNEK OTWARTY

Tę książkę odnotowujemy gwoli kronikarskiej ścisłości, gdyż jest to jej trzecie wydanie, a jak sobie przypominam, powieść „Wizerunek otwarty" Wandy Karczewskiej miała sporo obszernych i wnikliwych recenzji, także na łamach „Odgłosów".

Dla tych, którzy po tę książkę zechcą sięgnąć po raz pierwszy, podaję, iż jest to opowieść autoironiczna, bardzo liryczna, głęboka, pełna zaskakujących, ostrych spięć, a jej bohater Paweł Sikora jest tyleż tajemniczy, co zwyczajnie ludzki, choć jego historia, jak „każdy medal i płot ma jeszcze tę trzecią stronę, od kantu, i w dodatku środek, w którym latają różne atomy".

Wanda Karczewska: Wizerunek otwarty. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 234. Cena 70 zł.

Jedyna

Budzi wyobraźnię, podnieca i ekscytuje. Zaciekawia i bulwersuje. Jest egzotyczna i tajemnicza, pociągająca i trudno dostępna. Wszyscy nieokreślonym sentymentem darzą tę trzydziestopięciolatkę. Ona zaś nie tylko przyznaje się do swego wieku, lecz walczy o to, by lat jej nie ujęto. Nie chce, choć może, uchodzić za młodszą. Serdecznie przywiązana do miejsca, równie mocno przywiązuje do siebie ludzi. Umiejętnie tworzy własną legendę i owiewa nią swych uczniów, w których doborze jest staranna i nader powściągliwa.

Jej urodzinową uroczystość mogłoby uświetnić swą obecnością sześciuset siedemnastu aktorów, trzystu trzydziestu ośmiu reżyserów, trzystu siedemdziesięciu czterech operatorów filmowych i telewizyjnych oraz dwustu dwudziestu czterech kierowników telewizyjnej i filmowej produkcji.

Ma imię, które kojarzy się z wejściem na Parnas i o dreszcz emocji przyprawia nie tylko maturzystów. Nazywa się Państwową Wyższą Szkołą Filmową, Telewizyjną i Teatralną im. Leona Schillera, działa w naszym mieście i jest jedyną w kraju akademią trzech muz. Dwie najmłodsze zdominowały tu nieco najstarszą i zajęły dwa pierwsze w dość długiej nazwie miejsca, ale ta trzecia, mimo iż wyparta przez nie na koniec, cieszy się bliskością imienia patrona, z którym „resortowo" sobie nawzajem niemal wyłącznie przynależą.

Każda próba samego tylko (choćby i najbardziej drobiazgowego) opisania łódzkiej Szkoły, temu kto ów trud podejmuje niesie z sobą ryzyko niepowodzenia. Opisując bowiem każdy jej szczegół i mówiąc o niej wszystko, można stanąć wobec faktu, iż właściwie nie powiedziało się niczego. Podstawowym założeniem, założeniem niezbędnym dla minimalnego choćby powodzenia takiego przedsięwzięcia, jest usytuowanie PWSFTviT nie tylko w sferze obiektywnie istniejących faktów, nie tylko w bardzo licznej już grupie artystycznych szkół wyższych, lecz przede wszystkim w kategorii zjawisk kulturalnych i społecznych. Tych zjawisk, których miejsca, roli i funkcji w przeszłym, obecnym i przyszłym życiu kulturalnym nie da się przecenić, bo jego kształt w tak znacznym stopniu zależy również i od jej kondycji, że wszystkie drgnienia, wszelkie wahania jej wewnętrznej temperatury, meandry nie pokrętnie, ale też nie zawsze prosto rysującej się linii jej życia, budzą zrozumiałe, tyleż intuicyjne, co racjonalnie uzasadnione zainteresowanie. Ono zaś z tych właśnie powodów, za każdym razem od nowa, ale również i permanentnie skupia się głównie na panującej w łódzkiej szkole atmosferze, a ta nie istnieje bez związku z atmosferą i klimatem społecznego i politycznego życia kraju.

Atmosfera tej uczelni, jak żadnej innej szkoły artystycznej (a atmosferą jest w nich stopień twórczego napięcia emocjonalnego i intelektualnego jej pedagogów i słuchaczy) przez lata całe promieniuje na przestrzeń znacznie szerszą niż ta, jaką tworzą sobą dzieła sztuk, których tajniki zgłębiają jej uczniowie. Pośrednio promieniuje ona bowiem również na odbiorców tych dzieł, na ich szeroko rozumianą świadomość.

Dziełami wielotworzywowych sztuk dają twórcy filmowi i teatralni najpełniejszy obraz swoich i naszych niepokojów, pragnień, potrzeb, nadziei, ambicji mówienia, dyskutowania, obrazowania, wyjaśniania i analizowania. Pragnąc kiedyś wypowiedzieć się najpełniej przyszli twórcy tu właśnie przynosili ze sobą swe myśli nie zawsze uczesane, tu nabierały one pierwszych cech uogólniającej refleksji. Tu godzili się lub buntowali, tu walcząc z rygorami uczyli się kanonów, tu — często ulegając emocjom dzisiejszego dnia — zawsze walczyli o jutro. Atmosfera tej szkoły zawsze rodziła się ze związku obiektywnie istniejącej rzeczywistości artystycznej, społecznej i politycznej z żywym pragnieniem twórczej konkretyzacji subiektywnie kreowanych wizji. Łódzka PWSFTviT, która w dniu swych urodzin była szansą, rychło stała się gwarancją rozwoju polskiej kinematografii. Dziś jest przedmiotem działań doskonalących proces kształcenia i podmiotem kształcącym oraz kierunkującym, placówką dydaktyczną i artystyczną jednocześnie. Dla swych entuzjastów — konkretem i mitem, hasłem i symbolem. Dla wielu — domem.

W bardzo ścisłym związku z jej atmosferą pozostawały znaczące w naszej kulturze zjawiska artystyczne. Tu wykształcona Grupa Młodych Aktorów w akcie buntu przeciwko rygorom starego (ich ówczesnym zdaniem) teatru stworzyła po opuszczeniu murów tej uczelni ów prawdziwie nowy teatr, jakim stał się łódzki Teatr Nowy kierowany przez Kazimierza Dejmka. Tu rodziła się i dojrzewała myśl i sprawność artystyczna i warsztatowa twórców „polskiej szkoły filmowej". Tu adeptów reżyserii ożywiał i pobudzał do refleksji ów moralny niepokój lat siedemdziesiątych, który kazał im tworzyć całkiem nowe kino. Tu wreszcie coraz częściej odzywają się głosy, że trzeba będzie ująć jakoś i zsyntetyzować „wszystkie te lata w całości", co wolno chyba traktować jako zapowiedź niedługich zapewne narodzin kolejnego rozdziału w dziejach naszej sztuki filmowej.

Tu atmosferę tak ściśle związaną z czasem historycznym zawsze tworzyli ludzie: wykładowcy i studenci — mistrzowie i czeladnicy, jakże trudnych artystycznych rzemiosł. Ludzie szkoły to bardzo specyficzna i złożona grupa; grupa przede wszystkim wyjątkowo wręcz niejednorodna. Ponoć niewiele tu przyjaźni, ponoć przyjaźnie tu nietrwałe. Studenci wyborem zawodu stawiają przed sobą oczywisty i konieczny do spełnienia wymóg nieustannego konkurowania o palmę pierwszeństwa w wybranej przez siebie profesji. Profesorowie tylko cztery lata określone programem studiów czekają, by ich uczniowie stali się kolegami, partnerami, a często także rywalami w zawodzie. Nici przyjaźni na ogół rwą się na drogach do indywidualnych sukcesów. Uczniowie PWSFTviT, a tu niemal wszyscy — „kadra" także — są jej uczniami, niezwykle trwałymi więzami emocjonalnymi łączą się z tą szkołą, z jej duchem i tradycją, którą sami w ten właśnie sposób tworzą. Starają się przy tym najusilniej — nieraz niepostrzeżenie dla siebie — by nie zginęła ona nie tylko z jej murów, ale także z nich samych. Tradycja tak właśnie budowana jest bowiem żywą pamięcią ich artystycznej młodości, pamięcią pierwszych kroków, od których liczy się wszystko, co na początku drogi chętnie nazywa się „sposobem na życie", a czym później w niemałym trudzie to życie się wypełnia.

Gdy stało się oczywiste, że nowej Polsce potrzebny będzie nowy teatr i nowa kinematografia, że im także przypadnie zadanie kształtowania nowego społeczeństwa, jego szeroko rozumianej świadomości i moralności, równie oczywista stała się konieczność powołania do życia placówki dydaktycznej kształcącej młodą kadrę dla realizacji tego zadania. Melpomena była tu w lepszej sytuacji. W programie życia teatralnego przygotowywanym dla wolnej Polski przez działającą podczas okupacji konspiracyjną Radę Teatralną kwestia kształcenia kadr opracowana została ze szczególną, godną powagi tej sprawy starannością. „Nie można mówić o planowej rozbudowie kultury teatralnej w nowej Polsce, o celowej pracy dla przyszłości Państwa i Narodu, jeśli nie przystosuje się do tej gigantycznej i na szereg lat obliczonej pracy szkolnictwa teatralnego" — oto jeden z najistotniejszych postulatów tajnej Rady Teatralnej. Zaprogramowana przez nią działalność Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej i praca powstałego w kwietniu 1945 r. łódzkiego Studia Teatralnego, którym kierował Henryk Szletyński, pozwoliły na utworzenie w sierpniu 1946 roku Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi. Jej rektorem został patron dzisiejszej „akademii trzech muz" Leon Schiller.

Państwową Wyższą Szkołę Filmową powołano w roku 1948. Ta pierwsza w kraju uczelnia filmowa typu akademickiego nie miała żadnych poprzedniczek, a zatem i wzorów. Brak jakichkolwiek wcześniejszych form kształcenia filmowego, a co więcej — nikła (nawet dziś jeszcze) znajomość tradycji polskiej myśli filmowej mogły okazać się istotną dla powstania tej uczelni przeszkodą. Jednak gwałtownie odczuwana potrzeba istnienia akademii Dziesiątej Muzy i szczególny entuzjazm tych lat, gdy wszystko było pierwsze i konieczność budowania od nowa nie tylko nie napawała przerażeniem i niemocą, ale wręcz dodawała skrzydeł, sprawiły, iż Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa tak ostro ruszyła do działania i tak daleko wybiegła do przodu, że gdy Państwową Wyższą Szkołę Aktorską (powołaną w 1949 roku w miejsce przeniesionej do stolicy PWST) połączono z nią w 1959 roku w PWSTiF, to po dziesięciu zaledwie latach trzeba było w jej nazwie przenieść teatr na ostatnie miejsce. Dziś kształci ona przede wszystkim twórców filmowych i telewizyjnych. Z rozległych niegdyś włości Melpomeny (a miała tu niegdyś nawet Wydział Dramaturgiczny i Wydział Reżyserii Teatrów Niezawodowych) pozostał jej tu tylko Wydział Aktorski.

Łódzka Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera ma dzisiaj trzy Wydziały (Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej, Operatorski i Realizacji TV oraz Aktorski) i cztery Studia (Wyższe Zawodowe Studium Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej, Wyższe Zawodowe Studium Reżyserii Filmu Animowanego oraz zaoczne Studium Scenariuszowe, Studium Montażu Filmowego i Studium Realizacji Telewizyjnej). W minionym roku akademickim kształciło się tu dwustu dwudziestu dziewięciu studentów. Pięćdziesiąt siedem osób, które słusznie mają się za wybrańców losu rozpoczęło tu naukę w bieżącym roku akademickim, w którym uczelnia uroczyście obchodzi swoje trzydziestopięciolecie.

Z niegasnącym zapałem dyskutuje się tu wszystkie kwestie związane z programem nauczania, nad którym czuwa specjalna Komisja Senacka. Kierujący Szkołą wybitny reżyser filmowy Henryk Kluba cieszy się z żywego w tych dyskusjach udziału studentów. Ich opinie (choć często są one doraźne) uwzględniane są w kompozycji programu dydaktycznego i artystycznego, a pragnienia realizowane w miarę w istocie niemałych możliwości. Wielokrotnie zgłaszany przez nich jakże słuszny postulat łączenia teorii z praktyką znalazł pełne zrozumienie u władz uczelni. Powołany w Szkole zespół „Dyplom" pozwala na realizację prac dyplomowych studentów Wydziału Reżyserii w kierowanym przez Wojciecha Hasa, będącego pedagogiem tej uczelni, zespole „Rondo". Szkoła ma własne studio telewizyjne i stałą współpracę z ośrodkami Telewizji Polskiej, a jej studenci chętnie widziani są w Studiu Eksperymentalnym im. Andrzeja Munka działającym przy telewizji w Warszawie. Studenci Wydziału Aktorskiego coraz częściej przygotowują swe dyplomowe spektakle w profesjonalnych teatrach. Z inicjatywy łódzkiej szkoły, która jako jedyna w kraju od niedawna szczyci się posiadaniem własnego, „prawdziwego" teatru, odbył się po raz pierwszy Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych.

Przedmiotem szczególnej troski pedagogów są zindywidualizowane osobowości jej uczniów. Sprawą niezwykłej wagi jest uświadomienie im alternatywnych sposobów wypowiedzi artystycznej. Z pola widzenia wykładowców nie umykają też kwestie etyczne i motywacje artystycznych działań, o których nieustanne wzbogacanie zabiegają oni szczególnie. Kadrę tej szkoły przez wszystkie jej lata i epoki działalności stanowili zawsze twórcy najwybitniejsi. Lista nazwisk pedagogów tej uczelni w jej trzydziestopięcioleciu przyprawia o zawrót głowy. Wszystkich wymienić nie sposób. Przed wszystkimi schylić trzeba czoła.

Opierała się łódzka „filmówka" burzom i naporom, zakusom i „tendencjom". Silną tradycją i wszechstronnością swych działań przed niewczesnymi atakami broniła się i broni artystycznymi sukcesami swych wychowanków, którzy odnoszą je w Polsce i poza jej granicami. Nie oparła się i nie opiera jednemu tylko naporowi: coraz liczniejsze rzesze uzdolnionej artystycznie młodzieży szturmują jej bramy. Dobry to znak dla nas wszystkich.

EWA PANKIEWICZ

Kronika kulturalna

WYTWÓRNIA Filmów Oświatowych, Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Muzeum Kinematografii, Oddział Muzeum Historii Miasta Łodzi były organizatorami pokazu filmów **Stanisława Janickiego.** W programie obejrzeć można było takie filmy jak „Cienie czasu", „Ach ta chata rozśpiewana", „Bracia Polscy", „Rapsod królewski", „Konterfekty króla Jegomości".

1 GRUDNIA, w Młodzieżowym Centrum Kultury przy ZŁ ZSMP odbył się program **„Oko w oko z satyrą",** w wykonaniu wrocławskiego artysty, **Tadeusza Osmędy.**

W SALONIE Sztuki Współczesnej czynna jest wystawa jubileuszowa 50-lecia pracy twórczej **Bolesława Utkina.**

W Galerii Bałuckiej obejrzeć można wystawę fotografii **Olgierda Gałdyńskiego.**

W Galerii Sztuki swoje prace prezentuje **Roman Artymowski,** a w Ośrodku Propagandy Sztuki — **Jonasz Stern.**

7 GRUDNIA odbył się w Akademii Muzycznej wieczór muzyczny z udziałem Romualda Tesarewicza (bas) i Antoniego Dudy (fortepian). W programie znalazły się utwory St. Moniuszki, Wł. Żeleńskiego, P. Czajkowskiego, S. Rachmaninowa i Ch. Gounoda.

W KINIE „Wisła" w dniach 12—16 grudnia odbywał się przegląd filmów hinduskich. W programie kilka interesujących filmów: „Nie kuś mego serca" — reż. J. Mahendram, „Klejnot Shiwy" — reż. K. Vishawanath, „Podbój serc" — reż. G. Kasaravalli, „Czarodziej" — reż. G. Aravindan i „Próg naszego domu" — reż. B. Bhattacharya.

10 GRUDNIA na Scenie 7,15 Teatru im. St. Jaracza odbyła się kolejna premiera. Była nią sztuka **Jerzego Waldena „Opiekun mojej żony",** oparta na motywach „L'affaire Edouard" Georgesa Feydeau. Sztukę reżyserował **Włodzimierz Nurkowski,** scenografię przygotowała **Anna Sekuła,** muzykę **Piotr Hertel,** aranżowała spektakl **Maria Czeszek,** teksty piosenek — **Janina Niesobska.** W spektaklu grają m. in. **Bożena Miller-Małecka** Zofia Tomaszewska, Ewa Worytkiewicz, Jan Hencz i Grzegorz Heromiński.

Z OKAZJI 65-lecia powrotu do macierzy Ziemi Cieszyńskiej i 120-lecia Amatorskiego Teatru Polskiego, Czytelni Ludowej w Cieszynie — teatry z Bielska, Katowic, Łodzi i Opola zaprezentowały tu swoje spektakle. Otwarto również wystawę pt. **„Teatr cieszyński w Polsce Ludowej".**

W ZIELONOGÓRSKIM BWA otwarto wystawę **XI** salonu jesiennego. Spośród 106 prac autorstwa 24 plastyków I nagroda przyznana została Jolancie Zdrzalik za zestaw prac graficznych. II nagroda — Annie Gapińskiej-Myszkiewicz za prace pt. „Nastrój", a III — Adamowi Bagińskiemu za prace pt. „Trwanie" i „Niestałość".

ZGODNIE z życzeniem znakomitego poety i teoretyka Awangardy Jana Brzękowskiego (zm. w Paryżu 3 sierpnia br.), gabinet pisarza, pozostałe archiwum i bogaty polsko-francuski księgozbiór przekazane zostaną do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Potwierdziła to niedawno w Paryżu wdowa po pisarzu, p. Maria Brzękowska. Jan Brzękowski przekazał w 197" roku swoje powojenne archiwum (między innymi obszerną korespondencję z Julianem Przybosiem) w formie depozytu, który w chwili śmierci pisarza przeszedł na własność Muzeum Literatury. Jan Brzękowski był dwukrotnie gościem warszawskiego muzeum — w 1973 roku, kiedy z okazji 50-lecia twórczości zorganizowano wieczór literacki poety oraz w 1979 roku na 75-lecie urodzin.

W WIEDEŃSKIM Domu Sztuki otwarto wystawę pt. **„Piotr Michałowski i Artur Grottger — dwaj polscy romantycy".** Ekspozycja obejmuje około 150 dzieł artystów.

Retkinia 7 grudnia 1983; godz. 13.30

Wybuch

Ireneusz Kamiński, kierowca autobusu MPK wyszedł z domu parę minut po dwunastej. Spieszył się na popołudniową zmianę do zajezdni. W domu została żona, dziecko było w szkole. Dzisiaj pojedzie trasą na Retkinię. Autobus leci Maratońską, tuż koło skrzyżowania z Dzierżyńskiego, niecałe sto metrów dalej stoi jego dom.

Elżbieta Staszczyk zdążyła porobić zakupy, w samą porę, by zamienić się z mężem doglądającym ich 2-letniej córeczki. Ona wzięła się za obiad, on — dopiął guziki beżowej kurtki i wyszedł do pracy.

Tuż obok bloku nr 214, przy Dzierżyńskiego 6, koparka przygotowywała rów dla odprowadzenia wód gruntowych zbierających się pod fundamentami.

Zwyczajny zimowy dzień. 7 grudnia 1983 roku. Niespecjalnie zimno, trochę wilgotno i szaro. Wielka sypialnia miasta zapadła w ciszę. Ożywi się za dwie godziny, kiedy autobusy i tramwaje przywiozą tłumy wracających z pracy. Za godzinę wyjdzie ze szkół pierwsza zmiana. Na Retkini szkoły trzeszczą w szwach, lekcje idą na dwie, czasem trzy zmiany.

O tej godzinie, trochę po 13. gospodynie odstały już swoje w ogonkach sklepowych, dzieci w szkole, mężowie w pracy. Cisza i spokój.

Kamiński jechał ostrożnie od pętli przy Maratońskiej. Jezdnię pokrywała rozmazana bryja... Drogowcy, jak zwykle, ciężko pracowali — gdzie indziej...

Odruchowo zerknął w stronę mijanego właśnie własnego domu... i zmartwiał. Domu nie było...

GODZINA 13.25

Czteropiętrowy blok nr 214 stoi najbliżej ulicy Dzierżyńskiego. Dalej, w głąb, już tylko alejki prowadzące do stojących w zbitej gromadzie takich samych bloków.

214 ma 6 klatek, dwie skrajne — najbliższe ulicy — nagle, na sekundę, uniosły się jakby w górę.

W chwilę później potworna eksplozja rozerwała ciszę. Fala powietrza wygniotła szyby w oknach sąsiednich bloków. Chmura dymu i pyłu na moment osłoniła wszystko. Kiedy opadła — tam, gdzie stał pierwszy segment, dwie klatki bloku, sterczała potrzaskana piramida rozszarpanych wybuchem płyt. Do połowy drugiego piętra utworzyła się góra gruzu, pogiętego żelastwa, prętów, rur i kabli.

Nad tym wszystkim — jak potworne memento — sterczała obnażona ściana reszty ocalałego bloku. Prostokąty pomalowanych lub tapetowanych ścian, które przed minutą były dla kogoś domem. Ciepłym i bezpiecznym.

Na jednym z prostokątów trwał jeszcze, zupełnie już bez znaczenia kawałek czyjejś kuchni. Drewniane półeczki pełne jeszcze słoików z przyprawami, kolekcja drewnianych deseczek i łyżek, kilka włocławskich talerzy...

GODZINA 13.30

Minuty przerażonego zdumienia i bezruchu. Ludzie, ci z sąsiednich bloków, ci — zza ocalałej ściany, przechodnie, ocknęli się ze zmartwiałej grozy. Ktoś popędził do telefonu — to operator koparki pracującej tak blisko. Czyjś straszny krzyk darł powietrze...

— *Ludzie! Pomocy! Trzeba dźwig... Ela!... Ratunku!...*

Jest już milicja. Akurat Maratońską przejeżdżał radiowóz, jakaś płacząca kobieta, nie mogąc mówić, tylko pokazała ręką za siebie, na dymiące zwałowisko...

Radiowóz wzywa straż pożarną, ciężki sprzęt, zawiadamia szpitale i władze miasta.

W ciągu pierwszej godziny w ludziach jeszcze wszystko drży. Chaos wpadających na siebie postaci, próbujących dostać się do gruzowiska, powoli uspokajają przybywające służby ratownicze. Tłum zwartym pierścieniem otacza miejsce tragedii. Naciska. Zbliża się, tamuje dojście. Milicja tworzy kordon, zamyka ruch kołowy na całym odcinku Dzierżyńskiego — od Maratońskiej do Marchlewskiego.

GODZINA 13.40

Przyjeżdżają pierwsze karetki pogotowia. Drobna, siwowłosa lekarka, otacza ramieniem jakąś rozpłakaną kobietę, prowadzi do karetki. To doktor Łuczkowska, szef zespołu pomocy doraźnej dla dzielnicy Polesie stara się uspokoić zrozpaczoną matkę. Mieszkała w tym, co już nie istnieje. Jej syn został w domu...

— *Najpierw trzeba było udzielić pomocy* — mówi dr Łuczkowska — *zszokowanym, pokaleczonym ludziom, którzy znaleźli się w najbliższym sąsiedztwie wybuchu. Młody człowiek wyszedł akurat wyrzucić śmieci. Wybuch rzucił nim o słup latarni. Jest w szoku, ale nie dał się odwieźć do szpitala. Tam — została jego żona...* dr Łuczkowska odciąga mnie na bok przed potężnym, manewrującym dźwigiem. To już siódmy...

GODZINA 14.40

Teren wokół miejsca wypadku odgrodzony kordonem milicjantów. Na miejscu jest prezydent Józef Niewiadomski, Tadeusz Czechowicz, płk Kazimierz Garbacik. Szef Wojewódzkiej Straży Pożarnej, płk Stanisław Woźniak, podaje dziennikarzom podstawowe informacje: Zawaliły się dwie klatki. Po dziesięć mieszkań w każdej. Mamy pełny spis lokatorów, łącznie z dziećmi. Razem 68 osób. Radiowóz milicji ogłasza co chwilę nazwiska. Odnaleziemi w tłumie, powracający z pracy mieszkańcy zawalonych klatek. Ewakuowani zostali wszyscy mieszkańcy ocalałej części bloku...

...jakiś młody człowiek stoi w grupce strażaków...

— *Panowie, nie znaleźliście mojej córeczki? Taka blondyneczka, 2 latka, w białych rajtuzkach... I żona. Elżbieta Staszczyk. Ja jestem mąż — Staszczyk, z IV piętra...*

Kamiński który od momentu wybuchu zostawił na poboczu autobus, krąży teraz wśród ekip ratowniczych...

— *Nie usłyszeliście nic?... Tam żona została. Na I piętrze...*

Kamiński, w szarym płaszczu mundurowym, brodaty, ma zupełnie martwe oczy...

GODZINA 15.00

Ze sterty gruzów ratownicy zbierają resztki ludzkiego dobytku. Dorobek lat pracy mieści się w paru tekturowych pudłach, ustawionych obok radiowozu. W osobnym pudle przedmioty szczególnie cenne. Na pobliskim drzewie zawisł, wyrzucony siłą wybuchu, czyjś obrus. Powiewa teraz jak makabryczna flaga...

Olbrzymie dźwigi operują wśród potrzaskanych płyt. Powoli unoszą wielkie bloki, odsłaniając, ułatwiając dojście ratownikom.

Nagle wzmaga się ruch na gruzach. Wołają o lekarza. o karetki. „Erka" podjeżdża pod samą krawędź zwału. Białe kitle migają wśród strażackich mundurów. Jest! Żyje! 2-letnia dziewczynka Nie ma większych obrażeń. Na szczęście. Zastrzyk. koce i już karetka na sygnale rwie do szpitala. Staszczyk chwyta za ręce jakiegoś sanitariusza...

— *Panie. czy to moja córka?*

— *Kochany, nie wiem. Leć do szpitala, dowiesz się.*

— *A nie, poczekam jeszcze na żonę... Córka — jeśli to ona — jest już bezpieczna...*

Ekipa telewizji krąży wokół zawału. Filmuje poszarpane meble, materace, poduszki. Kawałki czegoś, co kiedyś komuś dawało spokój własnego domu...

Ratownik odnosi do pudeł dziecięce łyżwy z butami. Inny niesie naręcz ciuchów — sterczy kolorowy sweterek i damska spódnica.

— *Widziałem jakiegoś typa kręcącego się przy gruzach. Myślałem, że ktoś z rodziny, nie miałem serca odgonić. A on znalazł taką osmaloną kasetkę drewnianą. Łaps, i już go nie ma, anim się obejrzał... Cholera jasna!*

Milicjant z kordonu osłaniającego uspokaja strażaka.

— *Tego typa zobaczył kolega, dał mu w mordę, zawlókł do radiowozu. Kasetka jest u nas...*

Wszędzie słychać powtarzane jak zaklęcie, jak życzenie serdeczne:

— *Szczęście, że to się nie stało po piętnastej, kiedy ludzie z roboty już zdążyli wrócić. Byłaby masakra....*

Rodziny, znajomi tych — tam... stoją koło radiowozu. Padają nazwiska: Olejniczak — Romualda i Andrzej, Pastuszko, Pogorzelska, Ambroziak...

Uratowanie pierwszego człowieka, malutkiej dziewczynki, jakby poderwało ludzi. Jeszcze szybciej, precyzyjnie i bardzo ostrożnie usuwa się najcięższe bloki. Tu trzeba koronkowej roboty . Misterna piramida rozszarpanych płyt wygląda jak rozsypany domek z kart. Trzeba uważać na każdy krok. Może się zawalić, obsunąć, zabić tych co jeszcze tam, w głębi żyją i czekają na ratunek.

Wzmaga się mróz, zaczyna padać drobny śnieżek. Zapada wczesny mrok. Płoną potężne reflektory oświetlające miejsce akcji Pracuje sześć sekcji gaśniczych, trzy ratownictwa technicznego, jedna oświetleniowa i dziesiątki pomagających milicjantów Słupy duszącego dymu chwilami zupełnie zasłaniają widok. Tlą się. gdzieś pod spodem. resztki mebli, wykładzin, odzieży.

GODZINA 16.00

Niewiele widać. Ale słychać! Tam, w górze usłyszeli czyjś głos! Milkną potężne silniki. Zapada napięta wyczekująca cisza. Tak! Jest! Żyje! Kobieta, nawiązano z nią kontakt. Uwięziona w złomie pogniecionych płyt wzywa pomocy. Jeszcze kwadrans, jeszcze pół godziny szalonego wysiłku. Wreszcie jest. Lekarze biegną na górę. Karetka z otwartymi drzwiami stoi tuż obok. Sanitariusz szykuje koce i kroplówkę.

Nareszcie! Młoda kobieta, ciężko ranna w nogi, w stanie głębokiego szoku. Ale przytomna. Jest już w karetce. Staszczyk przedziera się już przez tłum. To ona! Moja żona. Lekarz podsadza go do wnętrza. Sanitarka odjeżdża. Jaka ulga. Już druga osoba uratowana.

GODZINA 18.00

Na liście mieszkańców dwudziestu zawalonych mieszkań, przy 43 widnieją znaczki. To ci, co się znaleźli. Razem z tą uratowaną dwójką. Brakuje jeszcze 16 osób. Nie wiadomo, czy wyjechali, czy jeszcze nie wrócili z pracy — czy są tam...

W grupce najbliższych sąsiadów i rodzin — tych z gruzów, jakiś młody człowiek omawia przyczyny wypadku.

— *Wszyscy mieszkańcy bloku od paru dni czuli ulatniający się gaz. Alarmowali. Nawet wczoraj było spotkanie z wojskowym szefem grupy operacyjnej dla Polesia. Mówili o tym gazie. A dzisiaj rano to już zupełnie nie można było wytrzymać. Sąsiad z parteru stał nawet przed blokiem i ostrzegał wchodzących, żeby nie włączali kuchenek, żeby nie dzwonili, bo może się coś zdarzyć i ta koparka, tak blisko bloku! O 12-tej zaniepokojony operator koparki zadzwonił do pogotowia gazowego. Alarmował, że gaz. Powiedzieli mu, żeby nie panikował, po 14-tej przyjadą, bo teraz kończy się ranna zmiana... Wybuchło o o 13,25..*

Podobno koparka zerwała jakiś kabel. Podobno ktoś w mieszkaniu włączył gaz. Podobno. Kto to teraz wie, jak było naprawdę. Potem, jak już komisja zbada, jak drobiazgowe śledztwo ustali szczegóły, będzie wiadomo, co się stało. Czy zbrodnicze niedbalstwo, czy niemożliwy do przewidzenia tragiczny wypadek...

Rozstrzęsiona starsza kobieta krzyczy o mordercach, łobuzach, co koparkę pod sam dom puszczają... Wyrywają, nie patrzą, bo im się nie chce sprawdzić...

Rozwścieczony budowlaniec z ekip ratunkowych miele ciężkie przekleństwo:

— *K...a! Łatwo powiedzieć! Sprawdzić! Jak? Przecież to jest burdel, nie ma żadnych planów, w biurach tylko dupy płaszczą, a jak trzeba kopać, to nikt nie wie, na co może trafić. Żadnych planów instalacji. To jest głupiego robota...*

GODZINA 20.00

Usłyszeli coś, jakiś głos. Pada komenda, by wyłączyć maszyny.. Tak, coś jakby słychać. Tu, pod tym zwałem płyt. Strumienie wody lecą na tlące się gruzy. Wielki pomarańczowy balon dmuchawy przeciwdymnej próbuje osłabić kłębowisko cuchnącego dymu, zza którego ludzie nie widzą własnych twarzy. Podjeżdża koparka i delikatnie, z brzegu wybiera drobniejsze złomy. Byle szybciej dostać się do środka. Czas pracuje przeciw ratującym, zmniejsza nadzieję dla tych zasypanych.

— *Panie, to już teraz tylko trupy będą. Ta dwójka to był cud. Mieszkali na IV piętrze. A reszta? Panie, toż tam już nic nie ma. A jeszcze ta ściana jak runie, to ratownicy poginą.*

— *Zamknij się pan, nadzieja jest. Zabraknie jak dokopiemy się do piwnic. Teraz jeszcze jest.*

Wybebeszona z prywatności ściana ocalałej reszty bloku groźnie sterczy nad głowami gorączkowo pracujących. Może runąć jest niebezpiecznie wybrzuszona. Podeprzeć nie ma jak. Każde dotknięcie może zburzyć chwiejną konstrukcję.

... Kobieta rozpaczliwie, przez łzy, powtarza milicjantowi nazwisko: Tyjeczko.

— *Pan Tyjeczko proszony do radiowozu.* — Komunikat przeplata się z krzykiem... — *Tam dziecko! Moje dziecko! A na parterze była jeszcze starsza pani..*

Obok stoi milcząca kobieta. Ma szarą, nieruchomą twarz. Mieszka... mieszkała w tej ocalałej części bloku, ale jej córka, 11 lat, poszła do koleżanki. Do pierwszej klatki...

U szczytu gruzów podnosi się krzyk: Lekarz! Biegnie doktor Pilarski, szef medycznej ekipy ratowniczej. Spod złomów delikatnie wyjmują ciało. Mężczyzna żyje, jest nieprzytomny. To ten, którego słyszeli już od godziny. To pan Tyjeczko!

Sanitarkę odprowadzają tysiące oczu. Z wdzięcznością, z podziękowaniem.

Procesję mieszkańców Retkini do głębokiej nocy zdążają na miejsce wypadku. Zwarty tłum napiera na bariery, za którymi wre gorączkowy pośpiech To już trzeci żywy. Po 5 godzinach akcji! Jest szansa, że da się uratować resztę.

Okoliczni mieszkańcy znoszą ratownikom termosy z gorącą kawą i herbatą. Wtykają kanapki do rąk...

— *Zjedzcie, panowie. tu taki mróz, a wy już tyle godzin...*

Do mieszkań zapraszają, choć na chwilę, przysiąść, ogrzać się, wypalić papierosa. I znowu idą tam na oświetlone. dymiące nieszczęście.

Wojsko zorganizowało aprowizację. Zmieniające się w pracy ekipy podchodzą do ciężarówek i biorą po dymiącym talerzu grochówki z kawałem kiełbasy. I chleba. Lekarze, sanitariusze, służba ochrony — wszyscy drżą z zimna. Sypie gęsty śnieg. Gorąca zupa przywraca czucie lodowatym rękom.

Do godziny 20.30 z 68 mieszkających w zawalonych klatkach nie zgłosiło się 8 osób.

Dziesiątki osób dzwoni do wszystkich szpitali: czy nie trzeba krwi? Może jakieś leki potrzebne do ratowania, może pomoc? Ludzkie nieszczęście wyzwala poczucie wspólnoty, odruch pomocy. Ale też ohydną chciwość szakali próbujących myszkować po opuszczonych, ocalałych mieszkaniach. Gapie przyglądają się akcji bezpieczni świadomością, że to nie oni...

Gdzieś tam, w ludziach, narasta gniew. Jak mogło do tego dojść! Kto zawinił! To już druga taka tragedia na Retkini. Przed rokiem był budynek przy Florecistów. Co za jakieś fatum? A może niechlujstwo, zbrodnicza głupota, tumiwisizm?

GODZINA 20.55

Jest kontakt głosowy z chłopakiem. Woła ojca... Ratownicy u stóp grożącej zawałem ściany prowadzą koronkową, saperską robotę. Ciężko się dostać. Chłopak ma zaklinowane nogi. Ale już widać rękę... W tę wyciągniętą dłoń dr Pilarski wbija igłę strzykawki. Zastrzyk przeciwszokowy. Nim wyjmą chłopca, żeby nie cierpiał, żeby powstrzymać wstrząs...

GODZINA 21.40

Od gruzów do otwartych drzwi „R-ki" szpaler milicyjnych kufajek. Ostrożnie, bardzo ostrożnie tym korytarzem rąk suną nosze... Ziemista twarz, bujne kasztanowe włosy, nogi w dżinsach i bezwładna, drobna dłoń. To Darek Kaszuba, czternastolatek. Żyje! Jest ciężko ranny, ale żyje! Ojciec stojący przy stopniu karetki płacze bezgłośnie. Ktoś go przytula serdecznym gestem, ktoś popycha lekko do środka. Trzeba się śpieszyć... Młody kierowca karetki, zapalając silnik, słyszy... „*Maciuś! Szpula!...*"

GODZINA 22.50

Już cztery osoby uratowane. Zawał powoli maleje, ubywa gruzów. Znowu kogoś słychać. To głos kobiety, gdzieś w rejonie szczytowej klatki... Ratujący znów rozgrzebują kamienne rumowisko.

Kamiński stoi na platformie wielkiego dźwigu. Nieruchomo patrzy w stronę, gdzie kiedyś był jego dom... Czeka na żonę...

JOLANTA WROŃSKA

Schody do nieba...

GODZINA 24.00

Dobiega czternasta godzina akcji ratowniczej. Noc, przenikliwy ziąb. Upiorne światło strażackich reflektorów oświetla dymiące rumowisko. Nad nim utrzymująca się wciąż jakimś cudem ściana sąsiedniej klatki schodowej. W burym tumanie pięć ramion potężnych dźwigów. Gotowych w każdej chwili ciągnąć, wyrwać pogruchotane płyty. Obok czają się spychacze, wywrotki, kolosy — ładowarki. Nie! Nie można szybciej. Tam są jeszcze ludzie!

Czworo udało się uratować. Pokaleczeni, przemarznięci, wiele dni pozostaną jeszcze w szpitalach. Ale żyją. Zawdzięczają to tym, którzy walczą na rumowisku. Brudni, zziębnięci, często na kolanach dobierają się do skręconych betonowych złomów. Zaczepić hak o zbrojeniowy drut, zablokować i dopiero sygnał do operatora. Wielu w cienkich tylko kurtkach, parujących na uznojonych grzbietach.

— *Cisza, do cholery!* — człowiek w białym kasku kleczy nad wąską rozpadliną. Być może usłyszał jakiś głos z makabrycznej przymy. Zamierają silniki, cichną sprężarki. Na sekundę. Ratownik pochyla się nad buchającą gryzącym dymem czeluścią. Dźwig precyzyjnie utrzymuje spękaną płytę nad jego głową; gdyby szarpnął o milimetr — wszystko runie w dół. Nie. Przeczący gest ratownika...

Znów kakafonia dźwięków, ruszają silniki, wyją tnąc zbrojenia strażackie piły. Nasłuchują już coraz rzadziej. Są świadomi, że to za długo dla ludzi, którzy zostali w betonowej katakumbie. To ci z dolnych kondygnacji, a oni pracując bez wytchnienia zdarli dopiero czwarte i trzecie piętro. Z dołu bucha jeszcze dym, na dnie tlą się jakieś meble, odzież. Na górze przenikliwe zimno. Musiałby się zdarzyć cud.

GODZINA 2.45

Jerzy Krajewski ociera pot z czoła, rozmazując czarne bruzdy na twarzy. Nadzoruje tu zegarmistrzowską robotę ekip Przedsiębiorstwa Gospodarki Maszynami Budownictwa. ciężkiego sprzętu. Ściągnęli tu błyskawicznie. w pół godziny po katastrofie już się roztasowali nad piramidą, która była domem dla kilkudziesięciu rodzin.

— *Szlag by to trafił, jest już cień nadziei. Tylko cień* — głos ma matowy, widać nieludzkie zmęczenie. — *Te dolne kondygnacje dosłownie wbiły się w ziemię. Nie możemy dotrzeć do dwóch mieszkań. A tam jest jeszcze pięciu lub sześciu lokatorów — żona tego pracownika MPK i rodzina profesora.*

Głębszym basem odzywa się silnik potężnego „Hydrosa" za naszymi plecami. Operator dźwigu wpatrzony w rozsypujący się, do połowy wyrwany z gruzowiska strop któregoś z mieszkań. Nie, to ściana jeszcze jakieś obrazki na niej zostały. Dziecięca, smutna buzia w zmiażdżonej ramce. Strzela z głośnym sykiem jedna lina, trzymają jeszcze dwie. Po milimetrze, delikatnymi, ruchami dźwigni operator wyciąga spękany beton. Sypie się tynk, czeluść niechętnie wypluwa połamane meble, osmolona odzież, jakaś lalka, rozpruty miś...

GODZINA 5.00

Od paru godzin już czwartek. Jem zawiesistą grochówkę, jeszcze repeta z żołnierskiego kotła. Obok dwóch umorusanych ratowników — budowlaniec i któryś ze strażaków Zmęczone wielogodzinnym wysiłkiem ręce z trudem donoszą do ust łyk ciepłego posiłku.

— *Stary, a ty na którym mieszkasz?*

— *Na siódmym, a ty?*

— *Tylko trzecie, ale nad sobą mam osiem pięter, nie wiadomo, co lepsze...*

Całą noc, mimo przenikliwego zimna, prowizoryczne ogrodzenie wokół terenu akcji oblepione przerażonymi widzami. Blade twarze, w paru miejscach błyskają ogniki papierosów. Wciąż, mimo tylu godzin, z niedowierzaniem spoglądają

Foto: A. Wach

na dymiące resztki bloku numer 214.

— *Ma nasza Retkinia szczęście do gazu* — słyszę głos starszego mężczyzny okutanego w grubą kurtkę. — *Posypią się pewnie głowy, ale co to pomoże tym nieszczęśnikom.*

— *To ten cholerny, budowlany patent, zasrana wielka płyta* — syczy mściwie jego sąsiad. — *Gdyby był z cegły pewnie by się tak nie rozsypał.*

— *Co pan gadasz! Na Florecistów rąbnęło w mieszkaniu, tu w piwnicy, ale fakt, że te nasze mieszkania są gówno warte...*

Wizgot liny przylepionego do ziemi kolosa zagłusza dalsze słowa. Wsparty na czterech łapach „Grove" wyciąga z wnętrza gruzowiska dymiący jeszcze pion wentylacyjny. Wyje silnik, powoli nawija się gruba „stalówka". Prowadzony czujną ręką operatora czarny komin wolno wędruje nad głowami ratowników. Nie usuwają się, są pewni kunsztu kolegi. Już szukają miejsca na podczepienie kolejnej liny, ryzykując życie zanurzają się w zadymioną czeluść.

GODZINA 7.30

Między sylwetkami przysadzistych dźwigów nieruchoma grupa kilku osób. Rodziny tych, którzy zostali w mieszkaniach na niższych piętrach. Jeszcze się łudzą, zdają sobie sprawę, że każda minuta zmniejsza szansę, której i tak już nie ma. Ale czepiają się okruchów nadziei, wierzą, że może przypadek, cud raczej. Rozmawiali już po wiele razy z operatorami, ratownikami, wskazywali miejsca, gdzie według nich powinny znaleźć się zawalone pomieszczenia. Czekają...

GODZINA 9.15

Ekipy dotarły do zwęglonych zwłok kobiety, kierowca MPK rozpoznał żonę po szczątkach odzieży, zegarku...

Blade ze zmęczenia twarze ludzi są jeszcze bardziej szare. Ale nikt z biorących udział w akcji nie rezygnuje. Do końca, do ostatniego kamienia, który trzeba odrzucić. Dotarcie do parteru, do piwnic może jeszcze potrwać dzień, może całą dobę. Będą rwać oporny beton. Dla tych, którzy jeszcze czekają, wciąż wierząc. Dla siebie, że zrobili co w ludzkiej mocy...

GODZINA 12.00

Czwartkowe bure, chłodne południe. Teren wokół rumowiska rozjeżdżony kołami ciężkich wozów, gliniaste koleiny utrudniają poruszanie się. Ludzie z OTK, milicjanci, pracownicy PGMB — wciąż jak w transie. Kolejna płyta, resztki mebli, zniszczona odzież. Część na bok, do pudeł, będzie jeszcze czas, by ci, którzy przeżyli rozpoznali swą własność.

Wciąż nie mogą dostać się do zakleszczonych mieszkań na pierwszym i częściowo drugim piętrze pierwszej klatki. Tam powinno być jeszcze pięć osób, może tylko cztery...

Stalowy hak powoli podrywa do góry jakiś oporny, splątany kształt. Wysięgnik dźwigu wyrywa go po centymetrze z wnętrza zmiażdżonego budynku. Podnosi nad głowy ratowników. Schody. Spękane, pokruszone wisza nad nami jak makabryczne memento. Schody do nieba...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Z konferencji prasowej

8 GRUDNIA, GODZINA 15.30

O godzinie 15 w Urzędzie Miasta Łodzi została zwołana konferencja prasowa z udziałem władz województwa i wszystkich głównych służb miasta, poświęcona wczorajszej katastrofie na Retkini. Do godziny 15.30 znana była liczba osób wydobytych z gruzów. Poza czterema osobami, które wczoraj wydobyto żywe, w szpitalu przebywają wszystkie cztery w stanie ogólnym dobrym, jedynie Dariusz Kaszuba, po wielokrotnych reanimacjach w ciągu całej nocy, znajduje się w stanie bardzo ciężkim. W ciągu dzisiejszego dnia wydobyto zwłoki czterech osób: dwóch kobiet, dwóch mężczyzn (ostatnie o godzinie 15.15 — zwłoki mężczyzny lat około 35).

Do tej chwili nieznany był los trzech osób.

JOLANTA WROŃSKA

★

Tragiczna ironia losu: w piątek po południu z gruzów wyciągnięto... chomika. Ludzie nie wytrzymali, zmiażdżeni walącymi się płytami; zwierzę przeżyło i wybuch, i pożar.

★

Poniedziałkowe, chmurne południe. Na miejscu katastrofy pozostał głęboki lej. Nie ma nawet gruzu, spokój, czasem przed płotem otaczającym niedawne miejsce akcji ratowniczej zatrzyma się samochód, a pasażerowie z ciepłego wnętrza przyglądają się okaleczonemu budynkowi.

Przed ocalałymi klatkami schodowymi dyżurują milicjanci. Pilnują mieszkań w trzeciej klatce, dobytku ludzi, którzy przeżyli, ale nie mają ochoty już tu mieszkać. Przebiegam wśród potłuczonych szyb kolejne kondygnacje. Na pierwszym piętrze otwiera mi drzwi starsza kobieta.

— Ja się nie przeprowadzam — Janina Lernacińska mówi niemal szeptem. — Pozostaję tu jako jedna z nielicznych, ale jestem samotna, to nie dałabym już rady. Od tego wypadku w domu nie śpię, nie mogę zasnąć. Boję się, jakby coś unosiło się w powietrzu. Stukna gdzieś drzwi, a ja już chcę uciekać jak najdalej. Dziwi się pan?...

★

...Sobota, 10 grudnia 1983 roku.

Ostatni komunikat Urzędu Miasta Łodzi podaje: W czwartek, 8 grudnia, o godzinie 8.20 wydobyto z gruzów zwłoki niezidentyfikowanej kobiety w wieku około 55 lat. O 13.10 zwłoki kobiety około 70 lat. Około 14.20 zwłoki mężczyzny około 70 lat. O godz. 15.00 wydobyto zwłoki mężczyzny — 35 lat. O 15.55 zwłoki 3-letniego chłopczyka. O 21.30 zwłoki mężczyzny w wieku około 30 lat.

W sobotę, 10 grudnia, akcję ratowniczą zakończono.

★

Darka Kaszuby nie udało się uratować mimo wytężonych wysiłków lekarzy. Zmarł w piątek, 9 grudnia rano, w Szpitalu im. Kopernika.

Pani Stanisława Dziórdzińska, zmarła w Szpitalu im. Madurowicza. Nie była ofiarą wydobytą z gruzów zawalonego bloku. Pani ta zmarła na skutek przeżytego szoku, była bowiem bezpośrednim świadkiem wybuchu.

★

Z głębokim żalem żegnamy ofiary tragicznej katastrofy na osiedlu Retkinia w Łodzi:

STANISŁAWA GERSTMANNA
HELENĘ GERSTMANN
KRZYSZTOFA GERSTMANNA
PRZEMYSŁAWA GERSTMANNA
BARTŁOMIEJA GERSTMANNA
JANINĘ KAMIŃSKĄ
DARIUSZA KASZUBĘ
STANISŁAWĘ DZIÓRDZIŃSKĄ

Cześć Ich pamięci!

Łącząc się w bólu po stracie najbliższych z Rodzinami Zmarłych, wyrażamy im nasze serdeczne współczucie.

Prezydent Miasta Łodzi
I Sekretarz KŁ PZPR
Przewodniczący Rady Narodowej Miasta Łodzi

Pasjonaci — czarodzieje

Są jeszcze pośród nas ludzie, którzy dzieło rąk i umysłu człowieczego, rozumieją najdosłowniej jako arcydzieło. Ludzie pochłonięci pasją, płonący ogniem jakry boskiej... nie zgubmy ich my — codzienni i zwykli...

Marszand

JOLANTA WROŃSKA

Prawdziwego otwarcia interesu dokonał pewien klient. To było rok temu. Wszedł, obejrzał, powiedział: diese Plastik ist ein wahres Wunder!... że niby takie cuda tu widzi... po czym kazał sobie zapakować całą ścianę. To znaczy to wszystko, co na niej wisiało. Kupił sześć kopii broni białej, dwie ikony, jakieś płótno i zostawił w kasie ponad 200 tysięcy złotych polskich.

To było to! Fruwałem w powietrzu ze szczęścia! Dopiero wtedy przestałem wątpić w sens tego, co robię. Ten gość udowodnił, że nawet w kryzysowej Polsce „kunsthandel" ma sens.

Bo tak prawdę mówiąc długo gryzło mnie sumienie, czy czasem nie próbuję ożywić instytucji nikomu tutaj niepotrzebnej.

Fakt. Interes jest niecodzienny. Z dala od głównych centrów handlowych Warszawy, nie na Krakowskim i nie na Starówce, tylko w środku szemranego Czerniakowa usadowił się, ciut tylko uboższy, krewny paryskich marszandów.

W starej kamienicy u zbiegu Czerniakowskiej i Zagórnej, tuż obok hotelu „SOLEC", od półtora roku działa galeria sztuki dekoracyjnej i użytkowej „ART DECOR RENOMA".

Jeśli uważasz, że nie samym chlebem człowiek żyje, jeśli potrzebujesz na co dzień okruchu piękna — wejdź! Nie musisz zaraz kupować. Możesz po prostu pobyć chwilę wśród pięknych przedmiotów. Możesz odpocząć od szpetoty i wilczych praw ulicy, z której przyszedłeś. Zobaczysz śmiesznego majolikowego zająca-wazę, trochę eleganckiej biżuterii „Thompsona", sporo dobrych płócien i grafik. Możesz z bliska obejrzeć pierwszorzędne kopie hełmu szwedzkiego rajtara, karacenowej zbroi tureckiej, kilka rzymskich gladiusów, czy inkaskich sztyletów rytualnych. W gablotach i na półkach pełno cacek. Jest sporo unikalnych kompletów meblowych, fantastyczne lampy, lustra, detale mogące odmienić twoją standardową klatkę w blokach.

PRZEKUPNIOWI PIĘKNA — WDZIĘCZNI KLIENCI...

Taki wpis widnieje w „Księdze Pamiątkowej" galerii. Obok — ktoś życiowy napisał: „Kredyt umarł — zabili go dłużnicy, o jego śmierci zawiadamiają łatwowierni (ku przestrodze — cichy wspólnik)"... pewno kontroler z PIH...

...„Choć trudno kupić, ale odpoczywa się w tej atmosferze wspaniale! Dziękujemy za piękno w szarym kraju"... „Tandeta do banI! Punki przyjdą i rozbiją"... „Rzeczy piękne, ale ceny nie dla obywatela PRL na państwowej posadzie"... „Czy toto długo pożyje przy tej oszalałej polityce finansowej??".

Ta księga, proszę pani, to dla mnie najważniejszy dokument. Tu czarno na białym widać klienta. Takiego jaki jest. A klient u mnie, to nie zastraszony szarak w wielkim salonie pustego uniwiermagu, do którego się warczy... czego?!...

To chyba najważniejsze — wiedzieć, że się jest potrzebnym. Choćby dla tych, co tu chcą przyjść i odpocząć od ohydy wytworów masowych. Wiem przecież, że wysokość cen ogranicza liczbę klientów kupujących, ale czy samo przyjście nie oznacza, że ludziom potrzbne jest piękno?

W życiu nie myślałem, że wykieruję się na szefa kunsthandlu. Czym ja miałem nie być? A to pianistą (po babce), to znowu tancerzem — po Mamie, albo marynarzem. W końcu zostałem ekonomistą i dwadzieścia lat przepracowałem na państwowych posadach. W 81 r. wylali mnie z posady i przez pół roku pętałem się bez przydziału. W końcu trafiłem do „LIBELLI". To jest przedsiębiorstwo gospodarcze Polskiego Związku Katolicko-Społecznego. Poszukiwali człowieka, który by rozkręcił krajową sieć sklepów firmowych.. Trzeba było znaleźć i wynająć lokale, wyposażyć w niezbędny sprzęt, zaangażować personel, no i mieć towar na półkach. Zacząłem od Częstochowy.

Dostałem jeden miesiąc na uruchomienie gotowego i zaopatrzonego sklepu „LIBELLI". Nie spałem, nie jadłem, ale zdążyłem.

Wracałem do Warszawy na skrzydłach, pewien deszczu pochwał za operatywność. Po drodze odnowiła mi się stara choroba, no i padłem. W czasie trwania zwolnienia lekarskiego, otrzymałem.. zwolnienie z pracy. Pewnie moja twarz się komuś nie spodobała. Zresztą zawsze byłem wyrywny. Wodnik jestem — rogaty indywidualista, nigdy nie umiałem pracować patrząc pod nogi. Rwałem się do zmieniania, poprawiania, pomysły miałem, a za pomysły to się u nas podpada. W ten oto sposób znowu zostałem bez pracy i środków do życia.

Wtedy przyjaciele namówili mnie, żeby spróbować coś zadziałać na własny rachunek. Bać — to się bałem jak diabli. Nigdy przecież nie próbowałem niczego na własną rękę. Siedział człowiek na posadzie, od ósmej do trzeciej swoje robił i był wolny. Żadnego ryzyka, ani martwienia się o towar, o kredyt, o nic.

Chociaż... nie mówię, że jakieś takie pomysły nie snuły mi się po głowie. Może coś z rodzinnej tradycji kultu dla sztuki wlokło się za mną? Zresztą — co mi pozostawało? Pierwsza moja zasada, to

NIE MÓWIĆ NIE — TRZEBA SPRÓBOWAĆ

Kiedy jako pełnomocnik „LIBELLI" szukałem lokalu na sklep w Warszawie, trafiłem na tę ruderę przy Zagórnej. Nie jest to wymarzony punkt na interes, ale znowu w centrum ceny są niebosiężne, a tu już było coś na początek. Nie było się co zastanawiać. Z marszu złożyłem podanie o przyznanie mi tego lokalu już 31 kwietnia 82 roku, w niespełna miesiąc po lądowaniu na zielonej trawce.

Nie miałem nic. Żadnego doświadczenia, żadnego kapitału, ani nawet bogatej ciotki, która by pożyczyła. Wszystkiego posiadałem 20 tysięcy i... ciężkiego pietra. Ale wracać nie chciałem. 1 lipca 82 roku wszedłem do własnego już lokalu i... opadły mi ręce. Boże ty mój, czy ja dam radę?? Zobaczyłem smród, brud i dewastację. Jedna rozpacz. Jak to wyremontować? Za co? No i czym zapełnić półki — jeśli nie ma to być jeszcze jeden bubelgeszeft ze stucznymi kwiatami? Tylko, że teraz nie mogłem się cofnąć. Koszty już biegły i wiedziałem, że im prędzej ruszę, tym szybciej zacznę spłacać kredyt, koszty eksploatacji, podatki — i potężne długi. A wisiałem już u przyjaciół na 80 tysięcy. 50 tys. pochłonął zakup niezbędnego wyposażenia, 30 — czyszczenie i malowanie ścian — w tym niezbędne flaszeczki dla panów majstrów.. stąd te ściany trochę jakby nie takie, ale przynajmniej czyste.

Przeistoczyłem się w robot wieloczynnościowy. Rano — byłem pan dyrektor od załatwiania formalności po urzędach, potem — biznesman od ugadywania się z artystami, a już całkiem potem, byłem pan zaopatrzeniowiec, stróż, malarz, sprzątaczka i Bóg wie co jeszcze. Nie wyjmowałem portfela z kieszeni, tylko ręce i brałem się za pięć robót naraz. Po trzech tygodniach strasznej orki, 17 lipca, sklep był gotowy i.. przeraźliwie pusty. Nie miałem już ani grosza na zakup towaru, ale — zawsze mówiłem — przez ludzi do ludzi, od ludzi do Boga. Najpierw przyszło dwóch malarzy, zgodzili się zostawić swoje prace w komis. Jak sprzedam, to im zapłacę. Potem przyszli inni, za nimi jeszcze inni. Znowu pożyczyłem po ludziach 100 tysięcy, kupiłem trochę towaru i czekałem na kredyt z banku, jak na zmiłowanie. Wreszcie Bank Rzemiosła zgodził się dać 1 milion 200 tys. kredytu, podżyrowanego przez moich dostawców, u których siedziałem w kieszeni.

Od września 82 roku miałem już pewien luz. Było miejsce i czas na wybór, a przede wszystkim przyszedł czas, by się zastanowić co właściwie chcę robić. Co to ma być? Co chcę dać ludziom?

Pryncypia — że tak powiem — były jasne. Po pierwsze — w sztuce nie ma demokracji. W tym cechu nie ma równych. Jest arystokracja i plebs. Liczą się tylko najlepsi. Po drugie — tani i dobrej jakości może być co najwyżej żółty ser. Dzieło sztuki, wypieszczony ręką artysty pojedynczy egzemplarz musi kosztować. Po trzecie — ludzie gotowi są zapłacić duże pieniądze, nawet bardzo duże, ale pod jednym warunkiem: że dostaną rzecz najwyższej klasy. Z tego wszystkiego wynikło pytanie: czy chcę szybko zarobić kupę pieniędzy, czy też bardziej zależy mi na tym, by dać ludziom ekstra towar i zdobyć solidną markę.

No nie, gdybym powiedział, że otwarłem galerię tak tylko sztuka dla sztuki, to przecież nikt by nie uwierzył. Pewnie, że nikt nie bierze na siebie ryzyka, jeśli nie ma z tego żadnych pieniędzy. W końcu to jest także moje źródło utrzymania.

Ale w hierarchii celów — cena, a więc szybki i duży zysk, jest ostatnią z ważnych rzeczy. Dowód? — proszę: W ciągu ostatniego roku ceny wszystkiego poszły, a właściwie pogalopowały w górę. U mnie — choć nie są to ceny niskie, jednak nie zmieniły się wcale, co znaczy, że relatywnie jest taniej.

Poza tym.. czy dzieło sztuki, czy piękne rzemiosło ocenia się według ceny, czy może raczej według tego, jak wiele znaczy dla człowieka?

Zdaję sobie sprawę, że krąg moich klientów nie jest zbyt wielki. Granicę wyznaczają możliwości finansowe i... jednak!... kierunek potrzeb, po prostu skala wartości preferowanych w życiu. Jasne, że ludzie żyjący bardzo skromnie, nie będą walić tu tłumnie, ale patrząc codziennie na co ludzie wydają pieniądze, myślę czasem, że mimo wszystko sporo jest tych złotówek w narodzie. Tylko głupio je wydajemy... oczywiście, każdy ma prawo do własnych gustów, ale szósta kołdra i dwudziesty piąty kryształ kosztują więcej niż unikalna lampa z witrażowym kloszem — do nabycia tylko u mnie!

Trafiają do mnie bardzo różni klienci. Jedni — to świeżo upieczeni inflacyjno-kryzysowi bogacze, którzy potrzebują mieć „widome znamiona luksusu". To ci, co wydadzą każde pieniądze tylko po to, żeby sąsiadów trafił z zazdrości szlag.

Jeszcze inni, to ci, dla których piękno jest naturalną potrzebą. Żyć bez tego nie mogą i stać ich na to.

Bywają też tacy — i dla nich mam największej serca — którzy miesiącami odkładają, ścibią, by móc kupić choćby drobiazg, ale dający oddech. Coś, co sprawia, że łatwiej brnąć przez codzienne kłopoty. To nie są ludzie zamożni, to raczej średnia krajowa, tyle że wolą nie mieć na palcach dziesięciu pierścionków, a mieć za to do czego przytulić się sercem.

Dzisiaj już wiem, że mam co zaoferować takim ludziom. Przekonała mnie o tym

ZŁODZIEJSKA NOBILITACJA

...poważnie mówię. Jakiś czas temu na galerię dokonano napadu rabunkowego. Złodzieje rozbili okna wystawowe i rąbnęli... wyłącznie białą broń. Na tych samych wystawach leżało jeszcze sporo innych cennych przedmiotów, ale przepadła tylko broń. Cała rzecz miała wszelkie znamiona „kradzieży na zamówienie". Jakiś zorientowany w temacie handlarz albo ktoś, kto znał wartość tych kopii, zamówił paru macherów i dostał co chciał. Wiedział drań co kraść. Kopie tej klasy mają wśród kolekcjonerów w Polsce, a zwłaszcza na Zachodzie wysoką markę i jeszcze wyższą cenę. Za jedną sztukę szabli perskiej dostanie w Berlinie Zachodnim do ośmiuset marek RFN.

Moim nadwornym płatnerzem jest pan Tomasz Mokulski z Bytomia. Jego kopie mają atest Muzeum Narodowego na zgodność z oryginałem pod względem technologii wykonania i wierności historycznej. Kiedy sprzedaję jakiś egzemplarz broni, to coś mnie kłuje pod sercem z żalu, że się tego pozbywam, a z drugiej strony cieszy mnie, że ktoś inny będzie się mógł sycić cackiem najwyższej klasy.

Kradzież naraziła mnie na straty w wysokości ok. 300 tys. złotych, według wyceny PZU... i ta sama instytucja była uprzejma zwrócić mi... 20 tysięcy...

Od tego czasu wiem jedno: chcę, by wszystko w galerii było tej samej jakości, co broń. Najwyższej. A bywa z tym różnie. Trafiają do mnie silnie dyplomowani artyści z takimi knotami, że ręce opadają. I jeszcze pyszczą, że oni mają oficjalne uprawnienia, że na papierze stwierdzono ich talent.

Na papierze — owszem — i nic więcej. A cenią się, że ho, ho, albo jeszcze drożej. Jeden taki próbował mi wcisnąć kryształowe kieliszki barwione, po paskarskiej cenie, tylko że mu się nie chciało hartować szkła i knoty pękały. A klient nie będzie płacił ciężkiej forsy za tandetę. Nie u mnie!

Zdarza się też odwrotnie. Przychodzą cisi i pokornego serca, bez oficjalnych uprawnień, więc kupić od nich mi nie wolno, a przynoszą arcydzieła. Ot, jeszcze jeden kamyczek z naszej urzędowej rzeczywistości. Jest dumaga — znaczy jesteś artysta. Nie ma — możesz sobie być Boticellim, byle prywatnie. Żeby pani wiedziała ile ludzkich talentów ginie w morzu tandetnego chłamu. Ile wspaniałych rzeczy, stworzonych sercem i pasją nie może się przebić na szerszy rynek... bo żaden urzędnik nie dał zaświadczenia na talent.

Jedną z rzeczy, których zrobienie uważam za swój obowiązek, jest wyszukiwanie takich właśnie cichych mistrzów i pchanie ich w stronę ludzi, do świata.

Daleko mi jeszcze do ideału, wciąż mam kłopot z upchaniem szmelcu nierozważnie kiedyś kupionego. Ale twardo zmierzam do lansowania wyłącznie przedmiotów najlepszych. Mam paru takich czarodziei. Jeden chłopak robi cudowne ikony. Latem zabijali się o nie cudzoziemcy. Cała fura pojechała z nimi na Zachód, świadcząc przy okazji o talentach naszych artystów. Jest młody marzyciel spod Warszawy, chce przywrócić do życia pamięć i sztukę kultury Majów. O, to są jego płaskorzeźby, wierne kopie kamiennych steli z meksykańskich piramid. A jego komplety mebli rzeźbionych w motywach Majów, choć kosztowne, są rozdrapywane. Jeden komplet pojechał nawet do Australii. Na święta spodziewam się przyjazdu pana Angermana z Zakopanego. Przywiezie komplet szachowy. Stół-szachownicę, cztery krzesła i fantastyczne figury szachowe. Już stoi ogonek chętnych...

...Swoją drogą wścieka mnie fakt, że zachodni klienci kupują nasze dzieła sztuki współczesnych artystów za półdarmo. Za tę samą jakość, albo i niższą, tam, u siebie, płaciliby ciężki szmal. A tu, w przeliczeniu wypada im tanio-sha. Nie umiemy się szanować, za grosze wyzbywamy się dzieł polskich talentów, a moglibyśmy na tym zarabiać ciężkie dewizy. Ja już nie mówię o promocji i popularyzacji polskiej sztuki na świecie...

Nie chcę trwać w bezruchu, chciałbym zmieniać, ulepszać. Nie chcę zasklepić się w tym, co jest.. bo w założeniu, proszę pani, ma to być „sklep Wokulskiego". Nie chodzi o to mydło i powidło, zabawki i galanterię bieliźnianą. Chodzi o sztukę handlowania, o kunszt zdobywania klienta. Ideałem będzie sytuacja, gdy klient powie:

... O MAŁOM NIE CZEKAŁ...

U mnie nigdy nie może się zdarzyć, żeby na drzwiach wywiesić obelżywe „wyszłem do biura, zara wracam". Jeśli już koniecznie trzeba galerię zamknąć w godzinach pracy, to na drzwiach będą wisieć gorące przeprosiny za zawód sprawiony klientom. Po wejściu do środka gość jest serdecznie witany, dostaje kompletną informację o wszystkim, co go interesuje.

Niegrzeczny ma prawo być klient, personel — nigdy. Trzeba pomóc, doradzić, nawet pogawędzić o życiu. Tutaj jesteśmy po to, by ludzie mogli choćby odpocząć od nazbyt częstego chamstwa i lekceważenia. Jeśli możemy spełnić specjalne życzenie, zamówić u artysty pojedyńczy egzemplarz odpowiadający wymaganiom konkretnej osoby — cała przyjemność po naszej stronie. Znakomita większość prezentowanych tu przedmiotów posiada atest bezcłowego wywozu za granicę. Moim obowiązkiem jest oszczędzić mym gościom biegania po urzędach za potrzebną pieczątką. Załatwiam to sam. Na żądanie, każda kupiona rzecz, jak w wypadku broni czy płaskorzeźby Majów, lub modelu okrętu, otrzymuje metryczkę wyjaśniającą co to jest, z jakiej epoki pochodzi, jaka była historia, kto wykonał. Bo Wokulski nigdy by sobie nie pozwolił zlekceważyć klienta. Szanuje się tego, kto pozwala nam zarabiać!

Rzecz jasna — bez reklamy nie ma handlu. Dlatego staram się uzyskać prawo eksponowania swej galerii w ważnych punktach miasta. Chciałbym mieć gabloty reklamowe w wielkich hotelach, zwłaszcza tam, gdzie jest dużo cudzoziemców. Niech wiedzą, że nasi artyści potrafią robić cuda... Nawet mi się już trochę udało. W Hotelu „EUROPEJSKIM" jest taka właśnie gablota, oby tak dalej.

Tylko, że petent, klient, nabywca, to u nas gatunek tępiony zwartymi siłami biurokratów i producentów bubli. Moim zamiarom podejrzliwie przygląda się fiskus i wszelaka handlowa „kontrol". Ciągłe wietrzenie kantu, nieuczciwego zawyżania cen, nierozsądna polityka podatkowa i zupełnie już idiotyczne wymagania (np. mus przyklejania metek z ceną na wszystkim bez względu na to, że może to oznaczać zniszczenie przedmiotu.. metka na klindze karabeli...). To nie są działania ochronne wobec klienta, lecz zakamuflowana pogarda dla niego.

Przecież nieuczciwe zagranie to jest sztuka na raz. Raz wykantowany klient jest dla firmy stracony. Więcej nie przyjdzie. Jeszcze raz powtarzam. Klienta trzeba szanować, dogadzać, oferować mu najlepszy towar. Dopiero wtedy jest prawdziwy handel. A tu? Niechbym tak spróbował kupić u wspaniałego artysty jego dzieło, jeśli artysta przypadkiem nie ma urzędowego błogosławieństwa. I co z tego, że daje mi cacko sto razy lepsze niż inni?...

Kiedyś przysnąłem sobie, zmęczony, na zapleczu i przyśnił mi się

PIĘKNY SEN RZECKIEGO

W oknach wiszą aksamitne zasłony. Wygalowany portier wprowadza gościa do wnętrza, prowadzi go do gablot i półek.

Personel, operujący kilkoma językami, udziela informacji, doradza, notuje specjalne polecenia klienta. Ten zaś, zmęczony nieco wysiłkiem wyboru, chciałby przysiąść na chwilę w fotelu, może wypić małą kawę i odrobinkę poplotkować z szefem o wadach i zaletach witrażowej lampy, tudzież o przyjemności kupowania dla przyjemności. Na życzenie — klient będzie miał dostarczony sprawunek do domu lub — jeśli jest z daleka — może otrzymać zamówiony zakup pocztą. Jeśli pragnienie posiadania cyzelowanej steli boga Quetzalcoatla nie idzie w parze z finansowymi możliwościami, gość może nabyć to cudo w sprzedaży ratalnej.

W wielkich miastach polskich, może nawet w halach dużych fabryk, wiszą reklamowe gabloty prezentujące dzieła polskich artystów. Foldery na doskonałym papierze obiecują export wybranych dzieł za granicę. Galeria promuje i wspiera zdolnych rzemieślników, plastyków, meblarzy, snycerzy, urządza im wystawy i w ogóle pomaga uczyć piękna. Przyciąga ludzi ku zrozumieniu i potrzebie istnienia wśród piękna...

...Ocknąwszy się, przypomniałem sobie, że przepisy zabraniają, brak prawnych regulacji, brak forsy, oraz nikomu się specjalnie nie chce....

Tylko szemrana ferajna z Czerniakowa, morowe chłopaki, podtrzymują na duchu. Dumne są, że tu u nich, na ich rodzonym Czerniakowie, jest prawdziwa galeria sztuki.

Czasem przychodzą... „prezesie! pan da ze dwie setki i nic się pan nie bój, my popilnujemy interesu! Żaden szmondak kopany więcej nic tu nie rąbnie"...

Oni to mają za punkt honoru... tylko czasem sobie myślę, żeby się nie porobiło jak z tym przedwojennym sklepem kolonialnym, co to w nim beczki z kawiorem stojały... i komu toto, panie, przeszkadzało...

Panu LECHOWI PRUCHNO WRÓBLEWSKIEMU serdecznie dziękuję za powierzenie mi swych marzeń.

Foto: Liliana Bilińska

Jezuici — boża międzynarodówka

Sukcesja Petera Hansa Kolvenbacha po dwóch latach takiej wyjątkowej sytuacji nie zapowiada się łatwo. Co prawda jezuici zaznali już niejednego. W ciągu czterech wieków — pięćdziesiąt wygnań, a w 1773 roku zniesienie zakonu przez papieża Klemensa XIV jako sankcja za sukcesy dalekich misji jezuickich, które stały na przeszkodzie ambicjom innych kongregacji oraz apetytom kolonizatorów. Był też spór wokół sprawy rytuałów chińskich, kiedy to w niezliczonych publikacjach na terenie Europy uczeni teologowie, którzy nigdy w życiu nie przyjrzeli się uważnie jednemu chociażby ideogramowi, oskarżali jezuitów o bałwochwalstwo, herezję, lichwiarstwo i stręczycielstwo, a wszystko dlatego, że wyobrażali oni Boga po chińsku przy użyciu takiego, a nie innego hieroglifu.

Za to w bieżącym roku i cały Kościół, i Towarzystwo Jezusowe uroczyście świętowały czterechsetną rocznicę przybycia do Chin jezuity Matteo Ricci, twórcy metody „inkulturacji", która polega na takim kulturowym przystosowaniu objawienia wiary, aby opierało się ono na danym stylu życia, na przekładzie lokalnych idei i koncepcji, etyki, rytuałów i obyczajów. Ricci, uczony nad uczonymi, „ciągnął ku sobie" Konfucjusza, aby w ten sposób przybliżyć chrystianizm do chińskiego stylu myślenia. W tym samym celu Roberto de Nobili przyłączył się do kasty braminów w Indiach. 32 Kongregacja poszerzyła jeszcze zakres działania tej metody, stosując ją do świata zachodniego, który nieustannie tworzy nowe grupy według bardzo różnych modeli życia, kultur i języków. Arrupe wymienia tu „margines społeczny, emigrantów, mieszkańców dzielnic nędzy, inteligencję, naukowców, studentów, artystów...", pozostawiając tę listę otwartą. Równocześnie Arrupe uznaje pluralizm zakonu za rękojmię jego spójności, która zadecydowała o trwaniu Towarzystwa Jezusowego. Monolityczne usztywnienie stawiałoby zakon w niebezpiecznej sytuacji, jak to już było w przededniu 1848 roku, kiedy jezuici, popierając monarchię, narażali się na ryzyko pójścia na dno razem z nią. Pozostało to w ich pamięci. Czy dlatego należy ich uznać za oportunistów?

Jezuici, których oskarża się jednym tchem i o to, że sprzymierzają się z władzą, i o to, że są wywrotowcami, w rzeczywistości działają według podwójnej formuły — tradycji i innowacji, zależnie od układów, w jakich prowadzą swą pracę. W Stanach Zjednoczonych, gdzie liczebność Towarzystwa jest największa, stanowi ono potężną instytucję. Kieruje 28 wyższymi uczelniami, w których kształci się ponad 200 tys studentów oraz 42 szkołami ponadpodstawowymi, do których uczęszcza 35 tys. uczniów. Budżet opiewa na ponad miliard dolarów. Towarzystwo ma wiele do powiedzenia w dziedzinie oficjalnej polityki oświatowej na szczeblu krajowym. W Waszyngtonie na czele Center of Concern (ośrodek badań nad problemami społecznymi) stoi ojciec Peter Henriot. Z jego materiałów korzysta wielu pracowników wyższych uczelni i polityków. Francis X. Winters z jezuickiego uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie ma opinię wpływowego eksperta episkopatu amerykańskiego w kwestiach strategii odstraszania nuklearnego. Cóż więc dziwnego, że jezuici uczestniczyli nawet bezpośrednio w sprawowaniu władzy politycznej: ojciec McLaughlin pisał przemówienia dla Nixona, a ojciec Drinan, wybrany w Bostonie, przez 8 lat zasiadał w Kongresie.

We Francji działalność Towarzystwa jest mniej spektakularna. Po „ustawie Debre" z 1959 roku zachowało ono na zasadach kontraktu z państwem 12 szkół ponadpodstawowych z 16 tys. uczniów oraz trzy wyższe uczelnie Saint-Genevieve w Wersalu, gdzie przygotowuje się przyszłych studentów renomowanych uczelni, wyższą szkołę rolniczą w Purpan w pobliżu Tuluzy oraz ICAM — uczelnię inżynieryjną w Lille. Okresy napięcia w stosunkach z Watykanem należą już w zasadzie do przeszłości, chociaż niezbyt odległej. Na płaszczyźnie intelektualnej nie rodzą się teraz konflikty i można by tylko zadać sobie pytanie, kto właściwie zrezygnował z walki — Kościół czy jezuici. Jednakże pismo ETUDES, kierowane przez jezuitę, Paula Valadiera, filozofa, specjalistę od teorii Nietzschego i Marksa, porusza takie drażliwe problemy, jak homoseksualizm, zapładnianie „in vitro", a także zagadnienia międzynarodowe, sugerując nawet krytyczne rozważanie stanowiska Jana Pawła II wobec Kościoła „patriotycznego" w Chinach. Czyżby Watykan był obecnie mniej zawzięty niż przed dziesięcioma laty, kiedy Bruno Ribes został przywołany do porządku za to, że napisał, iż w pewnych okolicznościach sztuczne przerywanie ciąży mogłoby być uznane za mniejsze zło? Możliwe zresztą, iż „pilnowanie" intelektualistów zeszło już z porządku dziennego. Skład czytelników pism jezuickich wyraźnie się laicyzuje. Ostatnio ateistyczna awangarda inteligencji snobuje się na czytywanie ETUDES, a inne pismo jezuickie, PROJET, ma wśród swych abonentów tylko 5 proc. księży i zakonników. Poruszana przez nie problematyka społeczno-gospodarcza, a także styl i oscylowanie w kierunku „drugiej lewicy" sprawiają, że interesuje ono bardziej związkowców, studentów i niektórych kierowników przedsiębiorstw niż kler.

Obecnie na francuskiej prowincji nie ma nawet śladu namiętności, które nią wstrząsały w latach pięćdziesiątych, kiedy to np. niektórzy jezuici angażowali się w działanie u boku księży-robotników, a Rzym zakazał działalności tych ostatnich. Teraz 70 jezuitów działa w Misji Robotniczej, z czego 32 pracuje jako elektrycy, frezerzy, pielęgniarze, magazynierzy, reprografowie itp. Koordynator tej Misji Robotniczej, Noel Barre, był jednym z delegatów prowincji na kongregację generalną w Rzymie. We Francji popyt na „pracę misyjną" jest ciągle duży i zdarza się, że młodzi jezuici z trudem wytrzymują w uczelniach, marząc o Afryce, Kalkucie czy San Salvadorze, jak gdyby praca „dla chwały bożej" była tam bardziej oczywista, niż w rodzimej Francji. Uległo też ewolucji samo pojęcie pracy misyjnej. Nie głosi się Ewangelii ludziom, którzy mrą z głodu — mówią jezuici. Pracuje się u ich boku, a przesłanie wiary jest w działaniu. Pierre Ceyrac, który spędził 42 lata w Indiach, gdzie żył jak Indus, obecnie od 3 lat przebywa w Tajlandii, działając na terenie obozów przygranicznych w regionie Aranya Prathet. Wspólnie z Yvesem Brasseurem, który działa w Phanat Nikon w pobliżu Bangkoku, gdzie mieści się ostatni obóz tranzytowy uchodźców przed ich wyjazdem do krajów udzielających schronienia. Pierre Ceyrac nie waha się głośno i dobitnie przypominać Francji o jej obowiązkach wobec uchodźców. Podobnie jak ci dwaj, również inni jezuici, w tym amerykańscy i kanadyjscy, odpowiedzieli na apel Pedra Arrupe z 1979 r. o pomoc dla uchodźców na całym świecie.

W gronie misjonarzy spotkamy również Alfreda Bonnigue, wydalonego w 1954 roku z Chin po trzyletnim pobycie w więzieniu. Od 30 lat zajmuje się on działalnością społeczną w Tajlandii. Wspólnie z dwoma tamtejszymi jezuitami zainicjował tworzenie spółdzielni kredytowych. Jest członkiem SELA (Social Economic Life in Asia) — owej grupy dwudziestu jezuitów działających w dwudziestu krajach azjatyckich ze wspólnym celem, którym jest tworzenie spółdzielni kredytowych i związków zawodowych tam, gdzie jest to możliwe.

W Cagayan de Oro na Filipinach działa niewielka jezuicka uczelnia, wspierana finansowo przez asystencję Stanów Zjednoczonych. Organizuje ona sześciomiesięczne kursy dla młodzieży azjatyckiej.

Czy jest to ześlizgiwanie się od problemów społecznych ku politycznym, o co tak często oskarża się jezuitów? Alfred Bonnigue już z góry wiernie wypełniał wskazania 32 Kongregacji z lat 1974—1975, które głoszą, że służba dla dobra wiary wiąże się ściśle z promocją sprawiedliwości po to, by budować świat równocześnie bardziej ludzki i bardziej boski. Uważa on, że nędza na świecie jest rzeczą gorszącą i przeciwną Ewangelii, lecz równocześnie stanowi niebezpieczeństwo polityczne, bowiem uzasadniony bunt przeciwko prawicowym dyktaturom prowadzi do ich zastępowania przez „totalitarne reżimy marksistowskie". Właściwa droga jest wąska, a polega na tym, by zmierzać do zapewnienia większej sprawiedliwości społecznej i swobód ukierunkowanych na wprowadzenie demokracji. Pedro Arrupe stwierdza, iż jezuitom nie odpowiada analiza marksistowska, lecz przyznają oni, że niektóre formy antykomunizmu służą jedynie jako środek osłaniający niesprawiedliwość. Te słowa są chyba wyraźną aluzją do sytuacji w Ameryce Łacińskiej i do oskarżeń, których ofiarą padają tam jezuici. Zarzuca im się mianowicie, że prowadzone przez nich szkoły i uczelnie służą propagowaniu marksizmu-leninizmu. Gdyby to było prawdą, to we wszystkich tamtejszych krajach powinna by panować sytuacja rewolucyjna, bowiem Towarzystwo Jezusowe kieruje uczelniami w Ekwadorze, Wenezueli, Meksyku i Brazylii, przy czym w tym ostanim kraju miasteczko uniwersyteckie Unisinos w pobliżu Sao Leopoldo liczy około 24 tys. studentów.

Oskarżenia nasiliły się szczególnie w 1981 roku, z związku z tzw. sprawą Pellecera. Tego roku w Gwatemalii porwany został młody, 35-letni jezuita, Luis Pellecer. Przez 4 miesiące nie było o nim żadnej wieści, aż wreszcie pojawił się na ekranach telewizyjnych, składając publiczną samokrytykę przygotowaną pod batutą ministra spraw wewnętrznych. Oświadczył, że sam zainscenizował swoje porwanie, aby umknąć Towarzystwu, które zmuszało go do kontaktów z guerillą. Potępił takie koncepcje, jak teologia wyzwolenia i „przyznanie priorytetu ubogim", sformułowane przez konferencje episkopalne w latach 1968 i 1978 w Madellin i Puebla. Ze szczególnym zaś naciskiem potępił studiowanie marksizmu-leninizmu przez jezuitów, które jest strategiczną solą w oku dla rządu Gwatemali. Po innym jezuicie, Carlosie Perezie Alonso, porwanym półtora miesiąca po Pellecerze, ślad zaginął całkowicie. Gwatemalczyk, Cesar Jerez, były prowincjał Ameryki Środkowej, musiał uchodzić ze swego kraju, podobnie jak wiele innych osób. W Salwadorze jezuita Rutilo Grande został w 1977 roku zamordowany wraz z dwoma wieśniakami ze swej parafii przez nieznanych sprawców. On i jego współpracownicy utrzymywali z ruchem chłopskim kontakty, uznane za działalność wywrotową.

W ciągu 10 lat osiemnastu jezuitów zginęło gwałtowną śmiercią, przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej. Inaczej wygląda sytuacja w Nikaragui od czasu zwycięstwa sandinistów w 1979 roku. Prowadzony przez jezuitów uniwersytet w Managui otwarcie propaguje i organizuje zakładanie spółdzielni, kształci kadry techniczne i uczestniczy w niektórych projektach rządowych. Jezuita Alvaro Arguello przez trzy lata był członkiem Rady Państwowej w Nikaragui, jako przedstawiciel kleru. Powierzono mu przewodnictwo w komisji, która miała opracować „ramy prawne funkcjonowania partii politycznych w ustroju rewolucyjnym". W listopadzie, na polecenie Jana Pawła II, musiał złożyć dymisję. Jezuita Fernando Cardenal odrzucił proponowaną mu tekę ambasadora Nikaragui w Stanach Zjednoczonych i zaoferował zajęcie się likwidacją analfabetyzmu. Obecnie, wspomagany przez UNESCO, realizuje oficjalny program stałego kształcenia dorosłych. Czy ci jezuici są komunistami? Alvaro Arguello deklaruje pragnienie służenia katolickiemu w swej większości ludowi, który dokonuje rewolucji i który — jak zapewnia Arguello — w sensie politycznym chce zinstytucjonalizować demokrację.

Jak oceniliby tę sytuację w Nikaragui jezuici na drugim krańcu świata, w Hongkongu czy na Tajwanie, którzy sami zetknęli się z rewolucją 1949 roku w Chinach, bądź też strawili długie lata na obserwowaniu jej wstrząsów i zawiłości taktycznych? Teraz rząd chiński obrał postępowanie o cechach liberalizmu, zezwalając na ponowne otwarcie kościołów w Pekinie, Szanghaju i kilkuset innych miastach. Od 1957 roku w Chinach działają dwa Kościoły. Oficjalny Kościół patriotyczny, który zerwał z Rzymem, przeciwstawia się „jakimkolwiek stykom z obcymi siłami" oraz całkowicie lekceważy papieża. Księża i biskupi tego Kościoła są mianowani przez rząd. Drugi Kościół — chrześcijanie, kapłani i zakonnicy dochowujący wierności Kościołowi powszechnemu — jest obiektem nieustannych ataków i nacisków, których celem jest włączenie go do Kościoła patriotycznego. W Chinach przy życiu pozostaje obecnie jeszcze 71 jezuitów. Kilku przyłączyło się do Kościoła patriotycznego. Liczba przetrzymywanych w obozach i więzieniach nie jest dokładnie znana, nie wiadomo też prawie nic o ich losie.

W Hongkongu, gdzie przebywa 54 jezuitów reprezentujących dziesięć narodowości, ekipa „China News Analysis" i jej twórca, Laszlo Ladany, zgromadzili liczące już 30 lat archiwa o komunizmie chińskim. Prowadzą stały nasłuch informacji z kontynentu. Na Tajwanie jest 211 jezuitów. Są tu zespoły ekspertów, którzy zredagowali monumentalny pięciojęzyczny słownik chiński; jest Instytut Ricci i Centrum Auroe (nazwane tak na pamiątkę jezuickiego uniwersytetu w Szanghaju, zamkniętego w 1951 roku), są szkoły średnie, studio telewizyjne, które dostarcza materiały dla trzech lokalnych kanałów i szkoli specjalistów technicznych.

Towarzystwo Jezusowe w Azji bacznie obserwuje Pekin i nie mniej bacznie — Rzym. Papież szuka kontaktu z Chinami, które są dla niego — jak sam stwierdza — przedmiotem wielkiej i stałej troski. Czy ustąpi rządowi chińskiemu, zamykając nuncjaturę na Tajwanie, co ma być warunkiem wstępnym do rozmów na temat powrotu Kościoła partiotycznego na łono Kościoła powszechnego? Musiałby wówczas zamknąć oczy na prześladowania, których ofiarą padają chrześcijanie wierni Rzymowi. Sprawa Chin, podobnie jak sprawa Ameryki Łacińskiej, choć z zupełnie odmiennych przyczyn, jest jednym z kluczowych punktów w stosunkach między Watykanem a jezuitami. Jan Paweł II w formie jak najbardziej stanowczej przypomniał im ślub posłuszeństwa. Czy w tej dziedzinie „posłuszeństwo" da się tłumaczyć jako „normalizacja"?

(„L'EXPRESS")

Rys. Zenona Pionk

W kręgu fantastyki

Intryga 2

O mały figiel nie zdekonspirowałem się, gdy uderzyłem głową w jakieś żelastwo. Masując czoło, przyłożyłem ucho do desek pokładu. Słychać było tupot biegnących ludzi. Czwórka dżentelmenów zaczęła się podpisywać na rękach tych, których już sprawdzili. Miało to zapewne uchronić przed powtórnym badaniem, ale jaką to dawało gwarancję. Przecież Obcy nie są na tyle głupi, aby dali się rozpoznać przy prozaicznym oglądaniu. Ryk obwieścił, że ci od leżaków zaatakowali czwórkę dżentelmenów. Słychać było trzaski, łomoty, ktoś krzyknął:

— *Moje oko, moje oko!*

Ktoś kawałkiem drewna stłukł klosz i dalej walka odbywała się w ciemnościach. Ale nie mogłem tego obserwować, gdyż czyjaś ciepła dłoń znienacka wśliznęła mi się za koszulę. Nastolatka, gdyż to była ona, musiała mnie śledzić i teraz szepnęła mi do ucha.

— *Kochajmy się, to nasza ostatnia noc.*

Sądząc z oddechu, odgłosy walki musiały ją niezdrowo podniecić. Niecierpliwie poczęła się dobierać do moich pleców. Zrzuciłem ją z siebie, gdyż nie lubię podfruwajek.

— *Spływaj idiotko* — warknąłem i popędziłem ją kopniakiem.

— *Ty stary kapłonie* — zrewanżowała się — *Zielończec, mam zielońca, ratunku!* — zapiszczała.

Chciałem ją powstrzymać, ale wyrwała mi się i darła się dalej. Słysząc tupot nadbiegających ludzi dałem nurka w ciemność. Ryzykując utratę zębów, rwałem do przodu, nie zważając na zwoje lin i żelastwa. Przesadziłem barierkę i już byłem na części dziobowej.

Tu było pusto, i nad moją głową wisiały gwiazdy. Z tyłu nic nie świadczyło, aby wataha kontynuowała pogoń. Aby jeszcze dalej uciec od wrzasków, położyłem się na płask i wyjrzałem w dół skąd wodny pył zraszał mi twarz. Pług okrętu ciął rytmicznie skiby morskiej piany. Jak zafascynowany patrzyłem na ginące w ciemnościach strużki wody. W zauroczeniu pewnie bym zapomniał, gdzie jestem, ale padło na mnie światło latarki.

— *Wstawaj* — warknął z góry jej właściciel. — *Łapy na kark.*

Podniosłem się, ściskając w dłoni zardzewiałą śrubę, która mi się akurat napatoczyła. Udając przerażenie, spytałem:

— *O co chodzi? Jestem zupełnie normalny.*

— *Dobra, dobra. Chodź tu, muszę to sprawdzić.*

Stanąłem pod drabinką.

— *Boję się* — powiedziałem, przestępując z nogi na nogę.

— *Cholera* — zaklął marynarz. — *Jak mogłeś zleźć, to i wleziesz.*

— *A jakże!* — krzyknąłem i z dużą siłą cisnąłem w niego ciężką śrubą.

Celowałem w brzuch i chyba trafiłem, gdyż stęknął i usiadł na deskach. Gdy przebiegłem koło niego, nawet nie zareagował, rytmicznie kiwając się w kuckach.

Moje oczy przystosowały się do ciemności i bez trudu odnalazłem drogę na pokład spacerowy. Wiatr lekko świstał na daszku i gdyby nie połamane leżaki, porzucone marynarki i kawałki szkła nigdy bym nie uwierzył, w to, co pamiętałem. Wytarłem nos w chusteczkę i już miałem zejść w głąb statku, gdy dobiegły mnie stamtąd podniesione głosy. Rozejrzałem się w panice, ciągle pamiętając o marynarzu i przykucnąłem za jedynym nie uszkodzonym leżakiem.

— *Zostawcie mnie! Jestem niewinny* — krzyczał nieszczęśnik niesiony za burtę.

Był to łysy brodacz, którego widziałem po południu. Trzask dartej marynarki poprzedził wrzask przerażenia. Runął przerzucony za barierkę, jak kamień.

— *Cholera, znów nie ten* — syknął jeden z oprawców.

Zawtórowały mu dobiegające z korytarza odgłosy broni palnej. Musieli je usłyszeć, gdyż bez słowa pobiegli z powrotem. Najwyższy zrzucił po drodze paskudnie rozdartą marynarkę, która spadła koło mej kryjówki. Gdy zniknęli, podążyłem za nimi najciszej, jak tylko mogłem. Kilka metrów dalej oświetlenie działało i mogłem obejrzeć porzucone drobiazgi leżące na chodniku. Ominąłem korytarz, skąd dochodziły dzikie wrzaski i nie zaczepiony przez nikogo dotarłem do baru.

Na kontuarze, w tle rozbitego lustra, siedziało dwóch zalanych w pestkę facetów, obstawionych pokaźną baterią butelek. Gdy mnie dojrzeli, grubszy wyciągnął flaszkę „Scotta" w moją stronę.

— *Chodź się napić. Będziesz miał alilibi... gdyż zieloo...ńce nie piją, jak wiadomo* — czknął i o mały włos nie zleciał z lady.

Popukałem się w czoło i wyszedłem, aby zaraz za rogiem zostać uderzony potężnym strumieniem wody. Oślepiony upadłem na podłogę i na czworakach starałem się odczołgać w bezpieczne miejsce. Sprawcą prysznicu był duży, niechlujny typ z koszulą rozpiętą do pępka, który dzierżył w ręce końcówkę węża od hydrantu.

— *Mam cię, mam cię!* — porykiwał, skutecznie trzymając mnie w szachu.

Byłem w rozpaczy, bo jeśli tylko udawało mi się uzyskać pewniejsze oparcie na śliskim chodniku, to już kolejne uderzenie rzucało mną z powrotem. Nie wiem, jak długo trwałaby zabawa, gdybym nie poczuł, że ktoś chwyta mnie za kostkę u nogi i wyciąga z pola rażenia. Jeszcze kilkanaście centymetrów i szorując brzuchem wyjechałem za załom korytarza. Oszołomiony, przecierałem twarz, słysząc porykiwania mego niedoszłego tresera.

— *Chodźcie, chodźcie tu, każdego tak załatwię.*

Stanąłem na nogi, wytrząsnąłem wodę z uszu i przyjrzałem się memu wybawcy. Był to nienagannie ubrany starszy pan. Jedynym odstępstwem od tego, był jego krawat, równo obcięty w połowie. Musiał zauważyć mój wzrok, gdyż wyjaśnił:

— *Pewien nieodpowiedzialny młody człowiek rzucił się na mnie z nożem i takie są tego skutki.*

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

— *Tu się kręci mnóstwo nieodpowiedzialnych ludzi.*

— *Ma pan rację* — zgodził się i gestem ręki pokazał mi zejście po schodach.

Ruszyłem pierwszy czując, że mokre ubranie jest cięższe o kilka kilogramów. Poza tym poczułem, że mniej więcej na wysokości siódmego kręgu, wciska się w moje plecy coś tępego.

— *Podnieś ręce* — poinformował mnie. — *Trzymam właśnie Brauninga, jeśli masz wątpliwości.*

Nie śmiałem ich mieć i podniosłem ręce, a namoczone rękawy zjechały mi do łokci. Z dołu dochodziła lekka woń spalenizny, ale zbadanie jej źródła odłożyłem na później.

— *Jestem człowiekiem...* — zacząłem, ale on zniecierpliwiony uciął.

— *Cicho! Prawą ręką wyjmij portfel i upuść go na podłogę, tylko powoli* — doradził.

Zrobiłem, co mówił i portfel pacnął o wykładzinę.

— *Niech cię cholera weźmie! Wszystko mokre* — kwękał, zaglądając do portfela, przy czym nacisk lufy wyraźnie osłabł.

Korzystając z tego, odbiłem się od stopnia i przerzuciłem swoje ciało nad poręczą schodów. Wylądowałem na podeście i pobiegłem przed siebie, nie zważając na jego okrzyk.

— *Stój, bo cię rąbnę!*

Na szczęście nie strzelał. Przebiegłem jeszcze kilkanaście metrów i wpadłem w sam środek walki. W korytarzyku prowadzącym do sterówki rozgrywały się dantejskie sceny. Część pasażerów pod wodzą znanej mi czwórki dżentelmenów szturmowała wejście, którego, jak na razie, skutecznie broniła załoga. Nacierający używali szczątków krzeseł, butelek i innych trudnych do rozpoznania akcesoriów. Dopiero po chwili zrozumiałem, dlaczego wszędzie do podłogi i ścian lepią się płaty mokrej piany. Załoga miała pod ręką sprzęt przeciwpożarowy i za jego pomocą odpierała ataki. Rychło mogłem ujrzeć to na własne oczy, gdy wyskoczył do przodu wysoki marynarz ze sporą czerwoną butlą. Strumień piany z gaśnicy uspokoił nacierających, którzy, okropnie bluźniąc, odstąpili na bezpieczną odległość. Dwóch z nich, będących najbliżej gaśnicy, po omacku, człapało w stronę łazienki, bezskutecznie wycierając twarz z piany. Ale już gaśnica zachłysnęła się, zabulgotała i umilkła. Napastnicy momentalnie rzucili się do natarcia. W ciasnym korytarzyku mogły stać koło siebie tylko dwie osoby, co nie pozwalało im na wykorzystanie przewagi liczebnej. Ja jednak nie przyglądałem się temu dalej i ostrożnie stąpałem do tyłu.

Ominąłem wyłamane drzwi do jednej z kajut, a przed następną zadeptałem tlącą się kupę szmat i papieru. Nie miałem pojęcia, co za idiota sfajczył futro z karakułów. Przez uchylone drzwi zauważyłem czyjąś nogawkę. Stopa była ułożona pod tak nieprawdopodobnym kątem do reszty nogi, że jej właściciel był akrobatą bądź trupem. Wzdrygnąłem się i chyłkiem podreptałem dalej. Idąc zakamarkami, dotarłem do mojej kabiny, o dziwo nienaruszonej. Z ulgą zrzuciłem przemoczone ubranie i wbiłem się w zapasowe, które miałem w walizce. Porwałem z łóżka koc z kołdrą i wyrzuciłem na korytarz. Obok, dwie kabiny były otwarte, tak, że mój łup zwiększył się o następne koce i kołdry. Zwinąłem wszystko w pakunek i czujnie zerkając na boki, dotarłem na znajomy pokład. Było chłodno, ale deszcz, którego najbardziej się obawiałem, nie padał. Fala, którą przedtem czułem, również jakby zmalała. Poszedłem do łodzi ratunkowych i odciągając pokrowiec wrzuciłem mój dobytek. Wiatr poświstywał cicho na linkach wtórując słabemu stukotowi, jaki powstawał, gdy burta łodzi obijała się o wyciągniki. Umościłem się wygodnie, byłem sam. Z wnętrza okrętu wciąż dobiegały hałasy, a ja wpatrzony w migotanie gwiazd sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Obudził mnie dziki ryk syreny. Właśnie wchodziliśmy do portu. Zasnuty lekką mgłą brzeg był nie dalej, jak pół kilometra. Ale nie tylko mgła utrudniała widoczność. Z przerażeniem obserwowałem kłęby dymu bijące słupami w wielu miejscach nad dachami domów. Duży budynek portu morskiego palił się żywym ogniem, a po lewej stronie, zanurzony do połowy, tkwił przy rozbitym nadbrzeżu uszkodzony frachtowiec. Spojrzałem w dół. Woda była ciemna, nie zachęcająca. Syrena wyła, aż do bólu uszu. Z tyłu po pokładzie zabębniły kroki.

— *Nasz statek! Sterówka zdobyta, zielońce...* — urwał mały jegomość na mój widok.

Chwilę stał nieruchomo i wiatr bezwstydnie powiewał jego porwaną garderobą. Pod okiem miał dużego, fioletowego sińca.

— *Kapuś, mam kapusia!* — krzyknął i pobiegł z powrotem ciągle się drąc.

Czasu było mało. Nie zastanawiając się wiele, otworzyłem skrytkę łodzi i wyjąłem kamizelkę ratunkową. To, że nie zagubiłem się w bezliku pasów i sprzączek zawdzięczam tylko mojemu stażowi w harcerstwie. Ściągnąłem mocno zapięcia, wiedząc że nie ma nic bardziej niebezpiecznego przy skoku z dużej wysokości, niż luźna kamizelka. Przy uderzeniu o powierzchnię wody podrywa się ona w górę i może wybić szczękę z zawiasów, co nie zalicza się do rzeczy przyjemnych. Na razie jednak chciałem uniknąć innego niebezpieczeństwa i słysząc tupot kroków skoczyłem, jak najdalej od burty. Świst powietrza, stalowy płaszcz wody, uderzenie i wypłynąłem na powierzchnię. Statek oddalał się ode mnie. Kilka figurek wymachiwało pięściami. Odwróciłem się do nich plecami i na wszelki wypadek, nie zdejmując ubrania oraz kamizelki, zacząłem metodycznie rozgarniać wodę. Do brzegu miałem jakieś dwieście metrów.

Nie powiem, abym płynął specjalnie długo, ale kiedy poczułem grunt pod nogami byłem z tego powodu wielce szczęśliwy. Z chlupotem wdrapałem się po stopniach nadbrzeża i wtedy dobiegł mnie daleki trzask. Odwróciłem się. Mój statek wbił się w beton falochronu, definitywnie niszcząc dziób. Małe sylwetki skakały do wody i nawet tutaj dochodziły ich krzyki. Zgiąłem rękę w wiadomym geście i poszedłem w stronę ogrodzenia. Po drodze zrzuciłem kamizelkę, wykręciłem nogawki spodni. Przemknąłem alejką wysadzoną akacjami i dotarłem do ulicy. Niestety, kilka rozbitych wozów i duża bijatyka pod domem towarowym, upewniły mnie w najgorszym. Zwabiony hałasem, uniosłem głowę do góry i dostrzegłem dwóch typów goniących trzeciego po dachu domu. Za nimi biegła roznegliżowana kobieta z nożem w ręku. To mi wystarczyło. Miałem dość.

Na rogu był mały bar. Na kutej tablicy widniała podobizna konia i napis „Czarny rumak". Ostrożnie wśliznąłem się przez uchylone drzwi. Było pusto i schludnie. Mimo kilkakrotnego chrząknięcia nikt się nie zjawiał. Wszedłem za kontuar i odkryłem, że drzwi prowadzące na zaplecze są zamknięte. Rad nierad, musiałem obsłużyć się sam. Wyciągnąłem butelkę koniaku, sok pomarańczowy i tackę z kanapkami. Dopełniłem to kieliszkiem i usiadłem na stołku, rozkładając na ladzie golf, aby trochę przeschnął. Drzwi wejściowe, na wszelki wypadek, zamknąłem już przedtem. Kieliszek alkoholu rozgrzał żołądek i pobudził spostrzegawczość, gdyż dopiero teraz zauważyłem aparat telewizyjny, stojący na półce. Dotknąłem włącznika.

— *Ludzie wybaczcie i opanujcie się. Prosimy was* — dobiegł znajomy głos.

Zastygłem z nie przełkniętym kęsem kanapki.

— *To był tylko żart. Chcieliśmy was trochę przestraszyć. Nie myśleliśmy, że weźmiecie to tak dosłownie. Opanujcie się. Wśród was nie ma żadnego z moich współbraci. My tylko żartowaliśmy. Wysłuchajcie nas. Za godzinę nasze statki wylądują w kilkunastu punktach waszego globu i pomożemy wam dojść do ładu. Czekajcie spokojnie. My wiemy że to wszystko nasza wina, ale nie spodziewaliśmy się...*

Głos perorował dalej, ale ja już go nie słuchałem. Spłukałem sokiem gardło, przeciągnąłem się i rzucając jeszcze okiem na bełkoczącą zieloną bryję wyszedłem na ulicę. Tak! Miałem jeszcze godzinę czasu, aby się odkuć. Zaś, o ile się nie myliłem, to zaraz naprzeciwko był jubiler, a kawałek dalej, salon samochodowy. Musiałem się pospieszyć. Chwyciłem krzepko cegłę leżącą przy krawężniku i stanowczym krokiem ruszyłem na drugą stronę jezdni.

■

ANDRZEJ DRZEWIŃSKI

Spotkanie z czytelnikami kolumny fantastyki

W numerze 47 „Odgłosów" podaliśmy wyniki ogłoszonej przez nas dla czytelników kolumny fantastyki ankiety, której celem było uzyskanie informacji, kim są zwolennicy tego typu literatury i jak oceniają nasze działania. Naturalną konsekwencją podjętej przez nas akcji było zaproszenie do redakcji czytelników, w celu porozmawiania o literaturze SF.

Spotkanie odbyło się 24 listopada br., przy okazji wręczania wylosowanych przez uczestników ankiety nagród, które ufundował Łódzki Klub Fantastyki. Spotkanie poprowadzili: zastępca redaktora naczelnego „Odgłosów", Tomasz Sas i prezes Łódzkiego Klubu Fantastyki, Romuald Szoka.

Czytelników poinformowano o tym, iż historia SF w „Odgłosach" sięga roku 1958, kiedy to zaczęto drukować w odcinkach znaną dziś z dwóch wydań książkowych, powieść Andrzeja Ostoi pt „Aspazja". Później wielokrotnie publikowano różnego rodzaju teksty SF (nowele, opowiadania) czy też zbliżone do fantastyki teksty paranaukowe. Zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, dużo było tego rodzaju publikacji (opowiadania J. Sawaszkiewicza, artykuły Blani Bolnara i in.). Szansa na cykliczne pojawianie się literatury fantastyczno-naukowej zarysowała się w roku 1980, kiedy to z inicjatywy Łódzkiego Klubu Fantastyki (wówczas Oddziału OKMFiSF) powstał projekt drukowania specjalnego dodatku do tygodnika poświęconego wyłącznie fantastyce a zatytułowanego „Andromeda". Przygotowano nawet pierwszy numer, ale trudności poligraficzne uniemożliwiły całe przedsięwzięcie. Dopiero obecna kolumna „W kręgu fantastyki" (początkowo współredagowana przez SfanClub) nieprzerwanie od kilkunastu miesięcy w cotygodniowym numerze serwuje porcję polskiej i obcej fantastyki, uzupełniając ją tekstami krytycznymi, recenzjami, informacjami o ruchu fanów. „Odgłosy" są jednym z nielicznych krajowych tygodników społeczno-kulturalnych, które cyklicznie publikują prozę SF. A ponieważ redakcja chce kierować się przy doborze tekstów również opinią czytelników, zorganizowano wspomnianą ankietę oraz spotkanie.

Podczas redakcyjnego spotkania ścierały się poglądy zwolenników „naukowości" w fantastyce (w określeniu science-fiction akcent na pierwszy człon) oraz miłośników czystej fantazji, czytelników artykułów paranaukowych, jak i ich zaciętych wrogów, a także osób preferujących publikowanie powieści SF w odcinkach oraz ich antagonistów. Interesujące okazały się niektóre uwagi czytelników, jak na przykład ta, że na kolumnie trafia się w zasadzie wszystko, opowiadania dobre wśród miernych, czy wręcz nie nadających się do czytania. Opinię Marka Widlickiego skontrował Tomasz Królikowski twierdząc, że SF w „Odgłosach" wcale nie jest na tak złym poziomie, bo choć żadne z opowiadań nie zapisało się specjalnie w jego pamięci, to jednak również dotychczasowe teksty publikowane w „Fantastyce" nie wywarły nań dużego wrażenia. Z kolei Piotr Sitarski pochwalił umożliwianie debiutu młodym autorom, którzy poprzez formy SF mają coś do przekazania, a którzy na publikację książkową czekaliby latami. Goście jednomyślnie zaznaczyli, że debiuty nie powinny wypzreć z kolumny opowiadań autorów profesjonalnych, w tym również przekładów. Na pytanie Jarosława Nowakowskiego, dotyczące notowań giełdowych, odpowiedziano, iż zaprzestania ich publikacji dokonano w interesie fanów, gdyż po wprowadzeniu notowań na łamy kolumny dał się zaznaczyć gwałtowny i zupełnie niepotrzebny wzrost cen książek SF w antykwariatach i na rynku.

Spotkanie wykazało potrzebę prowadzenia kolumny fantastyki i aktywne zainteresowanie jej czytelników. Obiecano, że kolumna nadal pojawiać się będzie co tydzień na łamach „Odgłosów" kontynuując swą służbę dla rzeszy zainteresowanych.

R. S.

■

Foto: M. Zajdler

Jesienny „Maskon" 83"

Nareszcie impreza na jaką długo czekaliśmy. Niewymuszona, „na luzie", bez szumnej reklamy i hucznej oprawy. Spotkanie fanów połączone z „Forum Nieprofesjonalnych Wydawców" czyli Jesienny Konwent SF „MASKON '83", zorganizowany przez Bydgoski Oddział PSMF. Na konwentowe imprezy udzielił gościny studencki klub „Beanus '70".

Zawitali do Bydgoszczy przedstawiciele wszystkich prawie klubów w Polsce przywołać wiele wydawnictw, takich jak „Fikcje" z Katowic, „Kwazar" z Poznania czy „Sfanzin" z Warszawy. Organizatorzy przygotowali też własne publikacje — dwa numery fanzinu „Maskon".

Głównym tematem spotkania była działalność wydawnicza w klubach, jej przyszłość i możliwości rozwoju. Powszechnie znane są kłopoty fanów z drukowaniem klubowych biuletynów. Jednym z rozwiązań, proponowanym przez klub poznański, mogłoby być powołanie ogólnopolskiego wydawnictwa. Temat będzie kontynuowany na seminarium filmowym w Łodzi, zapowiadanym w poprzednim numerze „Odgłosów".

Zadbano też o przerywniki w obradach. Wyświetlono 4 filmy (m.in. „Egzorcysta" i „2001 Odyseja Kosmiczna"), odbyło się również spotkanie z zaproszonymi autorami J. Zajdlem, L. Zniczem, W. Żwikiewiczem.

M. D.

■

1 Zdarzenia i zwierzenia

Piosenki Juliana Tuwima

Twórczość Juliana Tuwima, autora niezapomnianych „Kwiatów polskich", odchodzi jakby powoli w zapomnienie. Oczywiście są wiersze Tuwima w szkolnych lekturach, znajdują się w dziesiątkach antologii, ale spora część jego spuścizny poetyckiej powoli wietrzeje.

Tuwim pisał bardzo wiele, bibliografia jego prac sięga setek pozycji — wierszy, przekładów, felietonów, opracowań, utworów dla dzieci, wreszcie piosenek.

Polskie Radio bardzo często przypomina niektóre piosenki Tuwima. Czy jednak odpowiednie jest tu słowo „przypomina"? Poeta pisywał teksty piosenek pod pseudonimami (miał ich bardzo wiele), jakby się wstydził nieco owej niepoważnej twórczości. Uszanowano tę wolę Poety i już po wojnie i po śmierci Tuwima wydawane na płytach jego piosenki opatruje się nadal kryptonimami: Olden, Peer, Brzost, J. Wim..

Więc jakże często słuchacze po prostu nie wiedzą, że modne przeboje retro pisał jeden z wybitniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego. Na przykład: *„Co nam zostało z tych lat"* — tango sentymentalne do muzyki Władysława Dana, notabene twórcy słynnego Chóru Dana, gdzie debiutował Mieczysław Fogg.

W Stanach Zjednoczonych istnieje wytwórnia płyt „Dana Record"; jej właścicielem jest Władysław Dan. Żeby te dygresje już skończyć, dodam tylko, że ów kompozytor też posługiwał się pseudonimem. Naprawdę nazywa się Daniłowski i jest synem wybitnego pisarza pierwszych lat dwudziestego wieku — Gustawa Daniłowskiego.

Julian Tuwim był autorem słów wielu piosenek, które w latach międzywojennych zyskały miano szlagierów. Pisał dla Hanki Ordonówny, Miry Zimińskiej, Zuli Pogorzelskiej. Jego autorstwa jest głośny przebój „Miłość ci wszystko wybaczy", dalej „Pokoik na Hożej", „Tata da raka", „Słomiany wdowiec"...

A potem przyszła wojna — Tuwim wyemigrował za ocean, gdzie powstały zrodzone z nostalgii „Kwiaty polskie". Po powrocie do Polski pisał już niewiele, jakieś parę wierszy i żadnej piosenki. Zmarł w grudniu 1953 roku. Trzydzieści lat temu.

I właśnie po jego śmierci przypomniała sobie o poecie Muza Piosenki. Kiedy poezja Tuwima zaczęła powoli odchodzić w zapomnienie, młode, powojenne już pokolenie kompozytorów, sięgnęło do wierszy Tuwima. Szperając po starych tomikach znaleźli „Zadymkę" i „Zawieję" kompozytorzy: Andrzej Zieliński i Jan Kanty Pawluśkiewicz. Dziś śpiewa te wiersze Marek Grechuta i śpiewają „Skaldowie".

Ale największy, pośmiertny sukces piosenkarski Tuwima przyszedł za sprawą Zygmunta Koniecznego i Ewy Demarczyk. „Grande valse brillante" to przecież fragment „Kwiatów polskich", a słynny „Tomaszów" to wiersz „Przy okrągłym stole" z tomu „Siódma jesień".

Natychmiast zresztą znaleźli się „obrońcy" protestujący przeciwko tej rzekomej... profanacji dorobku twórczego Juliana Tuwima. Najbardziej zagorzale atakował wówczas Zygmunta Koniecznego i Ewę Demarczyk pewien... autor tekstów piosenek. Nie rozumiał widać, że nowa muzyka tchnęła w zakurzone już nieco wiersze poety zupełnie nowe życie. I że te wiersze żyją właśnie dzięki temu, że stały się piosenką.

Sam Tuwim pisał przed laty: „Jedną z najciekawszych i najznamienitszych cech piosenki prawdziwie popularnej jest jej anonimowość". Może więc dlatego nie podpisywał swoich piosenek, bo nie chciał, żeby je łączono z nazwiskiem poważnego poety? Może właśnie pragnął, aby to były piosenki anonimowe.

„Co nam zostało z tych lat
miłości pierwszej
zeschnięte liście i kwiat
w tomiku wierszy..."

I pozostały piosenki, wcale nie „zeschnięte", lecz wciąż ożywiane na nowo.

JERZY WILMAŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Szkolenie

Rozstawszy się — przynajmniej na czas jakiś — z wymyślonym Artem Buchwaldem, który w zgodzie z wyrażonym życzeniem niechaj hibernuje w spokoju (wannę z ciekłym helem też mu wymyśliłem, facet nie ma więc prawa narzekać), znalazłem się nagle bez godziwego zajęcia, pozostało więc powrócić do grzechów młodości, czyli za szachownicę. Gapić się znad tej szachownicy, gdy wszyscy a to pracują, a to narzekają, a to stoją w kolejkach, a to znów spekulują czym popadnie — zdało mi się wszakże czymś niegodnym, podumawszy przeto małą chwilę postanowiłem uczynić krok następny i zabrać się za szkolenie.

Szkolenie jest dziś nader popularne, szkolimy się w rozumieniu reformy, doskonalimy styl zarządzania (dyrektorzy miewają nawet egzaminy, że nie powiem — klasówki), jeździmy na kursokonferencje i na konferencje zwykłe, słowem z dnia na dzień stajemy się mądrzejsi i mądrzejsi, a choć efektów tej zbiorowej mądrości póki co nie widać, pozostaje mieć nadzieję, że kiedyś przekroczy ona tak zwany punkt krytyczny i wybuchnie z wręcz oszałamiającą siłą. I wówczas wszystko dla każdego stanie się przeraźliwie jasne, nawet to, dlaczego FAZ ciągle zowie się FAZ, czyli Fundusz Aktywizacji Zawodowej, choć tych biednych zredukowanych, których należałoby aktywizować i doszkalać (jak widać już w założeniach reformy mieliśmy przewidziane szkolenie) nawet ze świecą w ręku trudno doprawdy uświadczyć.

FAZ to nie moja specjalność, podobnie jak większość dyrektorów gry w FAZ niestety nie opanowałem, gram natomiast cokolwiek w szachy, a te — dla odróżnienia po prostu — są grą logiczną i dającą się logicznie objaśnić. Nic więc dziwnego, że właśnie w szachach zamierzam PT Czytelników szkolić. Będzie to szkolenie przyjemne, bo bez egzaminów, bez podpisywania banalnych list obecności, a nawet bez odrywania od miejsca pracy, zrozumiałe bowiem, że właśnie w pracy „Odgłosy" należy czytać. Zajęci lekturą nie podejmiemy żadnej niedorzecznej decyzji, co przyniesie korzyść naszej macierzystej instytucji, nie uwiedziemy też koleżanki z biura, ocalając trwałość domowego ogniska. Szachy — co w przyszłości postaram się udowodnić — są bowiem dobre niemal na wszystko.

2.

Pominiemy w naszych wykładach — sądzę, że najwyższy czas przejść wreszcie na dostojne pluralis — debiuty, grę środkową i końcówki, czyli to, co każdy rozgarnięty amator może znaleźć w byle podręczniku.

Jedynie na krótką chwilę zatrzymamy się przy historii, istotne jest bowiem to jedynie, że w swoich pradziejach szachy były grą wojenną, odwzorowaniem bitwy dwóch równych sobie liczebnie armii. Szanse obu stron zawsze były tedy z początku równe, ten z grających, który byle jak rozstawił swoje bierki i prowadził batalię bez rozsądnego planu — dostawał wszakże łupnia i nie pomagały ani lamenty, ani wrzask w stylu popularnego tygodnika na cztery litery, ani nawet powoływanie się na tak zwane dobre intencje.

Oto pierwsza płynąca z szachów nauka, którą warto by chyba chyłkiem przenieść na grunt publicznego życia. Intencje mogą być piękne, wrzask może być donośny, ale mat jest ważniejszy. Mata trzeba po prostu uznać i po poniesionej porażce spokojnie przeanalizować spartaczoną rozgrywkę; wielcy mistrzowie też przecież przegrywają, ich wielkość zasadza się jednak między innymi na tym, że potrafią wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów.

Wszystko to razem nie oznacza wprawdzie, że na ministrów proponuję desygnować szachistów, ci ostatni rzadko kiedy odznaczają się bowiem zmysłem praktycznym i mogą być na bakier chociażby z ekonomią, jednak minister grający choć trochę w szachy ma — jak sądzę przynajmniej — nieco wyższe kwalifikacje od ministra grającego jedynie w tysiąca.

A to dlatego, iż w szachach nie wolno liczyć na łut szczęścia, trzeba natomiast kalkulować na wiele ruchów naprzód i to planować wariantowo, licząc się nie tylko z racjonalną, ale także pozornie niedorzeczną odpowiedzią partnera. Zaś przez partnera — przymierzając szachy do tak zwanego żywego życia — będziemy roboczo rozumieli wszystko: od kaprysów pogody, po plotkę obiegającą miasto.

3.

Tyle tytułem zapowiedzi, mało może śmiesznej, nie obiecywałem jednak nikomu, że wciąż i wciąż będę nałogowo robił za wesołka. Za tydzień, dwa lub w ogóle kiedykolwiek, być może trochę sobie podowcipkujemy, zajmiemy się jednak również sprawami arcypoważnymi, jak na przykład problemem czasu, czy wręcz pewnej dwoistości czasów, jaka występuje we współczesnej partii szachów.

I tu stawiam ostateczną kropkę, zamiast zachęcać zacząłem bowiem czytelnika straszyć, co może skończyć się przykrym brakiem frekwencji na planowanych wykładach. Postaram się, aby były one przystępne, zresztą myślenie — acz istotnie fatygujące — daje niekiedy pewną satysfakcję, której osiągnięcia wszystkim z góry najserdeczniej życzę.

JERZY P.

3 Lewym okiem

Sienkiewicz jako Tatar

Z mieszanymi uczuciami czytałem niedawno w tygodniku „Tu i Teraz" list pana Tadeusza Wielgolawskiego z Temruk Szymkiewiczów o popularnym, zmarłym przed paroma miesiącami autorze powieści kryminalnych, Edigeyu Koryckim. List zaczynał się od wyrażenia nieopisanej grozy, jaka ogarnęła pana Wielgolawskiego (z Temruk Szymkiewiczów) po przeczytaniu niedość dokładnego wywodu genealogicznego Edigeya, wywodu, sięgającego hen do przodków tatarskich sprzed paru stuleci. *„Włosy na głowie stanąwszy, tak one i stoją"* — pisze uroczym wileńskim dialektem pan Wielgolawski (z Temruk Szymkiewiczów).

Na te mieszane uczucia złożyło się kilka uczuć mniej mieszanych. A więc najpierw zdziwienie, że komuś mogą stanąć włosy na głowie tylko dlatego, że Koryccy herbu Koryca pochodzą od krymskiego emira Edige i używali niegdyś przydomka Edigej-Mirza, że inni Koryccy wiodą się od Czingiz-Chana i od nich pochodzi słowo „ułan" (tego to już pan Wielgolawski nie dowiódł), a *„ktoś ukryty pod inicjałami „H. W."* — i piszący o naszym autorze kryminałów — śmie tego wszystkiego nie wiedzieć: ***„Nie ma o tym pojęcia i robi ludziom wodę z mózgu"***. Wieleset milionów, ba — parę miliardów ludzi nie ma pojęcia o owych tatarskich koneksjach, nie myślę jednak, że wszyscy oni mają wodę w mózgu. Więc zdziwienie — to raz.

Po drugie to nawet wydało mi się ładne, że ktoś, w tym wypadku pan Wielgolawski (z Temruk Szymkiewiczów) tak niezmiernie przywiązany jest do swych przodków, taki dumny z tego, że byli wśród nich Tatarzy, taki nadwrażliwy na punkcie swej genealogii, że poświęca jej aż tyle czułej uwagi, a zapewne i niemało czasu.

Po trzecie to sympatia, obudzona przez ową czułą pamięć plemiennych przodków, sięgającą do czasów doprawdy zbyt głęboko już tkwiących pod całymi warstwami historycznych epok, przeradzać się zaczyna w coś w rodzaju zniecierpliwienia, gdy uczony pan Wielgolawski (z Temruk Szymkiewiczów) zaczyna nam wypominać czarną niewdzięczność: „Polska bez Tatarów litewskich byłaby Polską bez Mickiewicza — pisze — bez Sienkiewicza, bez Małachowskich. Bez Tatarów minister zdrowia PRL nie miałby doradcy (nie wiem o kogo chodzi; wtajemniczeni się domyślą), premier Kowalczyk nie miałby zastępcy Eliaszewicza, a Kazimierz Koźniewski — Agnieszki Baranowskiej. Na każdym kroku powinniśmy pamiętać i zaświadczać, że bez Tatarów nie odbyłyby się walki pod Grunwaldem, pod Tczewem, pod Chocimiem, walki z potopem szwedzkim, pod Wiedniem i Parkanami, w konfederacji Barskiej, w Powstaniu Kościuszkowskim i wszystkich innych powstaniach. Bez Tatarów...

Oczywiście, z identyczną racją ktoś inny może powiedzieć o Niemcach (ręczę, że w każdej prawie rodzinie uważającej się za polską znajdzie się w ciągu trzech—czterech stuleci jakiś niemiecki kuzyn), to samo o Rosjanach, Żydach, Litwinach, Czechach i wielu innych nacjach. Z tą samą racją można by powiedzieć, że Rosja bez Afryki nie byłaby Rosją, bo nie miałaby Puszkina: jeden z jego dziadków był przecież Murzynem. Tyle, że przy takim rozumowaniu nic już nie pozostaje z pojęcia własnej, rodzimej kultury, bo co ma zostać, skoro wszystko zawdzięcza się przybyszom? Skoro oni ciągle ten swój status przybysza akcentują i domagają się jego uwzględniania?

Można być dumnym, że jest się Polakiem, jak był nim Sienkiewicz, Mickiewicz itd. Można też być dumnym, że jest się Tatarem, jak był nim Sienkiewicz, Mickiewicz i Agnieszka Baranowska. Ale najlepiej, chyba nie przeceniać znaczenia plemiennych prażródeł, z których nic nie wynika oprócz hobbistycznych satysfakcji.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Zapiski z miasta

1. OSOBISTE

Powiadamiam kogo trzeba, że dziś po raz drugi od dnia uroczystego otwarcia podziemnych przejść na skrzyżowaniach ul. Piotrkowskiej i Głównej (Mickiewicza) stoczyłem się ze schodów, przepięknie wykonanych z polerowanego granitu, pokrytych zazwyczaj — mimo wysiłków panów z napisem „ZK" na plecach — śliską bryją. A żeby było ciekawiej — mających osobliwy spadek dla ułatwienia spływania wody do kanalizacji, która i tak bywa zapchana. Wynikiem pierwszego upadku był tylko uszczerbek na garderobie. Wynikiem drugiego — nadciągnięte ścięgna palców prawej ręki, co poczytuję za karę, bo w tymże miejscu naśmiewałem się z Jejmości i dziadunia, obładowanych proszkami do prania.

Przypominam sobie dyskusje na temat niemożności sprowadzania wózków dziecięcych, wymogów normy co do stopnia spadku itp. O dodatkowych poręczach pośrodku schodów nie pomyślano, bowiem byłby to możliwie najprostszy sposób, my zaś jesteśmy specjalistami od spraw skomplikowanych! Ciekawe, kiedy (odpukać!) ze schodów stoczy się jakaś mama, niosąca wózek z pociechą w ręku i jacy specjaliści zabiorą wówczas głos w dyskusji?

Wniosek: proszę o specjalną nagrodę dla projektantów tego obiektu, akceptujących t e n materiał, t o wykonanie i t o minimum bezpieczeństwa, być może zgodne z normą, lecz nie z rozumem. I dla wykonawców, którzy wkładając maksimum wysiłku w wypolerowanie stopni (i zgodnie z dokumentacją) mieli błogą świadomość, że w razie czego — to niech się tłumaczy „kolega"...

A ja? Do nikogo nie mam pretensji i nikogo nie będę skarżył. Co bowiem odpowiem, gdy w trakcie procesu Wysoki Sąd mnie zapyta: „A po coś tamtędy chodził, jak wiesz — że śliisko?".

2. WOLNE SOBOTY — WARIANT ALTERNATYWNY, CZYLI LIST DO SYNA

Kochany Synu! Wybacz swemu Ojcu, jeśli listem tym Cię w jakiś sposób naraził! Rzecz w tym, czego i Ty, i ja nie lubimy. Oczywiście w szkole: odrabianych dni w wolne soboty. Pytasz — jak to było? Otóż w czasach burzliwych, kiedy to według recept i sprawozdań różnych przywódców tworzyliśmy drugą Japonię — dyskutowano zawzięcie w kwestii możliwości takiego rozłożenia w czasie koniecznych dla wypełnienia programu rocznego godzin lekcyjnych, aby zapewnić wolne soboty. Ileż to było uczonych dyskusji, czy młode umysły wytrzymają zwiększoną dawkę nauki przez pięć tylko dni w tygodniu! Ileż to spięć z rodzicami, że lekcje do późnych godzin wieczornych to konieczność, ponieważ w ciągu 5 dni w tej samej ilości izb trzeba pomieścić tę samą ilość klas, co dawniej w ciągu 6 dni! I co z tych dyskusji zostało? Nic! Ostatnio coraz częściej odrabiasz w wolne soboty jakieś inne dni sprzed, lub poza okresami wolnymi od zajęć, nikt jakoś nie myśli o tym, że masz 6 dni przeładowanych lekcjami, że przychodzisz do domu o takiej porze, w której ani zabawa, ani nauka... No i, że jak rodzice są w wolną sobotę w domu — Ty idziesz do szkoły, a jak rodzice przed świętami będą normalnie pracowali — Ty będziesz się obijał po domu sam! Bardzo Cię za takie sytuacje przepraszam, lecz nie mam możliwości ich zmian. Przepraszam Cię również, iż w telewizji myślą o wolnych sobotach dla uczniów i puszczają „Czterech Pancernych" akurat wtedy, gdy macie godzinę wychowawczą! Nic nie poradzę, że ludzie mają pamięć dobrą, tylko krótką!

Twój Tatuś.

Wniosek: Proponuję wprowadzenie w szkolnictwie ruchomego czasu pracy; w okresy nieciekawe — po 20 godzin na dobę, kiedy indziej — jak wygodniej! I tak przecież połowy tego programu nikt nie rozumie, podręczników brak, a więc co za różnica?

W. AFELT

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karoleszak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier działu literackiego) Karol J Strycki, Janusz Szymański (stałe (grafik) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", ul. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201040 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36763. Zam. 3306. L-2.

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

Milcz, kiedy cię gwałcą

Ja je w każdym razie ocaliłem. Ktoś zapukał do drzwi. Czułem za sobą ruch i zdenerwowanie. Byli przekonani, że puka zapowiedziana przeze mnie teściowa. Tylko ja wiedziałem, że nie była to teściowa, której pukanie mógłbym rozpoznać nawet w niebie, czy w piekle. Teściowa puka nieśmiało, wrednie, a kiedy otwieram jej, robi niewinną minkę i zaczyna dukać przez nos, że chciała właśnie podlać kwiatki, odnieść bieliznę do magla, albo zapytać, czy nie otrzymałem jakiejś wiadomości od Zosieńki. Ten ktoś natomiast, zapewne poczciarz lub agent ubezpieczeniowy, walił tak, że drżały grube mury.

Tu przecież znowu wykazałem dużą dozę sprytu i inteligencji. Zamiast denerwować łajdaków, zacząłem ich uspokajać głosem pogodnym i pełnym słodyczy:

— *Nie bójcie się, drodzy państwo. To ta, cholera poznaję ją. Zaraz znowu zapuka.* — jak na komendę rozległc się pukanie. *O! Nie mówiłem! A teraz odejdzie, pokręci się z pół godziny pod domem i znowu wróci.*

Stukot obcasów na schodach był dokładną ilustracją moich kłamstw. Poczciarz czy też agent ubezpieczeniowy odszedł. Oni też szykowali się do wyjścia. Aczkolwiek odwrócony plecami, mógłbym odtworzyć dokładnie ich gesty. Jeden z mężczyzn położył zapewne palec na ustach i ruszył do korytarza. Resztą za nim na palcach, wstrzymując oddechy. Trzasnęły lekko drzwi i z pokoju wywiał powoli ckliwy odór francuskich perfum.

Zapytałem głośno:

— *Jest tam kto?*

Powtórzyłem to na wszelki wypadek kilka razy i dopiero wtedy ośmieliłem się odwrócić! Sprawdziłem, czy jest biżuteria w kanapie i pieniądze pod wykładziną. Zadowolony, że znalazłem je na swoim miejscu, podbiegłem do szafy. Nie ruszyli żadnych łachów: ani kożucha, ani futra. Zawodowcy. Nie dali się ponieść chciwości. Wyszli pozornie jak weszli, z gołymi rękami. Trochę usiadł mi humor, kiedy namacałem lewą, wewnętrzną kieszeń w garniturze. Pracowali widać w myśl zasady: minimum ryzyka — maksimum zysku. Zostawili książeczki oszczędnościowe na moje i żony nazwisko, zgarnęli natomiast anonimowe bony, na których były wprawdzie numery, ale nie pokwapiłem się w porę, aby je zapisać.

Ano, moja strata. No i moja głupota. Żyłem jednak. Żyłem. Cieszyłem się z życia. Z wolna jednak docierał do mojej świadomości fakt, że straciłem połowę majątku. Drżałem również przed żoną. Co też powie moja najukochańsza Zosieńka, kiedy dowie się, że nie ma już ani złotówek, ani dolarów, ani swoich złotych kolczyków i bransoletki, którą dostała od wuja w Sieradzu po zdaniu matury.

Wiedziałem, że muszę ją zawiadomić, aby nie pomyślała przypadkiem, że rozhulałem majątek. Jak w tym dowcipie: żona widzi ogołocone mieszkanie i pyta męża: „Gdzie pieniądze?", „W worach", „W jakich worach?", „A tu" — odpowiada skacowany gagatek i pokazuje małżonce sine nawisy pod oczami.

Na coś takiego nie mogłem sobie pozwolić. Fakt natomiast, że zostałem napadnięty, usprawiedliwiał mnie całkowicie. Wczoraj wyjechała, dzisiaj powiadamiam ją o rabunku. Takie przeżycie usprawiedliwia każde pijaństwo.

Poszedłem na pocztę. Telegram wydawał mi się formą zbyt ryzykowną i otwartą, więc wysłałem krótki polecony list ekspresowy, obliczając, że w ten sposób, choćby żona zdecydowała się przerwać wczasy, będę miał jeszcze dwa — trzy dni spokoju.

Trapiło mnie trochę uczucie winy. Gdybym nie pił w tym ohydnym barze, wszystko byłoby w porządku i cieszyłbym się teraz całym majątkiem. Jakże ogromna była moja radość, kiedy wróciwszy do domu zobaczyłem w kącie pod drzwiami te klucze, które zobowiązałem się oddać teściowej. Rabusie skorzystali z nich, a później postanowili je porzucić. Biorąc je w rękę dumałem, czy nie zanieść ich na kamendę w celu zdjęcia odcisków daktyloskopijnych, gdyby jednak doszło do Zosieńki, że zamiast wręczyć klucze teściowej, pozwoliłem je sobie podwędzić, w pijackiej spelunie, podczas gazowania z podejrzanymi typami, byłaby ciężka draka i powód do wymysłów na całe życie.

Zaniosłem więc klucze teściowej, którą zastałem tym razem w domu na zydlu przed telewizorem. Upozowałem się na człowieka dotkniętego bezprzykładną troską, kląłem, stękałem i czochrając łeb pazurami zdałem jej relację z mojego porannego nieszczęścia.

Uwierzyła.

Żona też uwierzyła, chociaż odsiedziała w Rewalu do końca wczasów.

Po powrocie zapytała, czy zaalarmowałem milicję. Powiedziałem, że nic to nie da i że postanowiłem prowadzić śledztwo na własną rękę.

Miałem pewien trop. I mam go. Wwąchuję się pilnie w zapach francuskich perfum Wild Musk i obserwuję biżuterię kobiet. Rozmawiałem też, gdzie się da i z kim się da, na temat różnych włamań i napadów, poszerzając swoją wiedzę w tym przedmiocie.

Studia te przekonują mnie, że przemyślność bandytów jest doprawdy niesłychana. Wierzę, że obnażenie przed czytelnikiem wszystkich mechanizmów ich złowieszczej działalności może być społeczeństwu wielce przydatne w uniknięciu przykrej niespodzianki bądź też w przyjęciu słusznej postawy, kiedy takowa się zdarzy.

Co do mnie, jestem bardzo ostrożny. Chucham na zimne. Pewnego dnia na przykład otrzymałem wraz z żoną zaproszenie na przyjęcie, które miało odbyć się w domu pewnego cwaniaka pod Zgierzem. Zaproszenie to zostało nam doręczone przez jakiegoś nieznanego osobnika w formie otwartej karty pocztowej, na której wyszczególniono drobiazgowo, co będziemy jeść i pić, różne potrawy z dziczyzny, bo cwaniak był zapalonym myśliwym.

Żona na tę wieść pokraśniała i ruszyła do szafy, żeby zrobić przegląd wieczorowych strojów, nadających się na tak wytworny wieczór, ja jednakże, zaniepokojony faktem, że przyjęcie miało się odbyć jeszcze tego samego dnia, za dwie godziny, złożyłem sprzeciw.

— *No wiesz!* — oburzyła się Zosieńka. — *Raz mamy możność spędzić wieczór w kulturalnym gronie, a ty grymasisz.*

— *Idź sama* — powiedziałem.

— *Jak to sama?! Przecież ledwo go znam.*

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— *Ja też ledwo go znam* — oświadczyłem. — *I to jest właśnie dziwne.*

— *Co jest dziwne?*

— *Że nas zaprosił.*

— *Nie widzę w tym nic dziwnego. Jako dobrze wychowany człowiek...*

— *Aha. Dobrze wychowany!* — przerwałem. — *Najgorsi są właśnie tacy dobrze wychowani. Posłuchaj!*

I zacząłem opowiadać żonie o takich dwóch dobrze wychowanych dżentelmenach, którzy doszczętnie obrabowali mieszkanie pewnego zamożnego małżeństwa. Plotka ta nie dotarła do organów ścigania, była jednak powtarzana półgłosem w pewnych kręgach. Nie wiadomo, ile w tym prawdy. Tak czy owak, zaczęło się od tego, że pewnego wieczoru zginął wspomnianemu małżeństwu zaparkowany przed domem samochód.

Bądź rozważny w domu i na drodze

No więc buchnęli ten samochód sprzed domu pewnego zamożnego małżeństwa. Profesja tych ludzi (o małżeństwie mowa, a nie o złodziejach), nie ma tu nic do rzeczy, byli nadziani i już! Jednakże natura ludzka jest taka, że nawet najbardziej nadziany człowiek nie lubi tracić niepotrzebnie ani złotówki, a co dopiero samochodu, który mimo trzyletniej włóczęgi po dziurawych polskich jezdniach i ulicach przedstawiał się krzepko i zdrowo.

Późna pora, a także nietrzeźwy stan małżonków sprawiły, iż tego dnia organa ścigania nie zostały powiadomione o fakcie, nazajutrz zaś, kiedy książę małżonek powrócił z pracy, zauważył nie bez wzruszenia, że skradziony samochód stoi jakby nigdy nic na parkingu przed domem; lśniąca karoseria, żadnych zadrapań, drzwi skrupulatnie zamknięte, drobiazgi nie ruszone.

Można by pomyśleć, że nikt pojazdu nie tknął, a cała afera była tylko somnambulicznym przewidzeniem małżonków, wytworność i przemyślność złodziei sięgała jednak dalej. Otóż w dobrze widocznym miejscu, przy kierownicy, spoczywała koperta, zaś w kopercie kredowa ćwiartka papieru, na którym pisało ni mniej ni więcej, że złodzieje przepraszają, że jest im przykro, ale naprawdę nie mieli innego wyjścia — musieli pożyczyć samochód, aby załatwić pewną nie cierpiącą zwłoki sprawę, wiążącą się z czyimś bezcennym życiem. Życie owo zostało uratowane! Co za radość! Chętnie zapłaciliby za eksploatację pojazdu i spaloną benzynę, są jednakże dżentelmenami, nie chcieliby urazić tak gminnym dowodem wdzięczności czcigodnych małżonków, w związku z czym postanowili obdarować ich dwoma biletami na operę w Teatrze Wielkim.

Połączone spinaczem bilety leżały w kopercie, a cena ich była wysoka, zatem zaintrygowane małżeństwo, nie mające o operze zielonego pojęcia, chyba, że przyszło przedrzeźniać tego grubasa z Telewizji, który beczy na wysokim „c" o naszych divach i tenorach, przybliżając ich szerokiej publiczności, nasze małżeństwo postanowiło przemęczyć się i odwalić nasiadówkę w trzecim rzędzie Teatru Wielkiego z bliżej niesprecyzowaną nadzieją, iż, być może, uda im się w tłumie wieczorowych garniturów i smokingów rozpoznać figlarzy.

Opera ciągnęła się niemrawo, soliści wykrzykiwali swoje kwestie z minami patetycznych wojów i omdlewających księżniczek, w antraktach trafiło się na stronie kilku znajomych, żaden z nich jednak nie wyglądał na dowcipnego złodzieja, który pożyczył sobie samochód.

Małżeństwo powróciło zatem do domu, z lekka zawiedzione i z lekka znudzone i nagle, jak to się pięknie mówi, włosy stanęły im dęba na głowie. Mieszkanie było puste, ogołocone do suchej nitki. Trzygodzinna nieobecność małżonków umożliwiła złodziejom wywiezienie nie tylko biżuterii i pieniędzy, ale również ciężkiej garderoby i lżejszych sprzętów z rodowodem antycznym. Szczęście, że istnieje w Polsce coś takiego, jak banki i różne zakłady ubezpieczeniowe, bo gdyby nie, to małżeństwo musiałoby chyba wyjechać na wieś i tam wykonywać swój zawód, aby znów się nachapać.

Opowiedziałem to wszystko żonie ku przestrodze i nie poszliśmy z wizytą do myśliwego, który przyobiecał postawić na stole różne bażanty, kuropatwy i zające. Niech go cholera! Ledwo go znam, a dział, w którym pracuje, nie gwarantuje lewej dostawy żadnego towaru za łapówkę. Żony też nie można posmarować, chyba że długopisem, do tych celów jednakże myśliwy mógłby sobie nająć jakieś młodsze i urodziwsze panienki z Grandu.

A teraz o moich podejrzeniach związanych bezpośrednio z napadem. Od dłuższego czasu chodzę z żoną po domach meblowych w złudnym przeświadczeniu, że uda nam się kupić narożną kanapę, bo z tej, którą mamy, zaczęły wychodzić wąsy. Stoję ci ja kiedyś przed kompletem wypoczynkowym za czterysta i burzą się we mnie kwasy żołądkowe. Klnę w duchu życząc producentom nagłej i niespodziewanej śmierci. Takie same uczucia fermentują w moim sfatygowanym brzuchu kiedy podglądam ceny dywanów, ceny wyrobów cepeliowskich i ceny różnej prywaciarskiej tandety, jak lustra, koszmarne aparaty telefoniczne, lichtarze (dużo stosowniejszą nazwą byłyby lichwiarze) i lampy. Wygląda na to, że centymetr kwadratowy drewna i supełek wełny osiągnął w Polsce wartość złota, to z kolei zbliża się do platyny, a platyna do brylantów. Doprawdy, jako urzędnik państwowy nie mam nic przeciwko temu, aby pomagały nam w nasycaniu żarłocznego rynku różne firmy polonijne i prywatne zakłady wytwórcze, jednakże pazerność i zachłanne skurwysyństwo większości z nich domaga się ciosu w splot słoneczny i kopa w dołek. Przy takich cenach nigdy nie wychowamy społeczeństwa w duchu uczciwości i pokory, a ustawa, iż każdy obywatel może zarobić bez podatku trzysta tysięcy, jest śmieszna. To ceny właśnie zmuszają nas do kombinowania, oszukiwania i spekulowania, nie wspominając już pospolitych kradzieży. Nóż wyje w kieszeni, jak Boga kocham, kiedy człowiek pomyśli, ile zarabiają wszyscy ci wytwórcy prywatnej, spółdzielczej i państwowej masy towarowej. Jakże to tak?! Im wolno, nam nie wolno? Gdzie w takim razie sprawiedliwość i demokracja?

No, ale nie o to chodzi. Patrzyłem na ten komplet ocierając się ramieniem o biust mojej ukochanej małżonki. Coś niepokoiło moje zmysły, konkretnie: nozdrza. Chłonąłem z narastającym uczuciem obrzydzenia jakiś ckliwy, piżmowy, intensywny w sumie i wredny zapaszek, i nagle, ni stąd, ni zowąd zdałem sobie sprawę, że to jest Wild Musk, sławetna kompozycja francuska którą paryżanki i inne paniusie z Bożej łaski nacierają się przed wyjściem na spacer, żeby pobudzić zardzewiałe męskie mechanizmy.

Rozejrzałem się dyskretnie i ustaliłem, że ową pewexowską woń wydaje z siebie zażywna, choć niemłoda już kobieta, której ręce, niczym kastety na pląstkach bandziora, najeżone były złotem. Stał babus i pachniał, a na twarzy miał tyle talku, kremu, pudru i innego paskudztwa, że można było zrolować kluch dla tuzina osób. No i proszę tylko zauważyć — podbiegł do babusa subiekt w lansadach, trali-lali, głowę bym dał, że wisiała w powietrzu jakaś transakcja.

Żona, która czujnie obserwowała moje zachowanie, pociągnęła mnie za rękaw z miną rozwścieczonej diablicy:

— *Gdzie się gapisz?*

— *Ciii, daj spokój.*

— *Co, daj spokój?*

— *Chciałbym zmusić jakoś tę pięknotę do mówienia* — szeptałem. — *Chciałbym usłyszeć jej głos, bo coś mi się zdaje...*

Żona chwyciła. I zawrzała od razu do pięknoty słusznym gniewem. Żona miała w torebce na kanapę czterdzieści, a piękota miała czterysta, bo inaczej nie ślepiłaby na ten komplet i nie konferowała cichaczem ze sprzedawcą. Już to wystarczyło, aby gniew żony był słuszny. A poza tym pięknota była bezczelnie wypacykowana i pachniała bezczelnie zawiesistą francuską perfumą. Kobiety takich rzeczy nie przebaczają, bo każdej się wydaje, że została pozbawiona podstępnie przez tę drugą, gorszą od siebie, dóbr materialnych, które należały się właśnie jej, tej pierwszej. Jeśli dodać, że rzuciłem na pięknotę podejrzenie, trudno się dziwić, że żona podeszła do niej, a ja za nią i zapytała:

— *Kupuje pani te meble?*

— *A bo co?* — sparowała pięknota.

— *Bo ja zamierzam je kupić!*

— *Więc niech pani je kupi* — parchnęła obelżywie nieznajoma z taką miną, jakby grubo powątpiewała, abyśmy mieli przy sobie jakąś gotówkę. Ba, zdawała się nawet powątpiewać, abyśmy kiedykolwiek widzieli taką gotówkę na oczy.

Więc solidarnie z żoną trafił mnie szlag. Wziąwszy na dodatek pod uwagę, że oprócz zapachu również głos kobiety wydawał mi się znajomy, zgrzytałem zębami jak strzyga i przytakiwałem ochoczo słowom żony, która prowadziła osobliwą inwestygację:

— *Gdzie pani mieszka?*

— *A po co to pani?*

— *Jest mi to potrzebne.*

— *Do czego?*

— *Moja sprawa.*

Zaczęły się popychać, poszturchiwać, żona wymachiwała torebką i napierała na pięknotę całym ciałem. Jako, że zebrał się wokół nas tłumek ciekawskich, pięknota powiedziała głośno, że mieszka na Zielonej. Nie chciała widocznie zaostrzać scysji.

— *Nie wierzę* — oświadczyła żona.

— *No to chodź, pani, chodź!* — judziła pięknota, czując się widocznie na pewnym gruncie. — *Pokażę pani dowód.* — I pociągnęła żonę za torebkę — *Idzie pani?*

C.d.n.